Maczyzm w polityce • Mundial, jakiego jeszcze nie było • Dziurawa Trzecia Droga
Emeryt Duda • Nocne życie Trumpa • Puma i inne niespodzianki • Wstydliwe choroby

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY

USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO TYGODNIK, nr 30 (3574), 22.07–28.07.2026 Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

ILUSTRACJA **MARTA FREJ**



Wojny rozwodowe

Prezydent wetuje ustawę o osobie najbliższej. Tymczasem małżeństwa rozstają się coraz częściej, a liczba ślubów spada.

s. 6, 28

ISSN 0032-3500
9 770032 350602 30
Wydanie w sprzedaży do 28.07.2026

eprasa.pl/96cd999b

ZAPRASZAMY NA OLIMP



W sprzedaży

116 stron

KUP TERAZ

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe i audio – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**
Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 196cd999bb



© KYODO NEWS/GETTY IMAGES

14
Mistrzostwa po amerykańsku

Tematy tygodnia

10 Malwina Dziedzic **Manosfera: antykobieca rewolucja nadciąga**
14 Marcin Piątek **Mundial: rekordy i rozczarowania**

Polityka

18 Michał Danielewski **Czy powróci Trzecia Droga?**
21 Anna Dąbrowska **Duda na emeryturze**

Rozmowa POLITYKI

24 Prof. **Anil Seth** o tym, czy sztuczna inteligencja posiada świadomość

Społeczeństwo

28 Rozmowa z **Pauliną Sochą-Jakubowską** o rozwodowych wojnach i piekle, które fundują sobie ludzie
32 Paweł Walewski **Choroby, o których wstydzimy się rozmawiać**
35 **Anna Stojanowska** i **Weronika Sosnowska** o tym, jak odbudować hodowlę polskich arabów po rządach PiS
38 Natalia Sawka **Historia z bielskiego autobusu**

Rynek

40 Adam Grzeszak **Ustawa schronowa, czyli gdzie się ukryć?**
43 Cezary Kowanda **Starcie systemu kaucyjnego z rzeczywistością**

Świat

46 Mariusz Zawadzki USA **Biały Dom: życie codzienne Trumpa**
49 Paweł Reszka, Timur Olevsky ROSJA **Roman Abramowicz: najbogatszy listonosz świata**
52 Rozmowa z **Davidem Klempererem** o tym, jaka będzie Wielka Brytania według Andy'ego Burnhama
56 Agnieszka Zagner IZRAEL **Gen. Gadi Eisenkot: następca Netanjahu?**

Nauka/projektpulsar.pl

58 Robert Jurszo **Puma i spółka, czyli o tym, dlaczego w polskich domach bezkarnie hoduje się dzikie zwierzęta**
61 Prof. **Marek Węcowski** o tym, kim był Homer i jak dziś go czytać

Esej

64 Janusz A. Majcherek **Rozproszeni Polacy**

Historia

66 Łukasz Wójcik **Jak Naser przejął Kanał Sueski**
69 Tomasz Targański **Renesansowi magowie i sprzedawcy iluzji**

Kultura

76 Rozmowa z reżyserem **Pedro Almodóvarem** o tworzeniu i „Gorzkich świętach"
79 Justyna Sobolewska **Celebryckie kluby książki**
82 Jakub Demiańczuk **Tytus: reaktywacja**
84 **Ian Rankin** o tym, jak się pisze kryminały i co można z nich wyczytać
87 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Ludzie i style

94–97 • **Figurki z PRL**
• **Gry bez płyty**
• **Słowa z mundialu**
• POCZTÓWKA POLITYKI **Szczęście w Danii**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
• **72** Afisz • **88** Koziołek • **89** Witkowski
• **90** Orliński • **91** Chutnik i Plebanek
• **92** Mizerski • **92**, **98** Galeria POLITYKI
• **93** Do i od redakcji
• **98** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl 196cd999bb



Trendsetter Braun

Mariusz Janicki

Ostatnie sondaże pokazują, że po aferze z warszawskim Szpitalem Południowym notowania Koalicji Obywatelskiej nieco spadły, o 2–3 pkt proc., ale PiS także stracił około dwóch punktów. Zyskały za to Konfederacja i Korona Grzegorza Brauna. Sondaże mogą się jeszcze wahać, ale widać pewien mechanizm typowy dla współczesnej polityki, także w globalnym wymiarze. Oto kiedy traci jedna „stara" partia, niekoniecznie zyskuje druga, równie „stara" (KO i PiS mają ćwierć wieku), lecz sympatia przechodzi na ugrupowania nowsze, które dzisiaj są zresztą niemal bez wyjątku populistyczne, nacjonalistyczne i wrogie liberalnej demokracji, a nawet każdej demokracji, wszak Braun chce przywrócenia monarchii.

To paradoks, że te „świeże siły polityczne" mają programy ze składziku zatęchłych ideologii. Stare partie europejskie próbują jakoś nawiązać do tych nowych, czyli starych trendów i upodobnić się do młodszych, choć leciwych programowo konkurentów – zwalczających UE, radykalnie antyimigranckich, antyukraińskich, czasami antysemickich, często prorosyjskich. Siłom liberalnym takie naśladownictwo wychodzi szczególnie nienaturalnie. Schlebianie nacjonalistycznym gustom kończy się niespójnym przekazem, chaosem wartości i szyderstwami ze strony „nowych". Ale po drugiej stronie nie jest wiele lepiej.

Kiedy patrzy się na umizgi Przemysława Czarnka wobec radykalnych prawicowych wyborców, widać, że „kandydat na premiera" chce być jeszcze bardziej przaśny i obcesowy niż zwykle. Ostatnio zagalopował się, mówiąc o wstrzymaniu pomocy wojskowej dla Ukrainy, i zgasił go sam prezes, który zresztą wcześniej dał pozwolenie na antyukraińską retorykę. Nawet jeśli była to jakaś ustawka, to widać, że ludzie Kaczyńskiego próbują podłączyć się pod „pryszczatą" melodię, ale bez powodzenia. Nie chodzi tu o jakieś skrupuły, bo PiS nigdy ich nie miał, ale o pewien specyficzny altprawicowy, anarchizujący styl, którego Kaczyński nie rozumie. Dlatego kusi narodowca Bosaka, chcąc go wciągnąć do znanego sobie świata, lekceważy Mentzena jako „darwinistycznego" kosmitę i zwalcza Brauna, widząc w nim największe niebezpieczeństwo dla interesów PiS – jako konkurenta w boju o „narodową duszę"; „deregulacyjny" Mentzen jej nie ukradnie.

W PiS wiedzą, że Braun jest dzisiaj głównym trendsetterem, który w dodatku nie odpowiada na ataki PiS, czym wyraźnie doprowadza prezesa do pasji. W końcu jednak polityczny hiperrealista Kaczyński uruchomił akcję podkulania ogona i stworzył pakt senacki z Markiem Wochem, który wcześniej zawarł podobny pakt z Braunem, zatem chodzi tu o łącznik z Koroną. Śmieszność takich wydarzeń lider PiS wrzuca w koszty, zgodnie ze swoją żelazną zasadą, że nie powinno się przeceniać wyborców.

To upodabnianie się „starych" do „nowych", przesuwanie granic mainstreamu, zaczyna jednak wymykać się spod kontroli, radykalizm jest nagradzany w sondażach, a prawica nie poczuwa się do odpowiedzialności za swoje szczucie. Można to było obserwować po głośnej ostatnio słownej napaści na ukraińskie dzieci w autobusie w Bielsku-Białej i wyzywanie ich od k…, kiedy ci, którzy sączą antyukraiński jad, najpierw zamilkli, potem doszukiwali się prowokacji i antypolskiego spisku (więcej s. 38). Rafał Bochenek z PiS wprost obarczył winą za bielski incydent Kierwińskiego i Tuska za to, że „bagatelizowali wzrost agresji na polskich ulicach". To ten rodzaj bezwstydu, w którym PiS jest klasą dla siebie.

Radykałowie są bezczelni, bo czują wsparcie części wyborców, dla których liczą się tylko wybrane deklaracje, np. o podatkach, a pozostałe poglądy takich formacji, jak np. postulat polexitu, są lekceważone. Wytykanie dzisiaj Mentzenowi jego słynnej „piątki" czy Bosakowi poglądów w kwestiach obyczajowych jest takim samym nietaktem jak przypominanie afer PiS (o prawicowym maczyzmie na s. 10). Jak uczy historia, takimi drogami, korzystając właśnie z wybiórczości i nieuwagi elektoratu, zmierzają do władzy ekstremiści, a potem realizują te „niezauważone" wcześniej obietnice. Pytanie, czy wyborcy odpowiednio wcześnie dostrzegą wszystkie konsekwencje swoich decyzji.

Jednocześnie z układu sił politycznych, jaki widać teraz w kraju, nikt nie jest specjalnie zadowolony. Prawica wciąż się nawzajem atakuje i podkopuje, a strona rządząca nie ma przed sobą klarownej wizji przedłużenia władzy. Koalicja 15 października nie wygra wyborów w 2027 r., jeżeli nie będzie miała w składzie zamiennika takiej siły, jak Trzecia Droga w 2023 r., która zdobyła 14 proc. głosów. Lekceważone dzisiaj zupełnie Polska 2050 i nowo powstała Unia Centrum, i także podprogowe PSL to są mimo wszystko aktywa, bez których powodzenia KO opuści rządowe ławy. Jakaś nowa konfiguracja tych „mas upadłościowych", kolejna partia lub koalicja, czy coś zupełnie nowego wisi w powietrzu (więcej s. 18). Słychać bowiem wiele deklaracji, że „na KO już nie zagłosuję". Jeśli zarazem ktoś nie ma lewicowych inklinacji, to jest problem.

Powstanie nowej partii liberalnej, z pomysłem i wyrazistymi, ale niezgranymi jeszcze postaciami (Ryszard Petru się do nich raczej nie zalicza) może być sposobem, aby takich wyborców nie oddawać bez walki. Wymagałoby to wyczucia nastrojów, politycznego sprytu i odwagi. I nie chodzi tu o ewentualną secesję Morawieckiego, przedstawianego bezzasadnie jako ten „lepszy PiS". Były premier jest w istocie cichym odwodem Kaczyńskiego, po to aby zagarniać dla całej prawicy „niezdecydowanych", nawet jako oddzielny byt, który potem wejdzie do prawicowego rządu (więcej s. 7).

Mowa o rzeczywiście liberalno-demokratycznym ugrupowaniu, nieskupiającym się tylko na ekonomii i niepodlizującym się tym, którzy i tak na nie nigdy nie zagłosują. Bo liberałowie, jak dotąd, często jadą na zaciągniętym hamulcu, unikają pewnych tematów, bo „co na to powie PiS czy Konfa", „zjedzą nas", „aż tak to nie" itp. Może w politycznej palecie obozu demokratycznego rzeczywiście przydałaby się nowa partia, która – mówiąc całkiem kolokwialnie, ale obrazowo – miałaby na to „wywalone". Taka dla zdecydowanych wyborców.

eprasa.pl 196cd999bb

Albatros travel

Albatros 40 lat

REJS PO KARAIBACH

Wyrusz w niezapomniany rejs po rajskich wyspach Karaibów na pokładzie eleganckiego statku Enchanted Princess z pełnym wyżywieniem.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Miami na Florydzie. **Dz. 2** Zaokrętowanie na statku Enchanted Princess i wypłynięcie w rejs. **Dz. 3** Celebration Key, Bahamy i relaks na plaży. **Dz. 4** Dzień na morzu i atrakcje na statku. **Dz. 5** Amber Cove, Dominikana, możliwość udziału w wycieczkach fakultatywnych. **Dz. 6** San Juan, Portoryko. Spacer po historycznym centrum miasta w ramach dodatkowego pakietu wycieczkowego. **Dz. 7** Philipsburg, St. Maarten. Wizyta w holenderskiej części wyspy. **Dz. 8** St. John's, Antigua. Zwiedzanie wyspy i relaks na plaży w ramach dodatkowego pakietu wycieczkowego. **Dz. 9** Basseterre, St. Kitts. Objazd po wyspie i forteca Brimstone Hill w ramach dodatkowego pakietu wycieczkowego. **Dz. 10–11** Dzień na morzu. **Dz. 12** Koniec rejsu w Fort Lauderdale i wylot do Polski. **Dz. 13** Powrót do domu.

13 dni | Wyloty z Warszawy 15/01, 25/01 2027

od **12.498,-**

NOWOŚĆ

Pełne wyżywienie na statku



2 posiłki dziennie

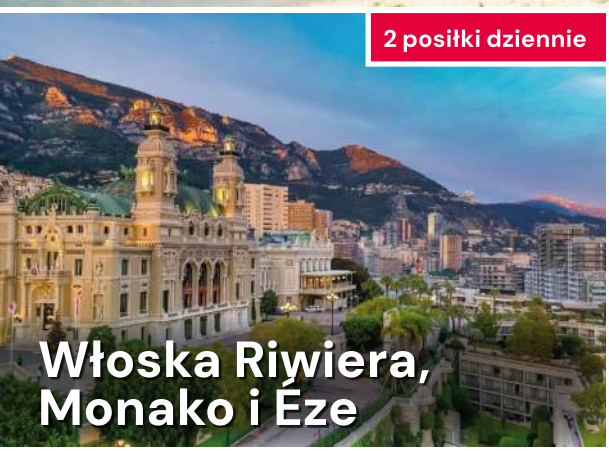

Włoska Riwiera, Monako i Éze

Wyjątkowa podróż od Nicei aż po Genuę przez piękne wybrzeże Ligurii z bazą wypadową w urokliwym miasteczku Diano Marina.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot z Warszawy do Nicei, krótkie zwiedzanie miasta i przejazd do Diano Marina we Włoszech. **Dz. 2** Spacer po Diano Marina. **Dz. 3** Muzeum Oliwy w Imperii. Nadmorskie miasteczko Alassio i Finale Ligure. **Dz. 4** Relaks i wypoczynek w Diano Marina. **Dz. 5** Wycieczka do Val Nervia. Wizyta w Pignie i Dolceacqua z degustacją wina oraz krótka wizyta w San Remo. **Dz. 6** Wycieczka do Monako i średniowiecznego Èze. **Dz. 7** Zwiedzanie Genui. **Dz. 8** Przejazd z Diano Marino do Nicei i powrót do domu.

8 dni | Wylot z Warszawy 08/10 2026 | od **5.498,-**

7 obiadów i 9 kolacji w cenie



Królewskie miasta Maroka i relaks w Agadirze

Dołącz do naszej magicznej podróży po starych, królewskich miastach, górach Atlas, piaskach Sahary i zrelaksuj się na plaży w nadmorskim kurorcie Agadir.

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa – Marrakesz. Przylot do Maroka i powitalna kolacja. **Dz. 2** Marrakesz. Zwiedzanie miasta, Wieża Koutoubia, Pałac Bahia, stare miasto, barwny i tętniący życiem plac Djemaa el Fna. **Dz. 3** Marrakesz – Casablanca. Zwiedzanie Casablanki. **Dz. 4** Casablanca – Rabat – Fez. Przejazd przez stolicę Maroka – Rabat aż do starożytnego królewskiego miasta Fez. **Dz. 5** Fez – Meknes – Fez. Zwiedzanie miasta Meknes oraz Volubilis – rzymskiego miasta wpisanego na listę UNESCO. **Dz. 6** Fez. Zwiedzanie starego miasta, bazar, Meczet Andaluzyjski, Fontanna Nejjarine, dzielnica Fes el-Jdid. **Dz. 7** Fez – Erfoud – Merzouga. Góry Atlas, pustynne krajobrazy i nocleg w berberyjskim namiocie. **Dz. 8** Merzouga – Tinghrir – Ouarzazate. Wschód słońca na pustyni, dolina Todra i Droga „Tysiąca Kazb". **Dz. 9** Ouarzazate – Taroudant – Agadir. Imponujące mury miejskie w Taroudant i przyjazd do hotelu w Agadirze. **Dz. 10–11** Czas wolny na relaks i plażowanie. **Dz. 12** Agadir – Marrakesz – Warszawa.

12 dni | Wyloty z Warszawy 14/11 2026, 13/03 2027 | od **9.498,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL27**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 196cd999bb

Na ten wyrok pracował latami



20 lat więzienia, z prawem do ubiegania się o przedterminowe zwolnienie po 15 latach, dożywotni zakaz prowadzenia pojazdów i ponad 1 mln zł zadośćuczynienia dla poszkodowanych – taki wyrok usłyszał 28-letni **Łukasz Żak** za spowodowanie 15 września 2024 r. wypadku na Trasie Łazienkowskiej w Warszawie. Ta sprawa odbiła się szerokim echem, a proces budził ogromne zainteresowanie. Arogancki mężczyzna z poczuciem bezkarności – i pięcioma zakazami prowadzenia pojazdów – mając 1,1 promila alkoholu we krwi jechał 226 km/h, trzymając w dłoni komórkę, którą swój rajd nagrywał. Stracił panowanie nad autem i zmiażdżył Forda, którym przepisowo (78 km/h) jechała czteroosobowa rodzina. 37-letni mężczyzna siedzący z tyłu między fotelikami dzieci zginął na miejscu. Jego żona, która prowadziła auto, ich 8-letnia córka i 4-letni syn trafili do szpitala – podobnie jak partnerka Żaka, która z nim jechała. „Naruszenie reguł na drodze było umyślne" – uzasadniał sędzia Maciej Mitera ten najwyższy, jak dotąd, wyrok za spowodowanie wypadku na drodze. Bo – argumentował – będąc pod wpływem alkoholu, z „pełną premedytacją i rażącym lekceważeniem życia" wsiadł za kierownicę samochodu.

Sam Żak, który wyszedł z wypadku bez szwanku, zamiast ruszyć z pomocą ofiarom, wydzwonił kolegów, którzy przyjechali i zabrali go. „Tu ludzie walczą o życie, a oni zajmują się ratowaniem kolegi. Nikt się nie zainteresował losem poszkodowanych. To jest poniżej wszelkiej krytyki" – mówił sędzia. Żak pojechał najpierw do mieszkania kolegi. „Będąc w mieszkaniu, Łukasz do kogoś telefonował i padły słowa, że potrzebuje pomocy, bo »odje... typa«" – zeznała świadek. Żak uciekł do Niemiec; miesiąc później został zatrzymany i przywieziony do Polski. Podczas procesu był pełen buty, przybijał „piątki" z kolegami. Zero skruchy, a na koniec jakby wymuszone przeprosiny.

„Na tę karę pracował pan sobie latami, to jest wypadkowa całej pana działalności. Tylko ta kara zabezpieczy społeczeństwo przed takimi kierowcami jak pan" – mówił sędzia do skazanego, który wyroku słuchał z kamienną twarzą. Koledzy, którzy mu wtedy pomagali, zostali skazani za nieudzielenie pomocy poszkodowanym i utrudnianie śledztwa – od 2 do 5 lat więzienia plus zadośćuczynienie.

Po wyroku na sądowym korytarzu emocje eksplodowały. Co zaskakujące, atakowano poszkodowanych. „Co, zadowolona pani? Tylko o odszkodowanie wam chodzi!" – rzuciła ze złością starsza kobieta do oniemiałej, ubranej na czarno żony ofiary wypadku. Ojciec innego skazanego zaczął płakać, zawodzić, powtarzać, że sam wychowywał syna. Ktoś rzucił: „To może źle go pan wychował?". Wyrok nie jest prawomocny. (VK)

Prezydent nie zaskoczył



Karol Nawrocki zawetował ustawę o statusie osoby najbliższej w związku, pogardliwie określaną jako „Współlokator plus". Znów posłużył się argumentem, że wejście w życie ustawy oznaczałoby „utratę szczególnego statusu małżeństwa jako związku kobiety i mężczyzny". W jaki sposób związki osób tej samej płci zagrażają małżeństwom dwupłciowym, nie wyjaśnił.

Odrzucona ustawa dawała jedynie możliwość zawierania umów notarialnych w parze, nie było nawet mowy o związkach partnerskich. Po kolejnych amputacjach, do których doszło w trakcie negocjacji ustawy przez KO, PSL i Lewicę, zostało w niej to, co i dziś pary mogą zapisać sobie w umowie notarialnej plus ulgi podatkowe. Z tego też powodu środowisko LGBT+, które od 20 lat czeka na jakąś formę regulacji, wyśmiało projekt przyjęty przez koalicję – po dokładnie 926 dniach od zaprzysiężenia rządu. Bo rząd pokazał osobom LGBT+, że nie ma dla nich godnościowej propozycji. Brak wizji opartej na wartościach rok przed wyborami to zresztą jeden z palących problemów koalicji rządzącej.

Na odrzucenie prezydenckiego weta (potrzeba do tego większości kwalifikowanej 3/5 głosów w Sejmie) też nie ma co liczyć. Jednocześnie „ochrona małżeństw", z którą wychodzi Nawrocki, to hasło mocno ograne i niemające wiele wspólnego z rzeczywistością. W Polsce rozpada się przeciętnie od 35 do prawie 40 małżeństw na każde 100 nowo zawartych. Równolegle spada liczba ślubów, coraz więcej dzieci rodzi się w związkach nieformalnych. Na związki partnerskie liczą osoby, które i tak nie wzięłyby ślubu, ale zależy im na zabezpieczeniu kwestii spadkowo-finansowych. Tego trendu już nie odwrócimy, małżeństwa będą dalej „wychodzić z mody" i tracić na znaczeniu, a ludzie będą chcieli mieć dziś do wyboru różne opcje formalizacji związku. Głównymi odbiorcami ustawy o osobie najbliższej miały być pary jednopłciowe. Co im w tej sytuacji pozostaje? Zawarte za granicą małżeństwa są już potwierdzane przez urzędy stanu cywilnego. Dalszym krokiem jest uznawanie ich przez urzędy skarbowe. I kolejne „zrównania". To tylko kwestia czasu. Politycy choćby chcieli, nic na to nie poradzą. (AGSZCZ)

A o tym, jak rozwodzą się Polacy, czytaj na s. 28.

eprasa.pl 196cd999bb

Poker z prezesem



Karolina Lewicka
Dziennikarka Radia TOK FM,
wykładowczyni Collegium Civitas, politolożka

Jarosław Kaczyński, podobnie jak tolkienowski Gollum, ma jeden skarb i też jest nim pierścień władzy – w tym przypadku władzy nad PiS. Robert Krasowski w „Kluczu do Kaczyńskiego" pisze, że „zakochał się on w posiadaniu partii prywatnej", to diagnoza z długą brodą, wszak ta słabostka prezesa została już dość dawno rozpoznana, głównie przez tych nazywanych dziś „byłymi posłami PiS". Samo podejście jest niegłupie, jeśli ktoś lubi władzę. Bo tę nad państwem się miewa, jeśli dopisze szczęście w wyborach, a chodzi o to, by rządzić stale, choćby tylko wycinkiem rzeczywistości. Troszkę się przy tym prezes droczy z otoczeniem, ponoć miał już się nie ubiegać o prezesurę w 2021 r., ale „ówczesne wydarzenia spowodowały, że nie było innego wyjścia". Później zapowiadał, że to już koniec, ale na wyborczym kongresie w 2025 r. znów był jeden, ten sam kandydat. Dopóki pozwoli bezwzględna para: czas i biologia, steru nie puści.

Mateusz Morawiecki chciał i mieć ciastko, i je zjeść. Być wciąż w PiS znaczyło oczekiwać na ostateczny zmierzch patriarchy, gotować się do walki o jego ziemie. A jednocześnie uprawiać też własne poletko, po sąsiedzku i tak na wszelki wypadek. Pierwsza reakcja Kaczyńskiego na powołanie przez byłego premiera stowarzyszenia była strzelbą zawieszoną na ścianie, która w ostatnim akcie, jak u Czechowa, musi wystrzelić. Wtedy, w kwietniu, prezes PiS się cofnął i zdjął publicznie już nałożony zakaz „pasożytnictwa, tzn. tworzenia przy pomocy naszej partii partii nowej". Ale każdy, kto zna prezesa, powinien wiedzieć, że Kaczyński tylko się przyczaił.

Tymczasem Morawiecki uwierzył w siebie. W wywiadzie dla youtubera Żurnalisty triumfował. „Strzepnąłem to jak wiosenny pyłek z marynarki" – mówił, pytany o tych, którzy chcieli go z PiS wyrzucić, i przechwalał się, że kilku „wymierzył fangę w sam środek nosa". O nowej uchwale, dającej siedem dni na dokonanie wyboru: partia lub stowarzyszenie, on i jego ludzie dowiedzieli się z mediów, co oznacza, że były premier dostrzegł wroga dopiero wtedy, kiedy ten stanął pod jego bramą. Rozmowa z Kaczyńskim się odbyła, ale do kolejnego armistycjum nie doszło. Widać prezes jednak nie chce, by mu Mateusz „odnawiał PiS", a odejścia ambitnych chłopców z tego puebla to dla niego nie pierwszyzna. „Nie uważam, żeby było to przedsięwzięcie o jakiejś szerokiej perspektywie, jeśli chodzi o sukces polityczny" – podsumował stowarzyszenie Rozwój Plus.

Morawiecki ma teraz szansę, by udowodnić Kaczyńskiemu, że się myli i że jego marka sporo jest warta. To naprawdę będzie pokerowe sprawdzam. Bo 11 lat temu wszedł do polityki na gotowe, przyłączył się do potężnej i okrzepłej partii, która właśnie wygrała wybory. Z jej łaski otrzymał w końcu najcenniejszy łup, fotel premiera, ale my wciąż nie wiemy, ile on sam dodawał do sukcesów tego ugrupowania, ale też kim byłby i jaką politykę by prowadził, gdyby przez te lata nie był prezesa zakładnikiem. Jedno mu trzeba oddać: przez dekadę zbudował w tej partii swoją frakcję. Kiedy w 2011 r. Kaczyński wyrzucał Ziobrę, Kurskiego i Cymańskiego, w geście solidarności z nimi odeszło kilkanaście osób. Teraz pod listem do Kaczyńskiego, będącym swoistą deklaracją polityczną, widnieje 45 podpisów. Zostajemy zatem z pytaniem: kto kogo sprowadzi do parteru?

Walka o równe prawa



To pierwsza taka sprawa w Polsce. Pan Rafał i jego partner spędzili razem ponad 25 lat. Dwa lata temu wzięli ślub w Niemczech. Mąż pana Rafała zmarł, a on zwrócił się do dyrektora Krajowej Informacji Skarbowej o interpretację w sprawie opodatkowania spadku. Czy państwo potraktuje go jak każdego innego wdowca, czy tak, jakby zmarły był dla niego obcą osobą, a więc zażąda podatku od zgromadzonego wspólnie dorobku? Według dr. Mateusza Wąsika, adwokata i doradcy podatkowego, TSUE w swoim wyroku wskazał, że istnieje zarówno obowiązek transkrypcji aktu małżeństwa tej samej płci zawartego za granicą, jak i uznania tego małżeństwa w państwie pochodzenia (Polsce). Niestety KIS, powołując się na ten sam wyrok, uznał stanowisko pana Rafała za nieprawidłowe, ponieważ nie dokonali z mężem aktu transkrypcji małżeństwa. Nie mogli, bo mąż pana Rafała zmarł, zanim stało się to możliwe.

– *To wybieg prawny* – ocenia dr Wąsik. – *Transkrypcja to czynność materialno-techniczna. Jest ważna, ale nie ona, lecz ślub nadaje status małżeństwu. Nie ma małżeństw transkrybowanych i nietranskrybowanych. Nie spotkałem się z przypadkiem, by od heteroseksualnego małżeństwa zawartego za granicą żądano aktu transkrypcji, by mogło skorzystać z jakichś ulg czy uprawnień. W tym przypadku państwo różnicuje małżeństwa w zależności od orientacji seksualnej, co jest niezgodne z prawem krajowym i unijnym.*

Pan Rafał zapowiada, że będzie walczył w sądach administracyjnych. Jest rozgoryczony, że w momencie gdy spotkała go życiowa tragedia, państwo skazuje go na sądową szarpaninę. Jedną już toczy – o podatek od pożyczki, której za życia udzielił mu mąż na kupno nieruchomości. Pan Rafał zapłacił, ale zaczął walkę o zwrot. W Polsce przegrał we wszystkich instancjach. Gdy sprawa trafiła do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, rząd polski, wiedząc, że przegra, formalnie przyznał panu Rafałowi rację i zobowiązał się do naprawienia szkody. W Polsce jednak – gdy Trybunał w zaufaniu do deklaracji polskiego rządu zakończył postępowanie bez wydania wyroku – pan Rafał po raz kolejny spotkał się z odmową.

Jak mówi, toczy tę batalię nie tylko dla siebie. Jego pokolenie osób LGBT+ jest w Polsce pierwszym, dla którego sprawy spadkowe nie są odosobnioną tragedią, tylko jednym z podstawowych życiowych problemów. Ma nadzieję, że jego przypadek stworzy precedens dla uznawania małżeństw osób tej samej płci przez polskie urzędy skarbowe i otworzy drogę innym osobom w tej sytuacji. A jest już w toku więcej takich spraw. (J.POD)

© FILIP NAUMIENKO/REPORTER, SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 196cd999bb



Ormuz w ogniu

Nie ma spokoju w cieśninie Ormuz. Z niedzieli na poniedziałek Amerykanie atakowali irańskie cele dziewiątą noc z rzędu, po tym jak Teheran przerwał zawieszenie broni. Gdy zamykaliśmy ten numer POLITYKI, eskalacja obejmowała już cały region. Przez weekend Iran uderzał w sojuszników USA, m.in. w Kuwejt i Bahrajn, a także w amerykańskie bazy w Syrii i Jordanii. W wyniku tych ataków zginęło kolejnych trzech amerykańskich żołnierzy – w sumie od początku tej wojny (28 lutego) US Army straciła 17 ludzi. Po irańskiej stronie straty są dużo wyższe – tylko w weekend życie straciło ponad 50 irańskich żołnierzy.

Obecna sekwencja ciosów zaczęła się (prawdopodobnie nieprzypadkowo) 9 lipca, w ostatni dzień uroczystości pogrzebowych zabitego przez Amerykanów irańskiego przywódcy Alego Chameneiego. Jednostki Strażników Rewolucji zaatakowały statki przepływające przez Ormuz. Strażnicy to kluczowy element irańskiego reżimu i jednocześnie najbardziej niechętny negocjacjom z Amerykanami. Wznowienie ataków w cieśninie tłumaczą złamaniem zasady zapisanej we wspomnianym porozumieniu, która (zdaniem Strażników, bo Amerykanie są innego zdania) oddaje w irańskie ręce decyzję, którym szlakiem morskim statki mogą przechodzić przez Ormuz. Zaatakowane jednostki – zgodnie z amerykańską sugestią – wybrały szlak południowy, najbliższy omańskiemu wybrzeżu, najdalszy od Iranu.

Czerwcowe porozumienie, które zakładało m.in. 60 dni niezakłóconego przepływu statków przez Ormuz, było tylko wstępem do szerszej amerykańsko-irańskiej umowy. Docelowo ma ona regulować m.in. przyszłość irańskiego programu nuklearnego i nowe zasady bezpieczeństwa w regionie.

W Iranie wokół negocjacji z Amerykanami od początku rozgorzał spór między tzw. ugodowcami (m.in. prezydentem Masudem Pezeszkianem), którzy nawołują do porozumienia, zdając sobie sprawę z fatalnej sytuacji ekonomicznej kraju, i Strażnikami, którzy rosną w siłę dzięki antyamerykańskiej retoryce. Ich zdaniem ostatnie miesiące pokazały, że kontrolując Ormuz i – co za tym idzie – eksport węglowodorów z całej Zatoki Perskiej, można wymusić na Amerykanach daleko idące ustępstwa. Dlatego, wykorzystując **nacjonalistyczne uniesienie** związane z pogrzebem Chameneiego, postanowili znów uderzyć, atakując nie tylko statki w cieśninie i amerykańskie bazy w regionie, lecz również frakcję ugodowców w kraju. Ostra reakcja Amerykanów – i rosnąca cena za baryłkę ropy naftowej (już ponad 90 dol.) może oznaczać, że Strażnicy mają rację.

ŁUKASZ WÓJCIK

O jeden resort za daleko



Wołodymyr Zełenski chciał wykorzystać niezłą dla siebie polityczną koniunkturę, dokonać przetasowania na szczycie i sprawić wrażenie „nowego otwarcia". Zdymisjonował szefową rządu Julię Swyrydenko, a wraz z nią cały gabinet, który przetrwał niespełna rok. W nowym rządzie posady utrzymało kilku starych ministrów. Jednak nie znalazło się miejsca dla **Mychajły Fedorowa**. Ten ledwie 35-letni urzędnik, który cieszył się wśród współobywateli sporą popularnością, jest w polityce od 2019 r. Mimo młodego wieku zdążył być wicepremierem i ministrem cyfryzacji – wprowadzał skutecznie państwową aplikację Dija (odpowiednik naszego mObywatela), którą posługuje się ponad 20 mln Ukraińców.

Ministrem obrony był ledwie od stycznia 2026 r. i było to udane pół roku. Fedorow znacznie przyspieszył robotyzację armii. Uruchomił duże, regularne dostawy dronów lotniczych i naziemnych dla oddziałów frontowych. Za jego kadencji trwały prace nad ulepszeniem rodzimych pocisków balistycznych i szerszym wykorzystaniem na potrzeby wojny. Szerokim echem odbiła się korespondencja z Elonem Muskiem – Fedorow zwrócił uwagę miliardera, że Rosjanie bezprawnie wykorzystują na froncie łączność Starlink. Interwencja była skuteczna.

Minister starał się wprowadzić jasne zasady w zamówieniach dla armii, walczyć z korupcją. Formalnym powodem dymisji był konflikt z głównodowodzącym Zbrojnych Sił Ukrainy gen. Oleksanderm Syrskim. Jednak komentatorzy zwracali uwagę, że rosnąca popularność Fedorowa mogła zaniepokoić Zełenskiego, który nie chce, żeby pod bokiem wyrósł mu polityczny konkurent. Z tego samego powodu w 2024 r. zwolnił ze stanowiska legendarnego gen. Wałerija Załużnego.

Tym razem prezydent nie wyczuł dobrze nastrojów – w Kijowie i innych miastach obywatele wyszli na ulice, by poprzeć Fedorowa. To drugi taki przypadek od 2022 r. – do pierwszego doszło rok temu, gdy Zełenski chciał podporządkować sobie służby antykorupcyjne, by ukrócić śledztwo przeciw ludziom ze swojego otoczenia. Protest nakręcił dodatkowo fakt, że skonfliktowany z ministrem gen. Syrski nigdy nie zaskarbił sobie sympatii ani wojska, ani społeczeństwa. Oskarżany był o nieliczenie się ze stratami, gotowość do wypełniania każdego, nawet nierozsądnego rozkazu polityków. „Syrski jest katem" – brzmiało jedno z haseł protestów, które trwały cały weekend.

Zełenski zrozumiał, że przestrzelił, i zamiast dokonać nowego otwarcia, wypromował nowego, silnego konkurenta. – Oczywiście słyszę to, co mówią obywatele, będą wypracowane nowe rozwiązania dotyczące armii – powiedział prezydent. Zostało to odczytane jako sygnał o możliwym zwolnieniu gen. Syrskiego. Dymisja Julii Swyrydenko nie wzbudziła emocji – uchodziła za osobę niesamodzielną, zależną od otoczenia prezydenta. Nowym szefem rządu będzie Serhij Korecki dotychczasowy prezes państwowego koncernu Naftohaz (wcześniej Ukrnafty). Doświadczony menedżer związany z branżą energetyczną ma przygotować kraj do kolejnej trudnej zimy.

PAWEŁ RESZKA

© JOHN MOORE/GETTY IMAGES, DURSUN AYDEMIR/ANADOLU/GETTY IMAGES, JANOS KUMMER/GETTY IMAGES, PAP/EPA/TERESA SUAREZ

eprasa.pl 196cd999bb

Węgierski ekspres

Péter Magyar nie zwalnia tempa. Przy demontowaniu orbanizmu korzysta z większości konstytucyjnej. Prezydentem nie jest już **Tamás Sulyok**, figurant wstawiony na urząd przez Viktora Orbána. Dotychczasowy premier, dziś w głębokiej opozycji i defensywie, w obronie resztówki swojego systemu odwołuje się do najwyższych instancji – „Boże, chroń Węgry!" – i przestrzega, że skoro można było obejść się tak z głową państwa, to „nikt nie jest już bezpieczny".

Bilans niespełna trzymiesięcznych rządów Magyara to także wprowadzony z mocą wsteczną limit kadencji premiera, co uniemożliwia powrót w tej roli Orbána. Do tego ograniczenie trzech kadencji dla posłów. Sąd konstytucyjny odzyskał kompetencję do pełnej kontroli ustaw. Wyborem jego prezesa zajmą się sędziowie, a nie jak do tej pory parlament. Zlikwidowano Urząd Ochrony Suwerenności, tropiący tzw. zagranicznych agentów w organizacjach pozarządowych i redakcjach prasowych otrzymujących wsparcie spoza Węgier. Powołano Narodowy Urząd ds. Odzyskiwania i Ochrony Mienia. Będzie szukał udziałów spółek skarbu państwa i nieruchomości przeniesionych do rozmaitych fundacji, które umocowano tak, by stały się przytuliskiem dla orbanowców na wypadek utraty władzy.



31 lipca działalność kończy Kolegium Macieja Korwina. Formalnie zajmowało się edukacją i rozwojem talentów. W praktyce było kuźnią orbanowskich elit i dystrybutorem wsparcia dla ultrakonserwatystów z innych krajów. Kolegium – 7 tys. słuchaczy i ok. 300 pracowników – zalano pieniędzmi. Wyposażono je m.in. w 10 proc. akcji państwowego koncernu naftowego i firmy farmaceutycznej. Dziesięcina z dywidend pozwalała stypendiami o równowartości setek tysięcy złotych wabić nad Dunaj amerykańskich i europejskich konserwatystów, w tym naukowców, pisarzy i publicystów.

Sieroty po orbanizmie szukają nowych źródeł finansowania, liczą na wsparcie Donalda Trumpa. Mają też chwilową satysfakcję z zadyszki, jaką złapała nowa ekipa. Kadrowa miotła nie dotarła jeszcze do wielu ministerstw i urzędów, ich polityczni funkcjonariusze są nadal zatrudnieni, ale nie wykonują żadnej sensownej pracy. Za to Péter Szijjártó, wieloletni szef MSZ, zatrudnił się w kierownictwie chińskiego koncernu motoryzacyjnego BYD. Wielu chciałoby pójść w jego ślady, rozważają przeprowadzkę np. do Rzymu, gdzie stery trzyma konserwatywna Giorgia Meloni. Włoskiej premierce jest jednak z reakcyjnym internacjonalizmem coraz mniej po drodze. A nawet jeśli, to w Rzymie budżety na pewno będą mniejsze niż w Budapeszcie. JW

Ostatnia pomoc

Ustawę o „pomocy w umieraniu" **Zgromadzenie Narodowe** nad Sekwaną przyjmowało już trzy razy i trzy razy odrzucał ją senat. Teraz, na wniosek rządu, została stosunkiem 291 do 241 głosów przyjęta po raz czwarty, już definitywnie (taki specyficzny tryb przewiduje francuska konstytucja). Głosowanie odbyło się pod czujnym okiem zwolenników i przeciwników. Argumenty są dobrze znane, dwa obozy wyraźnie zarysowane i nie ma tu miejsca na kompromis; górę bierze polityczna arytmetyka.

Prezydent Emmanuel Macron zobowiązał się „otworzyć tę drogę" dopiero u progu drugiej kadencji, starannie unikał określeń „eutanazja" i „wspomagane medycznie samobójstwo". Na początek, w 2022 r., zainicjował debatę obywatelską (to także specyficznie francuska instytucja): 76 proc. ze 184 losowo wybranych obywateli, korzystając z dostarczonej wiedzy i opinii ekspertów, wypowiedziało się za zmianą prawa „w kierunku aktywnej pomocy przy umieraniu". Od dawna opowiada się też za tym w sondażach rosnąca większość Francuzów. Potem pojawiały się rozmaite przeszkody, częste zmiany premierów, rozwiązanie parlamentu, teraz finał przyjęty został raczej z powściągliwością: podziały obejmowały także obóz rządowy. Podzielona jest ochrona zdrowia.

Ustawa wprowadzająca rozmaite mechanizmy zabezpieczające przewiduje, że osoby dorosłe cierpiące na ciężkie i nieuleczalne choroby w końcowym stadium, dotknięte niemożliwym do zniesienia bólem fizycznym lub psychicznym, będą mogły wystąpić o substancję śmiercionośną. Jeśli potwierdzą swoją wolę, właściwy zespół medyczny ma dwa tygodnie na decyzję i (ewentualnie) wydanie ważnej trzy miesiące recepty. Środek powinni zaaplikować sobie sami, a jeśli to nie będzie możliwe, poprosić osobę bliską lub medyka o pomoc. Trzy ze szczegółowych zapisów, m.in. dotyczący zastosowanej tu klauzuli sumienia w przypadku lekarzy, premier Sébastien Lecornu skierował pod ocenę Rady Konstytucyjnej. Ma miesiąc na podjęcie decyzji.

Francja dołącza do wąskiego grona: w Europie różne wersje wspomaganej śmierci obowiązują w Austrii, Belgii, Hiszpanii, Holandii, Luksemburgu, Niemczech



i Portugalii; w Szwajcarii prawo do śmierci obowiązuje od 1942 r., umożliwia się tam też dostęp do pomocy w umieraniu cudzoziemcom. W Wielkiej Brytanii historyczna ustawa o wspomaganym samobójstwie w Anglii i Walii została przed rokiem przyjęta w Izbie Gmin, Izba Lordów wprowadziła 1,2 tys. poprawek i sprawa utknęła. Ale tylko do czasu. WP

eprasa.pl 196cd999bb

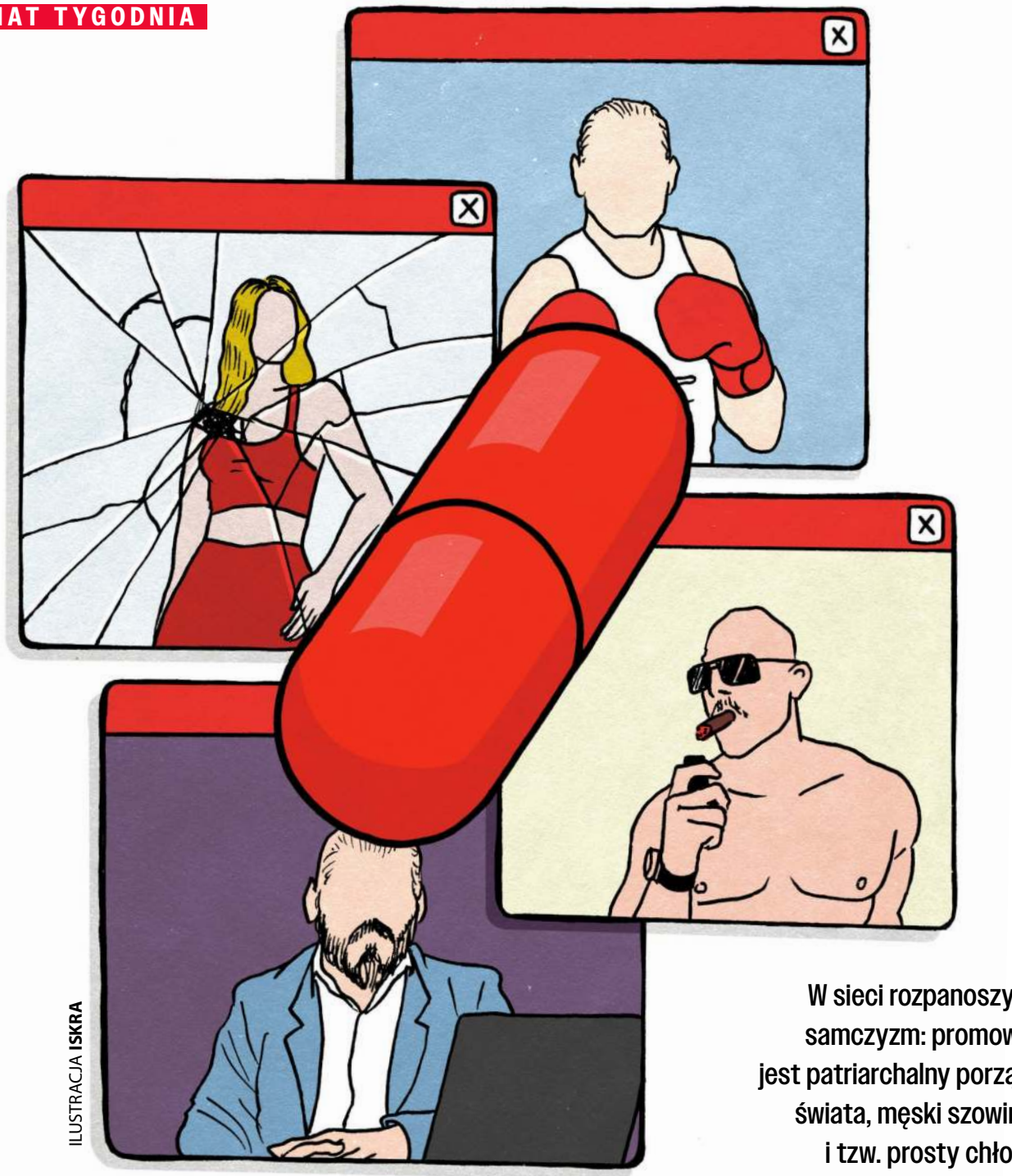

ILUSTRACJA **ISKRA**

Redpille z manosfery

W sieci rozpanoszył się samczyzm: promowany jest patriarchalny porządek świata, męski szowinizm i tzw. prosty chłopski rozum. Emancypacja kobiet, ruch #MeToo i coraz większe aspiracje pań dały mężczyznom w kość. Na tę falę, ciągnącą zresztą z zagranicy, próbują wskoczyć nie tylko influencerzy, ale też politycy.

eprasa.pl 196cd999bb

MALWINA DZIEDZIC

Przekonują, że kobiety są roszczeniowe, wyrachowane, że w głowach im się poprzewracało od tej edukacji, coraz lepszych zarobków, „ideologii zgniłego Zachodu". Potrafią usprawiedliwić nawet przemoc wobec kobiet – wszak to oni są teraz uciskani, dyskryminowani, więc agresja jest co najwyżej odpowiedzią na zachowanie partnerki czy żony. Kobiety to dla nich „zmywarki" lub „lochy", których „przydatność" kończy się po 35. roku życia, a po 40. nadają się już tylko do wychowywania wnuków. Media społecznościowe pozwalają im szybko i łatwo nie tylko dzielić się przemyśleniami, ale przede wszystkim odnajdować „swoich". A wiadomo – w grupie każdy jest odważny, czuje, że wolno mu więcej. Atakują więc stadnie, chowając się za nickami, avatarami albo po prostu zdjęciami mężczyzn, którymi chcieliby być.

Nomenklatura jest tu bogata: redpille, incele, piwniczaki, przegrywy. A obok nich: alfa male, beta-providery, sigmy, chady... To wyimek z tzw. manosfery, do której przeprowadza się (na razie wirtualnie) coraz więcej młodych mężczyzn. Sfrustrowanych, ale i szukających wzorców. Te podsuwają im influencerzy, którzy wzorem swoich kolegów zza oceanu męskie niezadowolenie i niespełnienie próbują monetyzować – tak zwykło się określać w social mediach zarabianie. Ale i politycy zwęszyli w tym kapitał, tyle że wyborczy. Inspiruje ich nie byle kto, bo sam Donald Trump, wzorcowy alfa male, który odrzucił wszelką polityczną poprawność, a z mizoginistycznych i seksistowskich komentarzy uczynił swój znak rozpoznawczy – ku zaskoczeniu liberalnej strony, politycznie bardzo skuteczny. Ten zwrot ku patriarchalnemu porządkowi jest coraz mocniej widoczny, a jego echa z pewnością wybrzmią także w nadchodzącej kampanii wyborczej w Polsce. Nie bez powodu też Jarosław Kaczyński namaścił na kolejnego swojego premiera Przemysława Czarnka, który podobnie jak Karol Nawrocki próbuje naśladować prezydenta USA.

Bo dziś ksenofobia, homofobia, rasizm, mizoginia, w komplecie z bogobojnością, patriotycznym zadęciem i negacjonizmem klimatycznym to zestaw obowiązkowy polityka, który chce robić karierę na prawicy. Jeszcze kilka lat temu tego typu przekonania mieściły się na marginesie sceny politycznej i debaty publicznej. Teraz to już mainstream. To oswajanie się Polaków z całym tym pakietem przekonań najlepiej widać w sondażach: obie Konfederacje rosną w siłę i zbierają łącznie już prawie 23 proc. poparcia. A przecież szowinistycznym głosem przemawia też PiS; co gorsza nawet przedstawiciele koalicji rządzącej próbują się jakoś ustawiać pod ten prawicowy wiatr.

Biały bohater

Jednak wątek pełzającej antykobiecej rewolucji wydaje się na razie bagatelizowany przez liberalno-lewicową stronę. Przykrywają go ataki na Ukraińców, antysemickie ekscesy czy wiralowe brednie podważające konieczność troski o klimat (choćby słynne „OZE-sroze" czy memotwórcze „Planeta płonie"). W tym natłoku emocji umyka, że ci biali heteroseksualni mężczyźni, „broniący polskich kobiet" przed „inżynierami z Afryki" i „subsaharyjskimi tarantulami" – jak w sieci obraźliwie określają obcokrajowców – w istocie tymi kobietami gardzą. Na platformie X Elona Muska popularny jest choćby trend „demaskowania" dziewczyn, które wiążą się z ciemnoskórymi mężczyznami. Upubliczniane są ich wizerunki, dane osobowe; kobiety są wyszydzane i hejtowane. Internetowe trolle? Pewnie, ale wśród fanów ich twórczości można znaleźć posłów i działaczy PiS, Korony oraz Konfederacji.

Zresztą zachęcanie do internetowych linczów „nieprawomyślnych" kobiet staje się także hobby polityków prawicy – ot, choćby europoseł Dominik Tarczyński co jakiś czas wrzuca do sieci zdjęcia dziennikarek, których praca mu przeszkadza. Cel jest jeden: ośmieszyć kobiety. Kilka miesięcy temu głośno było o podobnym zachowaniu rzecznika PiS Rafała Bochenka, który prowokował reporterkę TVN24 tylko po to, aby ją nagrać i wyszydzić w internecie, że rzekomo chciała z nim wejść do męskiej toalety.

Trendów jest zresztą więcej. Ot, choćby ten aktualny: trwają obrony licencjatów i magisterek, dumne absolwentki wrzucają więc do sieci zdjęcia ze swoimi pracami dyplomowymi, chwalą się świeżo zdobytymi tytułami. Tymczasem mężczyźni za pomocą AI dorabiają tam wózki z dziećmi, przekonując, że tylko jako matka kobieta może być spełniona i zadowolona.

Bo w świecie redpilli – czyli oświeconych mężczyzn, którzy wyrwali się z matrixa, wybrali czerwoną pigułkę i niczym Neo z filmu Wachowskich odkryli prawdę – role społeczne wracają do „ustawień fabrycznych". Jest tu jednak pewna niekonsekwencja, bo zarazem ci sami mężczyźni domagają się... równouprawnienia, co najlepiej pokazuje trwająca właśnie dyskusja o zrównaniu wieku emerytalnego mężczyzn i kobiet. Żeby jednak było ciekawiej, wywołała ją kobieta – Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, która w rozmowie z wp.pl proponowała: „Jeżeli kobieta ma dzieci, to wtedy jest inny wiek emerytalny. A jeśli ich nie ma (...), to powinna mieć tak samo ustawiony system emerytalny jak mężczyźni". Jak się okazało, postulat ten z entuzjazmem przyjęli przedstawiciele manosfery. Dysonans poznawczy wywoływało co najwyżej to, że proponowała go ministra obecnego rządu, krytykował zaś – z automatu – PiS. Gdy więc Marcin Warchoł ruszył z alarmem: „Uśmiechnięta koalicja uważa, że tylko matki mogą mieć wcześniej prawo do świadczeń emerytalnych", odpór dali mu prawicowi mężczyźni. Został uznany m.in. za „simpa" i „cuckolda". W manosferze to obelgi.

PiS się uczy

Tego typu nastroje lepiej czują Konfederacje Brauna i Mentzena, stąd to one gromadzą wokół siebie przede wszystkim młodych sfrustrowanych i szukających radykalnych recept mężczyzn (75 proc. elektoratu każdej z tych partii to mężczyźni; z tą różnicą, że u Mentzena przeważają mieszkańcy miast, u Brauna – wsi; CBOS). PiS wciąż się jeszcze uczy, jak funkcjonować na altprawicy i w manosferze (oba ekosystemy – polityczny i kulturowy – przenikają się). Namaszczenie Czarnka na kandydata na premiera było symboliczne, to obrońca tzw. tradycyjnego modelu rodziny, popularyzator „cnót niewieścich", homofob, seksista, nacjonalista. Do tego potrafi łatwo przestroić przekaz pod aktualną emocję – i nie przeszkadza mu nawet to, że w modnej obecnie licytacji na antyukraińskość zaczyna powtarzać rosyjską propagandę. Jako mizogin ma dodatkowe punkty. Powtarza wszak, że głównym zadaniem kobiety jest rodzenie dzieci, że ludzie ▶

eprasa.pl 196cd999bb

▶ cieszący się z psiecka to „zgnilizna na polskiej chrześcijańskiej cywilizacji", że „u nas jakoś nie przyjęły się półbaby, półchłopy". Stąd już blisko do Brauna. Pytanie tylko, czy wyborcy dadzą się nabrać na „Braunka"?

Bo przecież mają oryginał. A ten wzorem Trumpa pokazuje, że nie ma bredni, której nie można publicznie wygłosić. Jakie poglądy mają ludzie wspierający Brauna, można się było przekonać podczas Kongresu Korony w podwarszawskim Łochowie. Oprócz klasycznych antysemickich i antyunijnych haseł, straszenia imigrantami i „ukrainizacją Polski", sporo też było o roli kobiet. Te generalnie powinny być uległe – ideałem jest „skromna, słaba, młoda kobieta bez przebiegu". Mowa też była o tym, że rozwody powinny być zakazane, alimenty – zniesione, że bóle porodowe to filmowa kreacja... Na tym tle Konfederacja Mentzena wygląda na umiarkowaną zbieraninę narodowców i gospodarczych liberałów. Ale to tylko retoryczne różnice. I tu przecież promowany jest patriarchalny porządek, feminizm jest zwalczany, a sam lider ugrupowania gwałt nazywa „nieprzyjemnością".

W obozie PiS nowy ruch wyrosły z kryzysu męskości najlepiej czuje Karol Nawrocki, a przynajmniej jego doradcy od marketingu politycznego. W przeciwieństwie do Czarnka czy Brauna jego narracja nie jest tak toporna i nie opiera się głównie na przekonywaniu, że kiedyś było lepiej, wystarczy więc wzmacniać patriarchat i tępić feminizm. Kreacja Nawrockiego jest zmyślniejsza, zarazem kopiuje metody Trumpa. To opowieść o męskości, ojcostwie, męskich wzorcach i męskiej przyjaźni. Nawrocki powiela retorykę liderów manosfery, samców alfa, którzy dla inceli są coachami, mentorami, przewodnikami po świecie. „Mężczyzna jest od tego, aby rozwiązywać problemy, aby nie wahać się, żeby stawać na wysokości zadania" – mówił podczas czerwcowego Poland Future Summit, poświęconego kryzysowi demograficznemu. I rozwodził się: „Ja miałem 20 lat, kiedy zostałem jednocześnie mężem i ojcem już wówczas dwuletniego syna, mieszkałem w pokoju 14 m kw., musiałem ciężko pracować, cztery razy w tygodniu trenowałem, byłem w trakcie robienia doktoratu. I nie zastanawiałem się, czy rodzina mi się opłaci, tylko po prostu chciałem mieć żonę i dzieci. Uznawałem to za swój obowiązek".

Kreacja Nawrockiego

To wyczucie nowych prawicowych trendów wyniosło Nawrockiego na urząd prezydenta. Jego sztabowcy prowadzili kampanię, która dla liberalno-lewicowego komentariatu była przaśna, momentami żenująca; długo wydawało się, że to po prostu nie może zadziałać. A stało się dokładnie odwrotnie. Nawrocki od początku stawiał na demonstrowanie siły rozumianej dosłownie: prężył muskuły na siłowni, wcinał kebaby, opowiadał o sportach walki i życiu „prostego chłopaka z blokowiska". W sztabie Trzaskowskiego bezradnie rozkładano ręce, kiedy widać było, że to się podoba, że nagle wykształcenie, obycie, znajomość języków obcych tylko przeszkadzają w walce o prezydenturę. Ale próba grania tymi samymi kartami w przypadku kandydata KO okazała się bardziej kłopotliwa niż pomocna – słynne zdjęcie „pompek na śniegu" stało się memem, debata w swojskich Końskich okazała się dramatem. Zabrakło autentyczności i pomysłu.

W tych zachwytach Nawrockim widać też nostalgię za latami 90. – również w polityce jest ona wydajna marketingowo. Dla milenialsów końcówka ubiegłego wieku to wyidealizowane czasy dzieciństwa, dla zetek – źródło inspiracji. Więc te kebaby, kibolskie fascynacje, skórzane kurtki, w których pokazuje się Nawrocki, podkreślanie, że się wychowało w bloku, że słucha się rapu, nie są przypadkowe, to zręczna kreacja. Bo tęsknota za czasami sprzed tinderów i tiktoków, gdy konsumpcjonizmu dopiero się uczyliśmy, też się odbija w manosferze.

Charakterystyczne jest także połączenie tej nowej-starej męskości ze światem walk – to kolejna styczna kreacji wizerunkowych Trumpa i Nawrockiego. Bo wokół oktagonu znaleźć można sfrustrowanych mężczyzn szukających – także politycznych – wzorców. O fascynacji trumpistów wrestlingiem i MMA pisał niedawno Łukasz Wójcik (POLITYKA 27), zwracając uwagę: „Dzięki Trumpowi prawicowy entuzjazm dla mieszanych sztuk walki działa coraz częściej na zasadzie kontry – na złość liberałom i kobietom, dla których te zawody są z zasady odrażające". Wójcik przywoływał też słowa amerykańskiej antropolożki Heather Levi: „Ta administracja i cały ruch prawicowy są pełne bladych i radykalnych mężczyzn szukających innych mężczyzn, dzięki którym mogliby pośrednio doświadczyć męskości. A najbardziej pociąga ich pokaz męskości – przemoc".

Tate i Trump

Brutalne walki i patowalki budują toksyczną męską tożsamość – mają być dowodem „biologicznej wyższości", demonstracją siły. W istocie jednak to dochodowy interes, a podlanie go odpowiednią ideologią tylko pomnaża zyski. Szowinistyczne, rasistowskie i mizoginistyczne hasła, wykrzykiwane przed bijatykami, napędzają ten biznes, generują wielomilionowe przychody i zasięgi.

Jak to wszystko się zaczęło, najlepiej pokazuje kariera Andrew Tate'a, czterokrotnego mistrza świata w kick-boxingu, oskarżanego m.in. o gwałt i handel ludźmi – guru światowej manosfery. To ekstremalny mizogin, którego za wzór obrało sobie wielu młodych mężczyzn, z jego kursów uczą się m.in., jak inwestować w kryptowaluty i jak traktować (a właściwie: wykorzystywać i dehumanizować) kobiety. Tate'a przygarnął Trump – mimo ciążących na nim oraz jego bracie zarzutów rumuńska prokuratura zezwoliła, aby Tate'owie opuścili w ubiegłym roku kraj. (Influencer kilka lat wcześniej przeprowadził się do Rumunii, ponieważ – jak twierdził: „Lubi mieszkać w krajach, w których korupcja jest dostępna dla wszystkich"). Nie jest tajemnicą, że najmłodszego syna Trumpa, Barrona, fascynują kaznodzieje manosfery. Sam Tate twierdził zresztą, że jest „bardzo blisko z rodziną Trumpów". Ale sprawa może mieć też drugie dno: Trump również potrzebuje zasięgów Tate'a. To swoista *cross-promotion* – popularna w social mediach technika napędzania sobie wzajemnie fanów. (Kilka dni temu w związku z kolejnymi zarzutami wysuniętymi przez Brytyjczyków braci Tate'ów zatrzymano; mają czekać na ekstradycję – ich prawnik twierdzi jednak, że mogą liczyć na pomoc Trumpa).

Te relacje widać także w dokumencie Netflixa „W głębi manosfery", w którym dziennikarz Louis Theroux pokazuje liderów tego środowiska (i zafascynowanych nimi młodych mężczyzn). Jego bohaterowie chwalą się znajomością z Trumpem – niektórzy z nich zostali zaproszeni na inaugurację jego prezydentury; twierdzą też, że ludzie z ich społeczności są w polityce. Samczyzm miesza się tu z biznesem budowanym na upokarzaniu kobiet. Co ciekawe, sami bohaterowie filmu nie uważają siebie za mizoginów – wszak nie nienawidzą kobiet, po prostu wiedzą, co jest dla nich lepsze. Wybrzmiewają tam hasła dobrze znane także z polskiego świata redpilli: depresja to wymówka, telewizja kłamie, Żydzi rządzą światem, szczepionki są podejrzane... Bo teorie spiskowe z łatwością wsiąkają w tę męską glebę.

eprasa.pl 196cd999bb

Alfa Stanowski

Na wszystko nakłada się nieufność wobec tradycyjnych mediów. To ona w dużej mierze pozwoliła też podbudować się Krzysztofowi Stanowskiemu. Ten biznesmen, który raz udaje dziennikarza, innym razem polityka, nie ukrywa, że robi takie medium, na jakie jest zapotrzebowanie – sam przyznaje, że treści lewicowo-liberalne nie monetyzowały mu się tak dobrze, jak te prawicowe i populistyczne. Bo takie też są algorytmy: nagradzają emocje, a te wywołują skrajności i radykalizmy. Stanowski nie przejął się więc krytyką, która spadła na niego po tym, jak nawoływał w Kanale Zero do linczu urzędniczki gdańskiej skarbówki: „Ty babo głupia, wredna. Babsko obrzydliwe. (...) Przecież ciebie to powinni trzymać na rynku, rozebraną do naga, przypiętą do jakiegoś słupa, żeby wszyscy widzieli, jak głupi potrafi być urzędnik". Poszedł za ciosem i niedługo potem na Kongresie Zero dworował: „Można w domu zrobić ring, zlać gościa, bachora, dziewczynkę. Potem będzie gotowa do przemocy domowej. Gdy będzie miała męża, który ją zleje, ona powie: znam ten smak krwi, mnie to nie przeraża. Ty jesteś odpowiedzialny, żeby niczego się w życiu nie bała".

W kreacji Stanowskiego widać amerykańskie wzorce: stylizuje się na wzorowego alfa male'a (pieniądze, popularność, rodzina), zarazem brzmi jak swojski kapłan Kościoła Chłopskiego Rozumu. Bartosz Arłukowicz z KO stwierdził ostatnio, że Kanał Zero „to środowisko polityczne, które wchodzi na scenę polityczną" (TVN24). Tyle że Stanowski to raczej zmyślny influencer, który nauczył się monetyzować polityczne treści. Nie podąża za jakąś ideą ani wartościami, tylko za algorytmem. Bo to się po prostu opłaca.

Nie jest zresztą w tym odosobniony, na podobnych nutach grają Grzegorz Jankowski z Polsatu czy Bogdan Rymanowski; z feminizmem walczy nawet Leszek Miller. W istocie wszystko to już było – Janusz Korwin-Mikke fascynował młodych mężczyzn na długo, zanim pojawiły się social media. Dziś znalazł licznych następców. A media społecznościowe sprawiły, że mainstream zaczął nasiąkać populizmem i radykalizmem.

Przykładem inny misjonarz Kościoła Chłopskiego Rozumu: Dziki Trener – a właściwie Michał Bodzioch, 37-latek z Krakowa, który popularność zawdzięcza nie tyle ćwiczeniom, ile kontrowersyjnym opiniom na każdy temat. Szerzy treści seksistowskie, antynaukowe, antyukraińskie; powiela teorie spiskowe (covid) i rosyjską propagandę. Mimo to ma ogromne zasięgi – na samym Facebooku zgromadził ponad 2,2 mln odbiorców. W opinii Bodziocha feministki to „fanatyczki", które łączy potrzeba posiadania wspólnego wroga; nie walczą o równość, ale o utrzymywanie przywilejów. A tych jest wiele: sądy rodzinne przyznają opiekę matce „nawet takiej najbardziej dyskusyjnej, byleby nie dać facetowi", „można mężczyznę wyrzucić z własnego mieszkania na podstawie pomówienia kobiety", „dla kobiet niższe wyroki, lepsze warunki w więzieniu, dodatkowe punkty w pracy, na studia, kursy i szkolenia, badania profilaktyczne", no i oczywiście niższy wiek emerytalny – wylicza.

Słowniczek dla niewtajemniczonych

Alfa male – samiec alfa, wzór męskości i sukcesu
Beta-provider – mężczyzna, który dostarcza kobiecie zasobów w zamian za okazjonalny seks
Chad – atrakcyjny mężczyzna cieszący się powodzeniem wśród kobiet
Incel – mężczyzna żyjący w mimowolnym celibacie
Manosfera – rozproszona przestrzeń internetowa (fora, strony, podkasty, profile w social mediach) promująca tradycyjną, toksyczną wizję męskości
Redpille – „przebudzeni", którzy wierzą, że pojęli prawdę o świecie i kobietach; dążą do samodoskonalenia, głoszą mizoginistyczne hasła
Sigma – charyzmatyczny mężczyzna, który „pokonał system", typ samotnego wilka, niekoniecznie lidera stada
Simp/cuckold/białorycerz – mężczyzna uległy wobec kobiet, wręcz służalczy

Równość mężczyzn

Ale wątek nierównego traktowania mężczyzn próbują podejmować nie tylko influencerzy. Eksploatuje go choćby poseł Marcin Józefaciuk, który po rozstaniu z KO próbuje nie popaść w polityczne zapomnienie i coraz częściej mówi językiem manosfery. Gdy więc mowa o urlopie menstruacyjnym, podnosi larum, że to dyskryminacja. Kiedy ministra Katarzyna Kotula tłumaczy, że różnica w wieku emerytalnym wynika z tego, że to głównie na kobietach spoczywają obowiązki domowe i opiekuńcze, Józefaciuk dworuje, że „bezdzietna kobieta może przejść na emeryturę w wieku 60 lat, ponieważ... inne kobiety częściej odkurzają". Postulaty dotyczące praw kobiet demagogicznie odwraca. „Taki sposób argumentacji i stawiania problemów mężczyzn jest charakterystyczny dla współczesnej manosfery. Jej badaczki opisują to zjawisko jako rywalizację o status grupy bardziej poszkodowanej. Schemat jest prosty: pojawia się rozwiązanie adresowane do kobiet, ale zamiast dyskusji o ich potrzebach, dyskusja jest przesuwana na problemy mężczyzn" – zauważa Dominika Wantuch („Wysokie Obcasy"). Trudno oprzeć się wrażeniu, że to wszystko polityczna kalkulacja.

Z dyskryminacją mężczyzn walczy też m.in. powołane w 2022 r. Stowarzyszenie na rzecz Chłopców i Mężczyzn – organizuje Kongresy Mężczyzn, podejmuje temat samobójstw Polaków, ich zdrowia czy statystyk demograficznych, które są korzystniejsze dla kobiet (Polki żyją średnio 7,5 roku dłużej). Stowarzyszenie zrzesza ok. 120 osób, ma nawet 525-stronicowy manifest. Autor tej pracy utrzymuje, że świadomie wybiera dyskusję o mężczyznach i ich problemach, nie o męskości. Nie brakuje jednak głosów – jak choćby prof. Wojciecha Śmieji na łamach „Tygodnika Powszechnego" – że przedstawione tam diagnozy tylko z pozoru są wyważone i neutralne. Jak argumentuje Śmieja, i tu chodzi o kolportowanie „narracji backlashowych" (*backlash* to kontratak konserwatywnej kultury), tyle że ich forma jest bardziej wyrafinowana niż w przypadku Czarnka czy Brauna. A przez to niebezpieczna.

Kryzys męskości jest faktem, jednak pogłębianie podziałów i patriarchalne porządki go nie rozwiążą. Co więcej, sfrustrowani i niedowartościowani mężczyźni to niezwykle plastyczny materiał: podatny na wpływy i manipulacje, także te polityczne. Łatwo kierować ich złość przeciwko dowolnym grupom: obcokrajowcom, Żydom, mniejszościom seksualnym, kobietom... Owszem, za ich gniewem kryją się realne problemy. Sęk w tym, że ci, którzy podsuwają im proste diagnozy i recepty, najczęściej chcą po prostu zbić na nich kapitał. Także ten polityczny.

MALWINA DZIEDZIC

eprasa.pl 196cd999bb



Imperium hiszpańskie

MARCIN PIĄTEK

Ładny mundial został zwieńczony brzydkim finałem. Ale i klasycznym: nowy mistrz obalił starego.

Finał mundialu odbył się, mimo że Nowy Jork spowił wcześniej dym z płonących lasów w prowincji Ontario, a meczu nie sędziował Szymon Marciniak, co urosło w Polsce do rangi narodowego dramatu. I do złudzenia przypominał ten z 2010 r., również zwycięski dla Hiszpanii. W tamtym finale naprzeciw późniejszych mistrzów też stanęła drużyna – Holandia – zaprogramowana na faule, przeszkadzanie i obrzydzanie gry wszystkimi dostępnymi metodami, co w końcu przypłaciła też wyrzuceniem jednego z zawodników, a Hiszpanie wreszcie złamali opór w dogrywce, ratując poczucie, że wygrał futbol, i unikając loterii rzutów karnych.

Teraz w tę rolę wcieliła się Argentyna. Przez bite dwie godziny nie oddać na bramkę rywala ani jednego celnego strzału, a wątłe próby ograniczyć do końcówki dogrywki, to duża sztuka. Zwłaszcza że dokonała tego drużyna mająca w szeregach Lionela Messiego, piłkarza przez wielu uznawanego za najlepszego w historii, który mając już niemal czterdziestkę na karku, grał wcześniej jak z nut (osiem goli i cztery asysty). Dyrygował zespołem, który w fazie pucharowej trzeba było dobić osinowym kołkiem. Argentyna

© DAN MULLAN/GETTY IMAGES

eprasa.pl 196cd999bb



Zwycięska drużyna Hiszpanii, po prawej: **prezydent Donald Trump z prezydentem FIFA Giannim Infantino, stadion New York New Jersey**

odwróciła dwa przegrane, wydawało się, mecze, bo jej piłkarze walczyli, jakby od wygranej zależało życie ich dzieci.

Finałowy antyfutbol kładzie się cieniem na wcześniejszej heroicznej grze Argentyny, a płaczący po dekoracji Messi nie tak wyobrażał sobie detronizację i pożegnanie z mistrzostwami świata. Argentyńska reprezentacja to fenomen, bo w czasach obsesji taktycznej skrytości gra w otwarte karty: Messi jest naszym wodzem, nic w ataku nie może się stać bez jego udziału, oddajmy mu piłkę, a on na pewno coś wymyśli. Cały świat to wie, większość i tak sobie nie radzi, ale w ostatnim meczu turnieju to nie zadziałało.

Już w półfinale z Francją Hiszpanie pokazali, jak wygląda prymat systemu i zespołowości nad indywidualnościami. Francuzi, którzy wcześniej szli przez turniej jak burza, nie byli w stanie stworzyć przeciw Hiszpanom ani jednej groźnej akcji, pierwszy celny strzał oddali po ponad godzinie meczu, kolejne dwa w końcówce, gdy wynik był już rozstrzygnięty, a ścigający się z Messim o miano najlepszego strzelca mundiali Kylian Mbappé (dopiął swego – ma już 22 gole, w tym 10 na tym turnieju) snuł się ze smętną miną. Ale jeszcze lepiej hiszpański patent na złoto widać w statystykach: bramkarz Unai Simón został rekordzistą mundiali pod względem czasu bez straty gola (649 minut, passa trwała od poprzednich mistrzostw świata, gdzie Hiszpanie odpadli po meczu z Marokiem po rzutach karnych; skończyło się bezbramkowym remisem), mistrzowie dali sobie w drodze po tytuł strzelić zaledwie jedną bramkę (z Belgią), właściwie nie pozwalali rywalom na oddawanie celnych strzałów i mieli wyraźną przewagę, jeśli chodzi o posiadanie piłki.

Podziw dla Hiszpanii jest podziwem zarezerwowanym przede wszystkim dla futbolowych koneserów, którzy nie mierzą atrakcyjności meczu oraz jakości drużyny wirtuozerskimi akcjami zwieńczonymi widowiskowymi golami, ale zwracają uwagę na organizację gry we wszystkich formacjach oraz na harmonię ich współpracy. Brzmi to nudno i sztywno, ale jest co do zasady solą piłki nożnej rozumianej jako gra, w której zwycięstwo jest dziełem zespołu, a nie indywidualnych zrywów. One są niezbędne, żeby dodać potrawie pieprzu, ale danie nie może się składać z samych przypraw.

W teorii futbolu wciąż mocno trzyma się szkoła optymalnego wykorzystania boiska, na co pierwsi zwrócili uwagę i w latach 70. XX w. doprowadzili niemal do perfekcji Holendrzy. Czyli naród, który ma we krwi myślenie o spożytkowaniu przestrzeni w sposób innowacyjny i kreatywny, bo od wieków właśnie tak musiał organizować swoje życie na skrawku ziemi, w dużej części wydartemu morzu. Podstawowe założenie futbolu totalnego, czyli maksymalne rozciąganie pola gry podczas ataku i zawężanie go po stracie piłki (poprzez ruch graczy i pozycje zajmowane przez nich na boisku), powraca w kolejnych wcieleniach. Ze względu na tempo i intensywność gry ostatnio to futbol na sterydach, zwany *gegenpressing*, rodem ze szkoły trenera Jürgena Kloppa.

Hiszpanie udoskonalili *gegenpressing*, którego istota sprowadza się do błyskawicznego doskoku do rywala po stracie piłki i pozamykania mu opcji rozegrania, a gdyby spojrzeć na ich mecze z lotu ptaka i przyłożyć geometryczne przyrządy, okazałoby się, że mistrzami świata zostali mistrzowie obezwładniania swoich przeciwników. Kolejni rywale przegrywali z ekipą trenera Luisa de la Fuente, bo nie mogli rozwinąć skrzydeł, nie byli w stanie konstruować akcji, gdyż linie podań były odcięte, możliwości przedostania się pod pole karne kurczyły się w oczach, Hiszpanie zajęci paraliżowaniem przeciwników raz za razem przybijali „piątki", frustracja rywali osłabionych własną nieporadnością w ataku i strachem przed tym, że Hiszpanie w końcu skutecznie ukąszą, rosła.

Trener mistrzów Luis de la Fuente, który dwa lata temu doprowadził Hiszpanów również do prymatu w Europie, a jeszcze wcześniej z wieloma z tych piłkarzy triumfował w międzynarodowych rozgrywkach młodzieżowych, powiedział po imponującej lekcji udzielonej Francji, że dobry zespół ma sposób na zneutralizowanie każdej taktyki, a Hiszpania osiąga to dzięki porządkowi i równowadze w grze, poświęceniu, wysiłkowi, obecności wybitnych talentów oraz doskonałej interpretacji poszczególnych faz gry przez zawodników. I że dla niego hiszpańscy piłkarze są niezrównani, bo doskonale wiedzą, jak się zachowywać i w ataku, i w obronie, co jest wielkim osiągnięciem całego tamtejszego futbolu. Czyli rozumieją grę, świetnie ją czytają, wiedzą, że czasem trzeba mądrze stać, zamiast głupio biegać. Stąd też po części odpowiedź, dlaczego polski futbol jest tam, gdzie jest. ▶

eprasa.pl 196cd999bb

▶Mundial katapultuje kariery, koronuje kariery, ale też potrafi je zdruzgotać, a coś, co w codzienności futbolu klubowego przemija z wiatrem, soczewka mistrzostw świata utrwala na zawsze. Może finał byłby ładniejszy, gdyby zamiast Argentyny zagrała w nim Anglia, ale jej niemiecki szkoleniowiec Thomas Tuchel podał półfinałowym rywalom zwycięstwo na tacy. Anglicy przetrwali mieszane sztuki walki narzucone im w pierwszej połowie, w drugiej objęli prowadzenie po koronkowej akcji i cofnęli się na własne pole karne, usiłując w ten sposób dotrwać do finału. Tuchel dokonał zmian, których nie powstydziłby się Czesław Michniewicz. Wprowadził dodatkowych obrońców, odebrał zespołowi jakikolwiek potencjał ofensywny, podczas gdy o ataki aż się prosiło, ponieważ Argentyńczycy musieli się odkryć.

Messiemu nie trzeba dwa razy powtarzać, że rywal oddaje mu pole i zaprasza do ataku. Argentyńczycy rozpoczęli zmasowany ostrzał i dla każdego postronnego obserwatora było jasne, że ta obrona angielskiej Częstochowy padnie. Podopieczni Tuchela



Ferran Torres po zdobyciu bramki dla Hiszpanii w dogrywce finałowego meczu z Argentyną

stracili dwa gole, a powinni byli stracić pięć (były dwa słupki). 12 to liczba angielskiego wstydu tego meczu. Przez tyle procent czasu gry od straty gola (w 55. minucie) zespół Tuchela był w stanie utrzymać się przy piłce. Gdyby Anglicy wystawili manekiny zaprogramowane na wybijanie piłki gdzie popadnie, ta statystyka wyglądałaby podobnie.

Anglia po przegranym półfinale zjednoczyła się we wściekłości i wstydzie, gdyż ta tchórzliwa ucieczka do okopów pola karnego dokonała się właśnie pod naporem Argentyny. Dla niej pojedynek z Anglią to coś więcej niż mecz, bo to rewanż za przegraną szybko i boleśnie wojenkę o Falklandy, zwane w Argentynie Malwinami, w 1982 r. Od tej pory obie reprezentacje się unikają, mogą się mierzyć tylko na mistrzostwach świata – był to pierwszy mecz Messiego przeciw Anglikom – i przy takich okazjach zawsze wraca ponure dla Anglików echo ćwierćfinału 1986 r., w którym Diego Maradona przechytrzył sędziego i rywali, strzelając gola ręką, a chwilę potem ich pogrążył, zdobywając bramkę po rajdzie przez pół boiska i kładąc po drodze na ziemi pięciu rywali.

Wybrać na szkoleniowca angielskiej reprezentacji Niemca to nie była decyzja łatwa ani oczywista, ale wszyscy ludzie tamtejszej piłki mieli już dość przegrywania najważniejszych turniejowych meczów oraz tego, że Anglia gra w nich bojaźliwie, zachowawczo, a trzy lwy w herbie miauczą, zamiast ryczeć. Za Tuchelem szła sława futbolowego intelektualisty, człowieka trudnego i aroganckiego, ale uwielbiającego taktyczne podchody; gdy zaczynał karierę w Mainz, jego znakiem rozpoznawczym było to, że z meczu na mecz zawsze zmieniał skład. Potem wygrał Ligę Mistrzów z Chelsea, pokonując w finale Manchester City prowadzony przez swojego guru Pepa Guardiolę i został mianowany selekcjonerem właśnie po to, by zaprogramować Anglików na kontrolowanie meczów. Tymczasem już w ćwierćfinale z Norwegią, największą sensacją turnieju, zrobił niezrozumiałe zmiany i osłabił zespół, ale wtedy jeszcze uszło mu to na sucho. W półfinale został ojcem tchórzliwej porażki, która będzie się za nim długo ciągnąć.

Finał mundialu zaszczycił najważniejszy z gospodarzy, prezydent Donald Trump. Wcześniej konsekwentnie meczów unikał, obawiając się zapewne wiejącego z trybun chłodu. Jak się okazało, słusznie, bo gdy wchodził na murawę, przymierzając się do dekoracji, było słychać gwizdy.

Wręczywszy Hiszpanom trofeum, wyraźnie opierał się przed zejściem ze sceny, ale w końcu ustąpił, uznawszy zapewne, że na jakieś zdjęcie się załapał. Jeśli chodzi o jego wpływ na przebieg mundialu, mogło być gorzej. Największa obawa, czyli regularne łapanki urządzane przez funkcjonariuszy migracyjnych pod stadionami, a może i na nich, się nie potwierdziła, co oczywiście oznacza tylko tyle, że czystki narzucone przez administrację Trumpa zostały na czas mundialu nieco wyhamowane. Poza tym było przewidywalnie: Trump uznał, że jego pozycja upoważnia go do wpływania na pomeczowe rozstrzygnięcia, i interweniował w sprawie przywrócenia do gry najskuteczniejszego amerykańskiego napastnika Folarina Baloguna, który w meczu z Bośnią i Hercegowiną otrzymał czerwoną kartkę, co wykluczało go z gry w kolejnym spotkaniu z Belgią. FIFA się ugięła, zawiesiła wykonanie kary na rok, wyznaczając nowe granice między równymi i równiejszymi. To była największa żenada turnieju, wyprzedziła w tej konkurencji przecinające połowy meczów przerwy na nawadnianie, także na klimatyzowanych stadionach.

Nawet z cudownie przywróconym Balogunem Amerykanie nie mieli nic do powiedzenia w meczu z Belgią, a im dalej w turniej, tym bardziej współczynnik niespodzianek malał. Na ostatniej prostej zostali murowani faworyci, pierwsze cztery zespoły rankingu FIFA, co stało się zresztą możliwe dzięki przejęciu przez futbolowych działaczy tenisowych zasad rozstawienia obowiązujących na wielkich turniejach, zgodnie z którymi najwyżej plasujący się w rankingu mogą wpaść na siebie dopiero na ostatniej prostej.

Przypadek sensacyjnej reprezentacji Wysp Zielonego Przylądka, która odpadła z mundialu, nie przegrywając w regulaminowym czasie meczu nawet z mistrzami i wicemistrzami świata, przysłania działaczom FIFA nieprzystającą do mistrzowskiego turnieju słabość kilku innych drużyn: Haiti, Tunezji czy Iraku. Już trwają jednak przymiarki, by liczbę uczestników, i to kolejnego mundialu, zwiększyć z 48 do 64, gdyż – jak twierdzi prezydent FIFA Gianni Infantino – misją FIFA jest nieść mundialowy kaganek w każdy zakątek globu i kreślić nawet przed piłkarskimi peryferiami perspektywę awansu do turnieju, gdyż to najlepsza motywacja do rozwoju. Co może oznaczać więcej miejsc również dla Europy i łatwiejszy awans – bo bez baraży – dla Polski. W cztery lata dzielące nas od kolejnego mundialu nie da się skopiować i upowszechnić hiszpańskiej kultury futbolowej. Ale próbować można. Tylko czy są chętni?

MARCIN PIĄTEK

© DAVID RAMOS/GETTY IMAGES

eprasa.pl 196cd999bb

POLITYKA

SŁUCHAJ I OGLĄDAJ!



















Rozmawiamy nie tylko o polityce.

Poruszamy sprawy, które mają znaczenie.

Szukamy odpowiedzi na trudne pytania.

POLITYKA.PL/PODKASTY

eprasa.pl 196cd999bb







Władysław Kosiniak-Kamysz i Szymon Hołownia, 2024 r. Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz i Paulina Hennig-Kloska toczą wojnę podjazdową. Ryszard Petru zapowiada nową inicjatywę polityczną jesienią.

Trzecia Droga w remoncie

Pełczyńska walczy, Hołownia myśli, Petru fantazjuje. Powstają unie i piętrzą się spiski. Po Trzeciej Drodze zostały polityczne wertepy. Czy Kosiniak-Kamysz posprząta ten bałagan?

MICHAŁ DANIELEWSKI

Byli kluczowi, by pokonać PiS w 2023 r., ale dziś z tamtej chwilowej potęgi zostały tylko polityczne okruszki, wirujące pod wyborczym progiem. Zaś w przyszłym roku historia może powtórzyć się jako farsa, bo środowiska tworzące niegdyś Trzecią Drogę znów mogą okazać się decydujące przy obaleniu władzy. Tylko że teraz będzie to władza, którą sami współtworzą, a doprowadzą do jej upadku przez własną słabość, podziały i brak wyobraźni. Projekt, który miał być nową jakością, dziś bardziej przypomina grupę rekonstrukcyjną lat 90., kiedy partie mieściły się w sejmowej windzie, zaś co drugi poseł nosił buławę w plecaku, fantazjując o własnej kanapowej formacji. Tam, gdzie niedawno była Trzecia Droga, dziś mamy wszechogarniający bałagan, charakterystyczny dla generalnego remontu. Czy uda się go zakończyć do wyborów?

Rozpad i chaos

A zapowiadało się przecież nadzwyczajnie. Koalicja PSL i Polski 2050 pod szyldem Trzeciej Drogi zdobyła w wyborach 15 października 14,4 proc. głosów. Stanowiła, jak się okazało, niezbędne pośrednie ogniwo między PiS i Konfederacją a KO i Lewicą. Zdobyła istotne dwucyfrowe poparcie zarówno na wsi, jak i w wielkich miastach; i wśród najmłodszych wyborców, i u tych w sile wieku. To był realnie prawoskrętny, ale w powszechnej percepcji centrowy projekt, idealnie trafiający w społeczną niszę jako atrakcyjna propozycja dla tych, którzy mieli dość władzy Kaczyńskiego, obawiali się radykalizmu Mentzena i Bosaka, a jednocześnie czuli nieufność wobec

eprasa.pl 196cd999bb

Donalda Tuska i niekoniecznie było im po drodze z profilem ideowym Lewicy.

Nawet jeśli nieco przesadnie uznać, że co czwarty głos na Trzecią Drogę był głosem taktycznym, bo wyborcy tamtej jesieni wyjątkowo szczegółowo studiowali zawiłości ordynacji wyborczej i słynnej metody D'Hondta, zostaje nam, lekko licząc, ponad 2,3 mln obywatelek i obywateli, którzy szczerze uwierzyli, że sojusz Władysława Kosiniaka-Kamysza i Szymona Hołowni może przynieść nową jakość w polskiej polityce. To właśnie poparcia tej grupy brakuje obecnie koalicji 15 października, by poważnie myśleć o kolejnej kadencji. Niektórych z nich przechwyciła Koalicja Obywatelska, ale w dużej części, zwłaszcza młodsi, odpłynęli do Konfederacji lub zniesmaczeni wybierają wyborczą absencję.

Dziś zamiast dwóch partii tworzących kiedyś Trzecią Drogą istnieją trzy: PSL, Polska 2050 i nowo powstała Unia Centrum. Do tego mamy dwóch politycznych outsiderów z liderskimi ambicjami: Ryszard Petru zapowiada bliżej niesprecyzowaną nową inicjatywę polityczną jesienią, Szymon Hołownia zapewnia natomiast, że nowego ugrupowania tworzyć nie chce, za to pod szyldem „Umiarkowani" pragnie gromadzić wokół siebie podobnie myślących ludzi, którzy są chętni na „restart systemu". Kibicuje mu w tym Władysław Kosiniak-Kamysz, który potrzebuje partnerów odświeżających seledynowy i wciąż lekko paździerzowy wizerunek ludowców. Potrzebuje ich tym bardziej że ostatni raz w wyborach parlamentarnych PSL startował solo 11 lat temu, gdy cudem – o 0,14 pkt proc. – prześlizgnął się przez pięcioprocentowy próg. I raczej nie uśmiecha mu się powtórka z tego granicznego doświadczenia, bo ambicje ma dużo większe – chce być główną, niepodważalną siłą na prawej flance obozu demokratycznego.

To nie koniec sprawozdania z porozrzucanych chaotycznie puzzli, które składały się kiedyś na Trzecią Drogę, bo koniecznie trzeba też dodać, że nowa szefowa Polski 2050 Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz stanowi w rządzie wewnętrzną opozycję i niemal codziennie kłóci się publicznie ze wszystkimi innymi partiami koalicji. Biorąc to wszystko pod uwagę, zaskoczenie jest spore, gdy uświadomić sobie, że ta cała kolorowa, anarchiczna, polityczna trupa wciąż zbiera razem w sondażach mniej więcej 6–7 proc. poparcia, gdzie ok. 4 proc. przypada na PSL, a reszta na pozostały plankton. Gdyby żaden z tych potencjalnych głosów nie zmarnował się pod progiem w dniu wyborów, koalicja 15 października miałaby realną szansę na wyrównaną walkę z prawicową opozycją. Problem w tym, jak uporządkować ten chaos, składający się z wielości szyldów, ambicji i animozji. I czy w ogóle jest to możliwe.

Razem, ale osobno

Najtrudniej w polityczną układankę wpasować Polskę 2050, która powoli zmienia się w jednoosobową partię przewodniczącej Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz, ale wciąż osiąga w sondażach średnio 2 proc. wskazań. Pełczyńska co prawda ogłaszała ostatnio, że zasobem jej formacji są „różne możliwości koalicyjne", ale gdyby chcieć wymienić chociaż jedną z nich, nic za bardzo nie przychodzi do głowy. Za to mapa konfliktów tworzy w jej przypadku skomplikowane kłącze, które trudno rozwikłać, a jeszcze trudniej zrozumiale opowiedzieć komuś, kto nie śledzi codziennie perypetii polityków ze śladowym poparciem. Ale spróbujmy.

Z ugrupowaniem Pauliny Hennig-Kloski, która po przegranych wyborach w Polsce 2050 dokonała rozłamu, a dziś po fuzji z Unią Europejskich Demokratów tworzy Unię Centrum, Pełczyńska toczy nieustającą wojnę podjazdową. Z Szymonem Hołownią również jej stosunki są co najwyżej takie sobie: ojciec założyciel Polski 2050 zrezygnował z funkcji wiceprzewodniczącego partii, za to chętnie zostałby szefem jej klubu parlamentarnego, co na razie mu się nie udało. Ale gdyby dopiął swego, zapewne następnym krokiem byłaby próba odzyskania kontroli nad ugrupowaniem i powrót do sojuszu z PSL. Scenariusz realny, bo Pełczyńska-Nałęcz nie jest posłanką, więc jej kontrola nad własnym zapleczem parlamentarnym jest krucha. Jest pytanie: czy obecna szefowa Polski 2050 sama nie może porozumieć się z ludowcami? Ano nie może, ponieważ Władysław Kosiniak-Kamysz nie dopuszcza takiego scenariusza, kilkakrotnie już w ostatnich tygodniach wysyłając Pełczyńską do partii Razem, co, jak się zdaje, w ustach szefa PSL ma być wyrafinowaną obelgą. W kierunku Razem popycha szefową Polski 2050 również Ryszard Petru, który – uwaga, bo to skomplikowane – jest w klubie parlamentarnym Centrum, ale nie przystąpił do partii Unia Centrum.

Dryf Pełczyńskiej w stronę formacji Adriana Zandberga to byłby zresztą nawet logiczny kierunek, bo dałoby się znaleźć kilka programowych oraz ideowych stycznych takiego potencjalnego sojuszu – na przykład dotyczących polityki mieszkaniowej, zwiększenia opodatkowania sektora bankowego czy ogólnej niechęci do starej klasy politycznej. Szkopuł w tym, że Razem jest dziś w fazie odgrywania głęboko antyrządowej i antyestablishmentowej partii gniewu i rozczarowania, więc ministra rządu Donalda Tuska jest im nieszczególnie potrzebna do szczęścia. W sposób oczywisty Pełczyńska-Nałęcz nie będzie również partnerką dla Koalicji Obywatelskiej, ponieważ marzeniem premiera Tuska jest pozbycie się jej z rządu, o ile dałoby się to zrobić w miarę bezboleśnie i bez ryzyka trwałej utraty sejmowej większości. Tak oto łatwo dojść do wniosku, że szefowa Polski 2050 rzeczywiście ma duże zdolności koalicyjne, osobliwie do tworzenia koalicji przeciwko samej sobie.

Na tropie spisków

Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz jest jak kamyk w koalicyjnym bucie, a uwiera tym bardziej że dopóki pozostaje przewodniczącą Polski 2050, dopóty kontroluje miliony z budżetowej dotacji i subwencji dla partii, co na trochę ponad rok przed wyborami jest kapitałem znaczącym. I dodatkowo motywuje przeciwników, żeby skutecznie wypchnąć Pełczyńską na polityczny aut. Być może stąd bierze się dostrzegalny u niej gołym okiem syndrom oblężonej twierdzy. Jeśli dziennikarze zadają niewygodne pytania, musi to być wynikiem spisku. Jeśli w jakiejś sprawie uda się pchnąć jej postulaty naprzód, natychmiast znajduje kolejne pola walki z koalicjantami. To zresztą chyba główny problem, jaki z szefową Polski 2050 mają jej rządowi partnerzy: nie sposób dociec, o co jej tak naprawdę chodzi i jaki jest jej długofalowy polityczny cel. Zresztą brak umiejętności gry zespołowej i nadmierne skupienie na sobie to zarzuty formułowane wobec Pełczyńskiej również przez ludzi, którzy współpracowali z nią jeszcze przed jej zaangażowaniem w działalność partyjną.

Nie sposób zaprzeczyć, że liderka Polski 2050 traktuje politykę jako nieustanne pole bitwy, starcie ambicji i walki o prymat. Ale jednocześnie, gdy analogiczne podejście ma polityk mężczyzna, nie budzi to aż tak wiele niechęci. Da się więc znaleźć sens w argumentach, że ocena Pełczyńskiej-Nałęcz bywa formułowana według stereotypowo seksistowskiego schematu: gdy mężczyzna walczy o swoje, kobieta niepotrzebnie się kłóci; gdy mężczyzna ▶

© PAP/LESZEK SZYMAŃSKI, TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl 196cd999bb

▶ jest ambitny, kobieta egoistycznie gra na siebie i mąci, i tak dalej. W ogólnie raczej nijakim rządzie ministra funduszy i polityki regionalnej jest jedną z niewielu osób, którym się chce, jest kreatywna i ma pomysły. Tak jest choćby z podniesieniem drugiego progu podatkowego do 140 tys. zł, co byłoby gestem wobec klasy średniej oraz mrugnięciem okiem do części liberalnego elektoratu ciążącego ku Konfederacji, że koalicja 15 października nie tłamsi podatkami lepiej zarabiających i zarazem ciężko pracujących obywateli. Koncepcję podniesienia progu testuje też już PiS.

Najprawdopodobniej zresztą rząd w końcu drugi próg podniesie, ale już bez Pełczyńskiej-Nałęcz na pokładzie. Dała się zapędzić do narożnika, właściwie bez żadnych sojuszników i możliwości ruchu. A jej główny atut polityczny, czyli względna kontrola nad kilkunastoma posłami w Sejmie, po głosowaniu nad budżetem późną jesienią straci swoją moc. Ewentualna chwilowa utrata większości nie będzie już wtedy straszakiem dla koalicyjnych partnerów, więc rozbiór Polski 2050 będzie można zacząć na poważnie.

Kto ich przygarnie

W przeciwieństwie do Pełczyńskiej-Nałęcz dokładnie wiadomo, o co chodzi ministrze klimatu Paulinie Hennig-Klosce, która w lutym dokonała rozłamu w Polsce 2050, a teraz została szefową nowej partii. Unia Centrum powstała na bazie Unii Europejskich Demokratów, czyli spadkobierczyni Unii Wolności i Partii Demokratycznej, co w 2026 r. nie brzmi nadzwyczaj atrakcyjnie. Ale też nowa formacja o przesadną atrakcyjność dbać nie musi, jest bowiem wyłącznie wehikułem do wprowadzenia kilkudziesięciu osób na bardziej rokującą wyborczą listę. Trzonem nowego ugrupowania jest klub parlamentarny Centrum skupiony wokół Hennig-Kloski, a politycy Unii przekonują, że będą się przygotowywać, by samodzielnie wystartować do parlamentu. Jednak to typowy rytuał przy okazji wodowania nowego projektu politycznego i nie należy przywiązywać do niego większej wagi. Tak naprawdę główne pytanie dotyczy tego, do kogo Unia Centrum dołączy przed wyborami.

Najczęściej mówi się o Koalicji Obywatelskiej, natomiast z punktu widzenia partii Donalda Tuska byłaby to działalność czysto charytatywna, trudno bowiem znaleźć jakąkolwiek korzyść dla KO z przygarnięcia osób z Unii: zysk w głosach minimalny, a trzeba byłoby zrobić dla nich miejsce na listach. Bardziej logiczny wydaje się PSL, tym bardziej że Unia Europejskich Demokratów ma długą historię współpracy z ludowcami – w 2018 r. tworzyli razem klub parlamentarny, w 2019 r. startowali z ich list, a w 2023 r. współtworzyli Trzecią Drogę. Dziś mogliby odgrywać rolę mediatorów w ramach Unii Centrum, bo między PSL a Hennig-Kloską wielkiej miłości nie ma. Marek Sawicki opisywał ją nawet jako „jeden z najsłabszych punktów rządu" i kpił z kompetencji politycznych minister klimatu.

W tej układance niewiadomą jest Ryszard Petru, wciąż przywiązany do swojej fantazji o tworzeniu „Konfederacji light", która miałaby odbierać głosy partii Mentzena i Bosaka, a poza tym posiadałaby tę szczególną zaletę, że to właśnie Petru byłby jej liderem. Były szef Nowoczesnej nie przystąpił więc do Unii Centrum, choć cały czas pozostaje członkiem sejmowego klubu Centrum. Ale i w tym wypadku nie należy mieć wątpliwości, że ostatecznym celem Petru jest wywalczenie sobie dobrego miejsce na liście, która ma szansę wejść do Sejmu. Uznał jednak, że w formie jednoosobowej działalności politycznej zrobi to skuteczniej niż jako część szerszego środowiska.

Hegemon Kosiniak-Kamysz

Z całego tego zamieszania zwycięsko ma szansę wyjść Władysław Kosiniak-Kamysz, który jako jedyny z masy upadłościowej po Trzeciej Drodze dysponuje pozycją polityczną, kapitałem społecznego zaufania, silnymi strukturami organizacyjnymi i zasobami finansowymi do prowadzenia skutecznej kampanii wyborczej. Szef ludowców stoi przed niepowtarzalną szansą, żeby podporządkować sobie te środowiska koalicji 15 października, które pozycjonują się równolegle lub nieco na prawo od KO. Już teraz zaprasza do współpracy Szymona Hołownię, z całą pewnością nie będzie się sprzeciwiał współpracy z Unią Centrum, a gdyby udało się pozbawić Katarzynę Pełczyńską-Nałęcz kontroli nad Polską 2050, wszystkie podmioty, które startowały razem w 2023 r., mogłyby powtórzyć tamten manewr. Z tym że już nie w pozycji partnerskiej, ale w jasnym układzie, gdzie Kosiniak-Kamysz jest hegemonem, a pozostali wasalami.

I miałoby to jakiś sens. Po pierwsze, w środowisku zżeranym przez nadmiar ambicji, sprzecznych interesów i historycznych zaszłości jeden niepodważalny przywódca to większa nadzieja na długofalową stabilność. Po drugie, nowoczesna, przewidywalna chadecja, konserwatywna i wolnorynkowa, ale pozbawiona ortodoksji i doktrynerstwa, z popularnym, lubianym liderem, jednocząca różne polityczne środowiska, mogłaby znaleźć swoją niszę. A do tego zrealizować marzenie młodszej generacji liderów PSL i uczynić partię akceptowalnym wyborem dla elektoratu, który był dla niej dotychczas niedostępny, czyli szeroko rozumianej klasy średniej z dużych i wielkich miast. W projekcie Trzeciej Drogi tych wyborców obsługiwała Polska 2050, teraz ludowcy mogliby próbować ich zdobyć już na własnych warunkach.

PSL jako dominator przygarniający pod swoje skrzydła rozbitków ze śladowym poparciem byłby również funkcjonalny dla całej koalicji 15 października. Więcej, jeśli odrzucić jako nierealny scenariusz koalicji wyborczej ludowców z KO, jest to dla obecnego obozu władzy jedyne rozwiązanie, które jest jednocześnie racjonalne wyborczo i wykonalne politycznie. Oczywiście zbliżenie się do wyniku Trzeciej Drogi byłoby nierealne, ale przeskoczenie progu wyborczego ze sporym zapasem – jak najbardziej.

Najnowsza historia pokazuje, że najtrwalsze projekty powstają nad Wisłą z politycznych strzępów, dołków i porażek. PiS i Platforma Obywatelska wykluły się w efekcie kompromitacji koalicji AWS-Unia Wolności. Konfederacja powstała w chwili, gdy wydawało się, że radykalna prawica już nigdy nie pokona klątwy Janusza Korwin-Mikkego i nie przekroczy wyborczego progu. Podobnie koalicja Lewicy na wybory w 2019 r. urodziła się głównie ze słabości tworzących ją formacji.

W tym kontekście PSL jako główny beneficjent katastrofy Trzeciej Drogi i domyślna partia dla umiarkowanie prawicowego, wolnorynkowego elektoratu, nie byłby niczym nadzwyczajnym. Stanowiłoby to również naturalne zwieńczenie dotychczasowej drogi politycznej Władysława Kosiniaka-Kamysza. Od momentu, gdy w 2015 r. jako 34-latek zostawał szefem ludowców, jest politykiem konsekwentnym, przewidywalnym i trzymającym się pryncypiów mimo nieufności liberalnej części opinii publicznej, kuszenia przez PiS i wewnętrznych prób, by wysadzić go z siodła. Dziś jawi się jako jeden z niewielu dojrzałych polityków w koalicyjnym rozgardiaszu. I jako być może ostatnia szansa – patrząc na obecny układ polityczny – by obóz władzy sensownie poukładał się przed przyszłorocznymi wyborami.

MICHAŁ DANIELEWSKI

eprasa.pl 196cd999bb



Andrzej Duda kupił kabriolet, bo od dawna o nim marzył, i ostro ruszył w komercję. Już prawie rok jest na politycznej emeryturze i, ku zadowoleniu małżonki, spienięża swoją prezydenturę.

Pan samochodzik

ANNA DĄBROWSKA

O Andrzeju Dudzie znów głośno. A to za sprawą jego ekstrawaganckiego zakupu, nabył bowiem 13-letnie Porsche. Chwilę wcześniej wywołał burzę, bo przyprowadził na spotkanie z szefem Agencji Uzbrojenia swojego chlebodawcę z prywatnego biznesu Dawida Rożka, prezesa Zen.com. Kiedy sprawę opisała „Rzeczpospolita", Duda bagatelizował na X: „Wizyta w Instytucji podległej rządowi RP nie jest przestępstwem ani niczym niestosownym". I dodał: „Bo z kim niby należałoby o tym rozmawiać? Z Panem Tuskiem? To raczej ponury żart". Osoba, która wspierała Andrzeja Dudę w obu kampaniach: – *Jestem nim rozczarowany. Najpierw zmarnował 10 lat w Pałacu, stając się memicznym prezydentem, a teraz postanowił się finansowo odkuć, by dorównać kolegom prawnikom, którzy dorobili się milionów. W tym Porsche przypomina mi Jasia Fasolę w kultowym Mini Cooperze.* Inny znajomy Andrzeja Dudy jest bardziej wyrozumiały: – *Andrzej marzył o kabriolecie. Przez wiele lat nie mógł siadać za kółkiem. Ma do dyspozycji samochód z kierowcą od Służby Ochrony Państwa, więc postanowił spełnić marzenie o kabriolecie, o wartości Skody. Nie przesadzajmy.*

To już jest koniec

Ktoś z otoczenia Dudów opowiada, że są dwie ważne osoby w prywatnym życiu Andrzeja, które wywierały na niego ogromną presję. Ojciec naciskał na prestiż, a żona na wygodne życie, lepsze niż wiodły koleżanki z pokoju nauczycielskiego w krakowskim LO, w którym przez lata uczyła niemieckiego. Profesor AGH z Krakowa, dla którego syn zrobił doktorat, a potem z „woli bożej" został na dwie kadencje prezydentem, czuje się usatysfakcjonowany. Żona też była wybitnie zadowolona, kiedy w maju 2014 r. Andrzej Duda został europosłem, co oznaczało finansowe eldorado na kilka lat. Pół roku później jednak Andrzej oznajmił jej, że zostaje kandydatem na prezydenta PiS, co wywołało u Agaty irytację. – *Spędziła z nim w Pałacu, wbrew swojej woli, dziesięć lat i choć bywały momenty, że cieszyła się z podróży i wygód prezydenckiego życia, to była przeszczęśliwa, że „to już jest koniec, nie ma już nic", czemu dała wyraz, publikując w mediach społecznościowych znaną piosenkę w ostatnim dniu prezydentury* – opowiada ich znajomy. I dodaje, że teraz Agata chce, by odcinali finansowe kupony.

Polityczna emerytura Andrzeja Dudy boleśnie zweryfikowała jego międzynarodowe ambicje. Mimo nadziei na prestiżowe stanowisko w strukturach ONZ, Międzynarodowym Komitecie Olimpijskim czy jakiejś instytucji ds. odbudowy Ukrainy, prezydent obszedł się smakiem. Wykazał się sporą naiwnością, licząc na to, że lukratywną posadę załatwi mu Donald Trump. W październiku Agata Duda na chwilę sama znalazła pracę jako doradca prezesa NBP z pensją ok. 30 tys. zł. Choć nazwisko Kornhauser-Dudy pojawiło się na krótko w wewnętrznej bazie mailowej, to bank stanowczo zdementował te doniesienia. W styczniu Andrzej Duda mówił w rozmowie z „Gazetą Krakowską": „Moja żona nie zajmuje się w tej chwili niczym". Powiedziała też mężowi, że potrzebuje się trochę wyciszyć.

Życie jak w Madrycie

Po wyprowadzce z Pałacu państwo Dudowie urządzili się w swoim 132-metrowym apartamencie na krakowskim Białym Prądniku. Kilka lat temu, w czasie prezydentury, zaciągnęli na niego ▶

© MARCIN BANASZKIEWICZ/FOTONEWS/NEWSPIX

eprasa.pl 196cd999bb

▶ kredyt w wysokości 497 tys. zł. Na koniec 2024 r. prezydent zeznał w oświadczeniu majątkowym, że ma ok. 150 tys. zł, 400 euro i 1,5 tys. dol. Teraz, jak wszyscy byli prezydenci dostaje dożywotnią emeryturę. Dziś to ok. 11,5 tys. zł na rękę. Naprzeciwko apartamentu Dudów SOP wynajął mieszkanie, aby zapewnić parze całodobową ochronę, mają też do dyspozycji samochód z kierowcą, ale tylko na terytorium kraju. W 2024 r. Andrzej Duda jako prezydent zarobił nieco ponad 300 tys. zł, a po wyprowadzce z Pałacu dostał odprawę w wysokości trzech pensji, czyli ok. 85 tys. zł. – *Wiem, że Andrzej jest teraz zadowolony ze swoich dochodów, zarabia o wiele więcej niż przez te dziesięć prezydenckich lat* – opowiada osoba, która ma z nim kontakt.

Pierwsze poważne dochody przyniosła książka „To ja, Andrzej Duda", którą wydała firma byłego dziennikarza Macieja Zdziarskiego, który był także ghostwriterem Dudy. Sprzedaż ruszyła w dniu zakończenia kadencji prezydenta. Sama książka kosztuje 99 zł, a pakiet premium – autorskie ozdobne pudełko i autograf w książce – 159 zł. Niedawno wylądowała w Biedronce. Podobno sprzedała się w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy, a jak wynika ze sprawozdania finansowego w KRS – spółka osiągnęła ponad 3 mln zł przychodu w 2025 r. (książka Dudy to był wówczas jej jedyny wydawniczy projekt), więc były prezydent musiał sporo zarobić. Ale to był jednorazowy strzał, a prezydencka para liczy na stałe dochody.

20 października Andrzej Duda oficjalnie ogłosił, że wszedł do „międzynarodowej rady nadzorczej" fintechu, spółki Zen.com, którą w 2018 r. w Rzeszowie założył Dawid Rożek. Jej przychody w 2025 r. przekroczyły 400 mln zł. Najpierw wejście Dudy do rady Zen ogłosił na X prezes firmy, że „powołuje Międzynarodową Radę Nadzorczą, aby wspierać swoją globalną ekspansję, skoncentrowaną na Azji i Bliskim Wschodzie".

Dziś siedziba operacyjna spółki znajduje się na Litwie, gdzie otrzymała licencję instytucji pieniądza elektronicznego, a główną siedzibę ma w Wielkiej Brytanii. Posiada zezwolenia na prowadzenie rachunków i wydawanie instrumentów płatniczych. Bywa nazywana polskim Revolutem. Oferuje atrakcyjne kursy wymiany walut w aplikacji mobilnej, karty płatnicze, szybkie płatności online i możliwość kupowania kryptowalut. Jej rozwój finansował



Pierwszy zarobek na emeryturze: autobiografia

sam Rożek i prywatni inwestorzy, którzy nie zostali ujawnieni. Dziś skupia się na ekspansji międzynarodowej, w czym mają pomóc m.in. kontakty Andrzeja Dudy.

Ale wkoło jest wesoło

Wydaje się, że Duda miał już dograną pracę pod koniec swojej prezydentury. W połowie czerwca poleciał w ostatnią podróż zagraniczną do Singapuru i Malezji. Zabrał w nią właśnie Dawida Rożka. Wówczas w oficjalnej wypowiedzi dla mediów mówił, że to bardzo ważna wizyta: „która – mam nadzieję – przyniesie wymierne korzyści dla Polski, dla polskiego biznesu, dla naszego rozwoju". Dudzie z pewnością przyniosła finansowe korzyści. Zen.com jest sponsorem Kanału Zero Krzysztofa Stanowskiego, na którym Duda miał po odejściu z Pałacu kilka odcinków swojego programu o prezydenturze. Stanowski w swoim profilu na X opublikował zdjęcie Rożka z prezydentami Polski i Singapuru z komentarzem: „No i ekstra! Super współpracować z takimi firmami!".

Nad tą firmą zebrały się jednak czarne chmury. Litwa zdecydowała się na zwiększenie kontroli przepływów finansowych przez swoje terytorium i zaczęła przykręcać śrubę fintechom. Po audytach posypały się kary. W grudniu 2025 r. litewski bank centralny nałożył na Zen karę 1,8 mln euro. Jak podawał TVN24, zarzucono jej, że niewystarczająco dokładnie sprawdzała swoich klientów, także tych uznawanych za bardziej „ryzykownych", oraz zbyt słabo kontrolowała transakcje pod kątem prania pieniędzy i finansowania terroryzmu. Regulator miał też zastrzeżenia do sposobu, w jaki Zen chronił pieniądze klientów.

Pod koniec kwietnia TVN24 ujawnił, że Zen jest operatorem płatności dla nielegalnych w Polsce platform hazardowych. Z ustaleń dziennikarskiego śledztwa wynika, że Zen był w ostatnich latach bramką płatniczą dla pięciu serwisów, których domeny Ministerstwo Finansów wpisało do rejestru stron oferujących nielegalny hazard. Po tych publikacjach w czerwcu Prokuratura Regionalna w Warszawie wszczęła śledztwo. Chodzi o podejrzenie udzielania pomocy przy przestępstwach „polegających na uczestnictwie osób przebywających na terytorium RP w zagranicznych grach hazardowych poprzez udostępnienie tym osobom systemu płatności elektronicznych Zen". Na razie śledztwo toczy się „w sprawie" i nikomu nie postawiono zarzutów. Dwa miesiące przed tym, jak litewski Bank Centralny ukarał Zen, Andrzej Duda wszedł do międzynawowej rady spółki. Deklarował wówczas w „Pulsie Biznesu": „Przyjmuję na siebie współodpowiedzialność za nadzór nad tym, by Zen.com był instytucją maksymalnie bezpieczną dla konsumentów. Będę też przyglądać się relacjom z regulatorami w krajach, w których firma uzyskuje nowe licencje". – *Niestety, nie mam złudzeń, że Andrzej nie wiedział o takich kłopotach Zen, ale zdecydował się dać Rożkowi nazwisko. Z pewnością Rożek sporo mu za to płaci* – mówi jeden z politycznych znajomych Dudy z Krakowa.

Zbudujemy nowy dom

Być może umowa obejmuje też towarzyszenie Andrzejowi Dudzie na spotkaniach, na które ma otwarte drzwi z racji przywilejów byłego prezydenta. Jak ujawniła „Rzeczpospolita", pod koniec czerwca były prezydent spotkał się z szefem Agencji Uzbrojenia gen. Arturem Kuptelem. Instytucja ta nie jest przypadkowym adresem – to tam zapadają decyzje o wydatkowaniu gigantycznych funduszy na modernizację polskiego wojska, których wartość opiewa obecnie na około 700 mld zł. Choć takie spotkania byłego zwierzchnika sił zbrojnych z ludźmi odpowiedzialnymi za obronność nie są rzadkością i zazwyczaj służą kurtuazyjnej wymianie opinii, tym razem scenariusz spotkania mocno odbiegł od protokołu. Generał informował MON o tym, że Duda poprosił o takie spotkanie, ale nie był świadomy, że były prezydent przybędzie z Dawidem Rożkiem, prezesem Zen, której przygląda się dziś prokuratura. Według

eprasa.pl 196cd999bb

informacji „Rzeczpospolitej” Duda z Rożkiem opowiadali o latających bezzałogowcach, które mogłyby trafić do Wojska Polskiego. Donald Tusk skomentował publicznie, że taka lobbystyczna wizyta, w związku z planami budowy fabryki produkującej rakiety na ukraińskiej licencji, jest niedopuszczalna. I dodał, że „firma może sobie rzeczywiście pogratulować, bo właśnie straciła szansę”. – *Przykro patrzeć, jak najpierw jeździł po Polsce jako obwoźny sprzedawca swojej książki, a teraz obwoźny sprzedawca dronów. Chęć odkucia się po chudych latach prezydentury uderzyła mu do głowy* – mówi polityk PiS.

Ktoś z zaplecza prezydenckiego Andrzeja Dudy, kto wciąż utrzymuje z nim kontakty, mówi, że ważnym źródłem dochodów stała się też dla niego amerykańska fundacja Heritage. Ta niezwykle wpływowa, ponad 50-letnia organizacja w styczniu ogłosiła, że Duda dołącza do niej w roli „wizytującego eksperta o wybitnym dorobku”. Heritage zrzesza 500 tys. członków i jest finansowana ze składek członkowskich amerykańskich konserwatystów i z donacji. W 2024 r. zanotowała 134 mln dol. przychodów.

W 2021 r. szefem Heritage został Kevin Roberts, który w roku wyborczym stwierdził w „New York Timesie”, że jego rolą jest „instytucjonalizacja trumpizmu”. Heritage czuwała nad opracowaniem strategii programowej dla drugiego rządu Trumpa. W oficjalnym komunikacie na stronach fundacji napisano, że Duda będzie zajmował się m.in. kwestiami bezpieczeństwa transatlantyckiego, europejskiej gotowości obronnej oraz rekomendacjami politycznymi dotyczącymi przyszłości konserwatywnego przywództwa w Europie. Jak na razie nie chwali się działalnością na rzecz fundacji.

Duda chce też pomagać Amerykanom w sprawie budowy elektrowni jądrowej w Choczewie. Polskie Elektrownie Jądrowe razem z rządem prowadzą bardzo zaawansowane rozmowy z amerykańskimi konsorcjum firm Westinghouse i Bechtel, które mają doprowadzić do budowy elektrowni. To trudne renegocjacje warunków podpisanych wcześniej umów. Okazało się, że w rozmowach pojawił się Duda, który angażuje się po stronie Amerykanów i chce pomagać w dojściu do porozumienia ze stroną polską. Jednak, jak można usłyszeć w rządzie, Duda nie otrzymał od polskiej strony żadnych umocowań, aby występować w takich



Andrzej Duda i jego kabriolet Porsche

rozmowach. Po tym, jak dostał sygnał od rządu, aby nie utrudniał negocjacji z Amerykanami, Duda podobno odpuścił, przynajmniej oficjalnie.

Tak, tak, to ja

Teraz prawie codziennie, jeśli nie wylatuje zagranicę, pojawia się w swoim prezydenckim biurze w Krakowie. Czasami po drodze robi zakupy, a jak ujawniają sprzedawczynie – zawsze korzysta z kas samoobsługowych, choć częściej widują tu prezydentową. Zawsze elegancko ubraną. Biuro urządził w zabytkowej XIX-wiecznej willi nazywanej Małym Wawelem przy ul. Podzamcze na Plantach. W 2025 r. Kancelaria Prezydenta wypłaciła na utrzymanie biura 71 tys. zł. Byłym głowom państwa przysługuje na prowadzenie biura taki sam budżet jak posłom – obecnie to 25 tys. zł ryczałtu miesięcznie. Andrzej Duda ma też w planach otworzyć filię biura w Warszawie. Za organizację w biurze odpowiada Małgorzata Paprocka. W końcówce swojej dekady Duda uczynił ją najważniejszą osobą w Kancelarii. – *Zdarza się, że do biura wejdzie ktoś z ulicy i jest zaskoczony, że zastał Andrzeja Dudę. Czasem umawia się tu na spotkania, bo Agata stanowczo zakazała pracy w domu* – mówi znajomy Dudy.

Były prezydent wraz z żoną założyli spółkę Andrzej Duda PAAD. Jej szeroki profil obejmuje m.in. doradztwo biznesowe, badania rynku, naukę języków czy najem nieruchomości. Prezydent wniósł do niej osobiste świadczenie usług oraz wkład niepieniężny, którym są prawa do książki „To ja. Andrzej Duda”, wycenione w akcie notarialnym na 300 tys. zł.

To jednak nie wszystko. Na początku roku były prezydent powołał jednoosobowo zarządzaną fundację Central European 3seas Institute. Jej nazwa bezpośrednio nawiązuje do Inicjatywy Trójmorza – flagowego projektu regionalnego, który Duda współtworzył w 2015 r. i który dziś zrzesza 13 państw UE oraz partnerów strategicznych: USA, Japonię, Komisję Europejską i Niemcy. Nowa fundacja ma zajmować się m.in. wydawnictwem oraz dzierżawą własności intelektualnej, idealnie uzupełniając komercyjną ofertę nowej spółki państwa Dudów.

Hello goodbye

W PiS, jak wiadomo, Dudy nie potrzebują. A kiedy jeden z posłów z Małopolski zasugerował, że były prezydent byłby mocnym kandydatem na prezydenta Krakowa, Duda uznał to za uwłaczające. Właściwie nie komentuje polityki, ostatnio w kwietniu krytykował Karola Nawrockiego na kanale na YouTube prowadzonym przez zawieszonego w PiS posła Krzysztofa Szczuckiego. Odniósł się do sporu dotyczącego ślubowania sędziów wybranych przez Sejm do Trybunału Konstytucyjnego: „Nie może być tak, że prezydent sobie przyjmie ślubowanie od kogoś innego niż wybrany przez Sejm, albo tylko od niektórych”. W sprawach ukraińskich po zmianie narracji PiS na antyukraińską też się publicznie nie wypowiada.

Trudno jest wrócić z prezydenckiej emerytury do aktywnej polityki. Żadnemu byłemu prezydentowi się to nie udało. Zresztą Duda, jak twierdzą ludzie z jego otoczenia, nie miał ani takich planów, ani szczególnej ochoty. Polacy też chcą, aby Duda pozostał na politycznej emeryturze. W sondażu z początku lipca przeprowadzonego dla wp.pl zapytano respondentów, któremu prezydentowi po 1989 r. ufali najbardziej. Na Aleksandra Kwaśniewskiego wskazało 42,5 proc. Na drugiej pozycji uplasował się Lech Kaczyński (14,8 proc.), za nim Karol Nawrocki (14,3 proc.), a na końcu tuż przed Wojciechem Jaruzelskim (0,2 proc.) znalazł się Andrzej Duda, którego wskazało 2,5 proc. badanych.

Znajomy Dudy opowiada, że Andrzej przestał przejmować się tym, co piszą o nim w mediach, sondażami, którym nie ufa, i tym, co mówią o nim w PiS. – *Jako prezydent denerwował się tym, bywał rozedrgany, ale to go uodporniło i ma już to wszystko w głębokim poważaniu.*

ANNA DĄBROWSKA

© JAKUB ADAMCZYK/EAST NEWS, PLATFORMA X

eprasa.pl 196cd999bb

Halucynuję, więc jestem

Rozmowa z prof. Anilem Stethem, neuronaukowcem z University of Sussex, o tym, czym jest ludzka świadomość i czy sztuczna inteligencja już ją posiada.



ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

eprasa.pl 196cd999bb

MARCIN ROTKIEWICZ: – **Richard Dawkins, znany biolog i popularyzator nauki, stwierdził niedawno, że model sztucznej inteligencji Claude firmy Anthropic, konkurent ChatGPT i Gemini, najprawdopodobniej wykształcił świadomość.**

ANIL SETH: – Rzeczywiście napisał, że po trzech dniach spędzonych na konwersacjach z tym modelem, którego pieszczotliwie nazywa Claudią, trudno sobie wyobrazić, iż mógłby nie posiadać świadomości. Tak świetnie mu się rozmawiało, m.in. na temat... świadomości.

Ta odważna teza Dawkinsa szybko stała się przedmiotem żartów w internecie, bo ktoś przerobił okładkę jego słynnej książki „The God Delusion" („Bóg urojony") na „The Claude Delusion" („Claude urojony").

Mój przyjaciel prof. Gary Marcus – znany z krytycznego komentowania szumu wokół tzw. dużych modeli językowych, czyli takich algorytmów AI jak właśnie Claude – zauważył, że Dawkins używa uzasadnienia, które sam wielokrotnie krytykował w kontekście dyskusji o teorii ewolucji. Jej przeciwnicy twierdzili, że nie są w stanie wyobrazić sobie, by np. tak złożony narząd jak oko mógł powstać bez udziału inteligentnego stwórcy. Ale to bardzo kiepski argument, ponieważ z faktu, że coś trudno sobie wyobrazić, wcale nie wynika, że jest to niemożliwe. Im więcej wiemy o ewolucji, tym łatwiej pojmujemy, że trwające miliony lat procesy mogły doprowadzić do powstania oka. Podobnie z dużymi modelami językowymi: nie trzeba obdarzać ich świadomością, by docenić, w jaki sposób generują inteligentnie brzmiące teksty.

Czyli są tylko „kalkulatorami językowymi", programami komputerowymi bezmyślnie tworzącymi mądrze brzmiące wypowiedzi?

Określenie „kalkulator językowy" nieco umniejsza ich znaczenie, a nie chciałbym nie docenić tej technologii. Duże modele językowe zaskoczyły wszystkich, łącznie z ich twórcami, gdyż nikt się nie spodziewał, że będą działać aż tak dobrze. Mnie najbardziej uderza to, że położyły kres wieloletniej debacie dotyczącej tez słynnego amerykańskiego lingwisty i filozofa Noama Chomsky'ego. Dyskutowano mianowicie, czy zdolność posługiwania się językiem może zostać nabyta wyłącznie na podstawie przykładów, czyli z samych danych. Chomsky argumentował, że nie. Tymczasem duże modele językowe to wyraźny kontrprzykład, co jest po prostu niezwykłe. Nie oznacza to oczywiście, że ludzie przyswajają język w ten sam sposób, ale dowodzi, że inna droga też jest możliwa.

Niezależnie od tego, czy modele takie jak Claude są świadome i czy w ogóle cokolwiek rozumieją, to bez wątpienia posiadają zdolność prowadzenia płynnej konwersacji. I pozostaje pewną zagadką, jak dokładnie to robią, czyli w jaki sposób wydobywają ukryte wzorce z gigantycznej liczby tekstów, na których są trenowane. Za całym tym procesem musi stać niezwykle interesujący i wyrafinowany zestaw obliczeń.

Może tlić się w nim iskierka świadomości?

Musimy rozdzielić trzy pojęcia: inteligencję, rozumienie i świadomość. Jeśli to pierwsze zdefiniujemy jako zdolność do wykonywania określonych zadań, to uważam, że duże modele językowe można uznać za inteligentne. Wykazują co prawda inteligencję zupełnie innego rodzaju niż ludzka, ale bez wątpienia potrafią sprawnie i skutecznie rozwiązywać problemy. Jeśli zaś chodzi o „iskierkę świadomości", to moja odpowiedź brzmi „nie". Sama idea, że tego typu sztuczna inteligencja mogłaby być świadoma, opiera się na bardzo silnym założeniu, że świadomość jest wyłącznie kwestią odpowiednich obliczeń i algorytmów, całkowicie niezależną od materialnego nośnika. Bardzo w to wątpię. W swoich badaniach pokazuję, że wiąże się ona nierozerwalnie z naszą biologią, czyli z ciałem i z samym faktem bycia żywym organizmem.



Prof. **Anil Seth** jest brytyjskim neuronaukowcem i dyrektorem Centre for Consciousness Science przy University of Sussex. Współkieruje programem „Brain, Mind and Consciousness" w Canadian Institute for Advanced Research. W 2024 r. miesięcznik „Prospect" umieścił go na liście 25 najwybitniejszych myślicieli świata. W 2017 r. wystąpił w TED z prelekcją „Twój mózg halucynuje twoją świadomą rzeczywistość", którą obejrzano ponad 11 mln razy.

Między inteligencją a świadomością zawieszone jest pojęcie „zrozumienia". Skłaniam się ku tezie, że obecne modele AI mimo niewątpliwej inteligencji prawdopodobnie niczego nie rozumieją. Funkcjonują bowiem w środowisku zupełnie pozbawionym fizyczności i nie wchodzą w interakcje z prawdziwym światem. A dla nas słowa ostatecznie nabierają znaczenia dzięki fizycznemu doświadczeniu. Trudno więc oczekiwać, że maszyna zrozumie sens słów, znając jedynie reguły ich układania. Zasadnicze pytanie – moim zdaniem bardziej kontrowersyjne niż sama kwestia świadomości – brzmi zatem: czy z samej składni można wywieść znaczenie?

Jak dyskutować o świadomości AI, skoro naukowcy nie potrafią uzgodnić między sobą, czym ona jest? Miesięcznik „Scientific American" (polskie wydanie: ŚWIAT NAUKI 3/26) zestawił aż 29 teorii na ten temat, ale w literaturze naukowej można znaleźć ich pewnie jeszcze więcej.

Zgadzam się, że teorii tych jest zbyt wiele, choć część to po prostu stanowiska filozoficzne lub luźne opinie. Stworzenie rzetelnej koncepcji świadomości stawia poprzeczkę bardzo wysoko. Wymaga jasnego określenia warunków koniecznych i wystarczających dla zaistnienia tego zjawiska oraz wyjaśnienia jego konkretnych właściwości oraz funkcji. Dlatego cztery lata temu – wspólnie z Timem Baynem, filozofem umysłu i kognitywistą – przygotowaliśmy systematyczny przegląd teorii świadomości i wyselekcjonowaliśmy tylko cztery główne ich „rodziny", na których warto się skupić.

Pan preferuje i rozwija jedną, tzw. przetwarzania predykcyjnego. Dlaczego akurat tę teorię uznał pan za najlepszą?

Najbardziej pociągające jest w niej to, że nie mówi wyłącznie o świadomości. Jest naturalnym przedłużeniem szerszej koncepcji opisującej działanie mózgu i umysłu. Zgodnie z tym ujęciem mózg człowieka jest przede wszystkim „maszyną predykcyjną", przewidującą. Czyli nie postrzega otoczenia w sposób bierny i nie odczytuje świata jedynie przez zmysły. To, czego świadomie doświadczamy, jest zawsze zbiorem najlepszych domysłów – przewidywań mózgu na temat tego, co jest źródłem sygnałów docierających do nas z zewnątrz oraz z wnętrza naszego ciała.

Nasz mózg jest organem uwięzionym w ciemnej i cichej przestrzeni czaszki. Nie dociera tam światło ani dźwięk. ▶

© KACPER OKARMA DLA COPERNICUS FESTIVAL

eprasa.pl 196cd999bb

▶ Jedyne, czym dysponuje, to sygnały elektryczne płynące ze zmysłów, które nie mają etykiet z informacjami, że zaobserwowany obiekt jest np. „kotem" czy „kubkiem kawy". Aby zinterpretować te impulsy i dowiedzieć się, co faktycznie znajduje się na zewnątrz, musi połączyć je z wcześniejszymi oczekiwaniami. Tak formułuje swoje najlepsze domysły, a w rezultacie to, co ostatecznie świadomie widzimy, nie jest biernym odczytem danych, lecz właśnie owymi domysłami mózgu na temat ich przyczyny.

Świetnie ilustrują to złudzenia optyczne, jak słynna szachownica Adelsona. Nasz mózg w drodze ewolucji i doświadczenia „dowiedział się", jak zachowują się obiekty znajdujące się w cieniu oraz jaki układ ma szachownica. Łącząc tę wiedzę z sygnałami z oczu, aktywnie konstruuje obraz. Sprawia to, że patrząc na dwa pola o identycznym odcieniu szarości, postrzegamy jedno z nich jako dużo jaśniejsze. Dlatego często nazywam takie doświadczenie „kontrolowaną halucynacją". Prawdziwe halucynacje pojawiają się wtedy, gdy proces aktualizowania przewidywań wymyka się spod kontroli.

Dlaczego mózg tworzy te „kontrolowane halucynacje"? Bez nich by sobie nie poradził?

Wyjaśnieniem jest ewolucja. Wyobraźmy sobie najprostszą jednokomórkową formę życia. Jej główny cel to przetrwanie, więc musi utrzymać odpowiedni bilans chemiczny i energetyczny, czyli homeostazę. Z punktu widzenia matematyki i fizyki przeżycie nie jest niczym innym niż ciągłym minimalizowaniem „niespodzianek". Z czasem organizmy stawały się coraz bardziej złożone i zaczęły poruszać się w skomplikowanym środowisku. Dlatego pojawił się układ nerwowy, a potem mózg. I okazało się, że aby skutecznie regulować to, co dzieje się wewnątrz ciała – czyli nasz metabolizm, ciśnienie krwi czy zapasy energii – musiał zacząć przewidywać również to, co dzieje się na zewnątrz. Na przykład orientować się, jak zdobyć pożywienie lub uniknąć drapieżnika.



Trudno powiedzieć, jak głęboko należy zejść w dół „drzewa życia", by znaleźć początki świadomości. Nie wiem, czy owady lub ryby ją posiadają.

Z tego wszystkiego wynika, że dokładnie ten sam nadrzędny proces, czyli ciągłe dążenie organizmu do minimalizacji błędów przewidywań, napędza zarówno podstawowe, chemiczne funkcje życiowe wewnątrz narządów, jak i skomplikowany proces, w którym mózg aktywnie konstruuje bogaty obraz otaczającego świata. Innymi słowy, nie postrzegamy rzeczywistości po to, by ją obiektywnie poznać, ale by w niej przeżyć.

Skoro świadomość wyewoluowała, to kiedy pojawiła się na „drzewie życia"? I czy posiadają ją np. psy lub małpy, ale w formie mniej złożonej niż u ludzi?

Trudno mi powiedzieć, jak głęboko należy zejść w dół tego „drzewa życia", by znaleźć początki świadomości. Dlatego nie wiem, czy np. owady lub ryby ją posiadają. Natomiast w przypadku organizmów jednokomórkowych lub takich prostych zwierząt, jak mikroskopijne robaki nicienie, mam już mniej wątpliwości. Moja intuicja podpowiada, że potrafią przeżyć bez świadomości.

Tego właśnie zagadnienia dotyczy projekt, nad którym pracuję z Timem Bayne'em i z izraelską neurobiolożką i filozofką Liad Mudrik. Zaczynamy analizę od ludzi oraz większości naczelnych i ssaków. Szukamy u nich wzorców uczenia się i wskaźników neurofizjologicznych, które na pewno korelują ze świadomością. Następnie próbujemy ostrożnie zaadaptować te miary do kolejnych gatunków (w planach mamy m.in. ptaki) i krok po kroku weryfikować, czy te wskaźniki wciąż występują. W ten sposób chcemy spróbować odpowiedzieć na pytanie, które organizmy wykształciły świadomość, a które nie.

A jak wygląda w tym kontekście kwestia odrębności własnego „ja"? U zwierząt testuje się ją za pomocą lustra – jeśli rozpoznają w nim siebie, to traktowane jest to jako przejaw samoświadomości.

Utożsamianie tych pojęć jest błędem. Samoświadomość nie jest tym samym co świadomość ani warunkiem koniecznym jej posiadania. Nawet my, dorośli ludzie, którzy zazwyczaj jesteśmy samoświadomi, możemy doświadczać stanów takich jak całkowity rozpad ego podczas medytacji czy pod wpływem psychodelików, kiedy poczucie własnego „ja" praktycznie zanika. Wciąż jesteśmy wtedy świadomi, ale już nie samoświadomi, a przynajmniej nie w tym samym stopniu. Podobnie jest z ludzkimi dziećmi, które zdają test lustra dopiero w okolicach 18. miesiąca życia. Nie oznacza to przecież, że do tego momentu są pozbawione świadomości. Wskazuje tylko, że wcześniej nie postrzegają siebie jako odrębnych istot w ten specyficzny sposób.

Jeśli chodzi o test lustra na zwierzętach, to zgadzam się, że gdy dany organizm, a ich lista jest zaskakująco krótka, w ewidentny sposób zalicza ten sprawdzian, to mamy dobry argument za istnieniem u niego pewnej formy samoświadomości. Chociaż w przypadku niektórych eksperymentów mam wątpliwości, czy faktycznie dają tak bezsporne rozstrzygnięcie.

Należy też brać pod uwagę, że oblanie testu lustra absolutnie nie oznacza, iż u danego zwierzęcia samoświadomość nie występuje. Przyczyn może być wiele: zwierzę może po prostu nie lubić luster, nie zwracać najmniejszej uwagi na zrobiony na ciele znacznik, co jest podstawą tego testu, lub mieć wrodzoną awersję do kontaktu wzrokowego. Dlatego nie jest to sprawdzian doskonały. Test na samoświadomość nie stanowi ostatecznego dowodu ani na obecność, ani na brak świadomości w ogóle.

W środowisku naukowym słynny był zakład o skrzynkę wina z 1998 r. między neurobiologiem Christofem Kochem a filozofem Davidem Chalmersem. Ten pierwszy twierdził, że w ciągu 25 lat badacze odkryją wyraźny wzorzec aktywności mózgu leżący u podstaw świadomości. Tymczasem do dziś go nie znaleźli.

Rozstrzygnięcie tego zakładu stało się głośne w środowisku neuronaukowców. Koch zachował się zresztą z wielką klasą, publicznie przyznając się do porażki i wręczając Chalmersowi skrzynkę doskonałego portugalskiego wina. Jednak jego przegrana nie oznacza, że wracamy do punktu wyjścia i nic nie wiemy. Samo założenie, czyli nadzieja na znalezienie jednego, prostego i uniwersalnego „wzorca" czy sygnału, tzw. neuronalnego korelatu świadomości, było po prostu zbyt optymistyczne i uproszczone.

eprasa.pl 196cd999bb

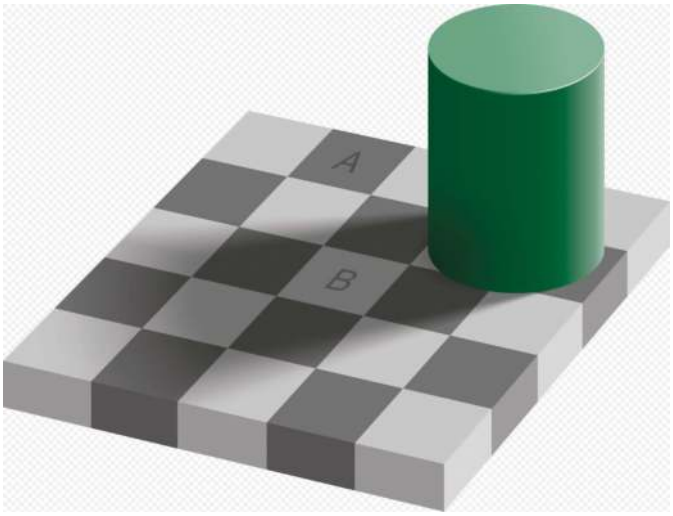

Szachownica Adelsona, jedno z najsłynniejszych złudzeń optycznych. W rzeczywistości pola A i B są w tym samym kolorze (odcieniu). Na nasze postrzeganie wpływają kontekst i dotychczasowe doświadczenie.

Problem polega bowiem już na samym sformułowaniu pytania: gdzie w mózgu kryje się świadomość? Ona nie jest czymś, co można schować w jednym magicznym miejscu. Nie ma żadnej „siedziby duszy", jaką miała być np. szyszynka według Kartezjusza, ani przełącznika, który nagle rozświetla umysł. Świadomość nie jest obiektem. To zjawisko systemowe, niezwykle złożony i dynamiczny proces. A dzięki ostatniemu ćwierćwieczu intensywnych badań wiemy już sporo, które obszary są w niego zaangażowane. Na przykład struktury głębokie, jak pień mózgu, okazują się kluczowe dla ogólnego poziomu pobudzenia mózgu, czyli samego faktu bycia świadomym. Z kolei za to, czego doświadczamy, np. widzenie koloru czerwonego czy odczuwanie zapachu, odpowiadają rozległe sieci neuronowe na powierzchni kory mózgowej, zwłaszcza jej tylne obszary oraz ich nieustanna komunikacja ze wzgórzem. Zakład Kocha z Chalmersem pokazał, że biologia naszego umysłu jest znacznie wspanialsza i bardziej skomplikowana, niż wydawało się ćwierć wieku temu.

A jak ta kwestia wygląda z perspektywy teorii przetwarzania predykcyjnego?

Pytanie „gdzie?" siłą rzeczy schodzi na dalszy plan na rzecz pytania „jak?". Moim zdaniem świadome doświadczenie pojawia się wtedy, gdy rozległe sieci neuronowe współpracują ze sobą, aby zminimalizować błędy predykcji. To nieustanny, zsynchronizowany „taniec" miliardów sygnałów płynących z góry na dół, czyli naszych przewidywań dotyczących rzeczywistości, oraz z dołu do góry, czyli bodźców napływających ze zmysłów i ciała. Żeby świadomość zaistniała, potrzebuje symfonii granej przez niemal cały mózg.

Jak można przetestować w laboratorium tę teorię?

Jeden z jej głównych postulatów zakłada, że ludzkie doświadczenie zależy w większym stopniu od naszych oczekiwań i przewidywań, podczas gdy sygnały napływające ze zmysłów pełnią funkcję informacji o „błędzie predykcji", czyli korygują te przewidywania. Aby to badać, budujemy modele AI odwzorowujące tego typu procesy. Przy czym są one tak projektowane, aby możliwie dokładnie naśladować pracę mózgu, dlatego bardzo różnią się od popularnych dużych modeli językowych. Następnie zestawiamy je z zachowaniami ludzi podczas eksperymentów, a niekiedy również z danymi z obrazowania aktywności mózgu. Wykorzystujemy w tym celu np. konkretne złudzenia wzrokowe. Jednym z nich jest „iluzja jednorodności", polegająca na tym, że to, na co patrzymy w centrum pola widzenia, niejako przejmuje kontrolę nad tym, co widzimy na peryferiach. W rezultacie napływające ze zmysłów informacje różnią się od tego, czego ostatecznie i świadomie doświadczamy.

Dziś dysponujemy też technologią, która pozwala „podglądać" mózg z tak ogromną precyzją, że widzimy jego aktywność dosłownie warstwa po warstwie, nawet w obrębie konkretnego obszaru, takiego jak kora wzrokowa. Podczas jednego z eksperymentów pokazywaliśmy badanym wspomniane złudzenie optyczne i za pomocą skanera sprawdzaliśmy, gdzie dokładnie w mózgu powstaje ostateczne świadome doświadczenie, a także do których warstw kory wzrokowej docierają jedynie „czyste" dane z naszych oczu. Dzięki temu mogliśmy odkryć, że świadomy obraz świata jest konstruowany przez nasze własne oczekiwania, a nie tylko biernie rejestrowany przez narządy zmysłów.



Problem polega na tym, gdzie w mózgu kryje się świadomość. Ona nie jest czymś, co można schować w jednym magicznym miejscu.

Pod koniec wykładu w ramach tegorocznego Copernicus Festival w Krakowie, który można obejrzeć na YouTube, powiedział pan: „Aby zrozumieć, czym jest świadomość, trzeba zrozumieć życie". Co dokładnie miał pan na myśli?

W neuronauce przez dekady dominowała tendencja do traktowania mózgu jak komputera, w którym biologiczne detale schodzą na dalszy plan, a on sam służy jedynie do wykonywania określonych algorytmów. Ta metafora była niezwykle wpływowa i odegrała swoją rolę, ale w moim przekonaniu jej użyteczność właśnie dobiega końca. Naszym największym wyzwaniem, leżącym na styku nauki i filozofii, jest teraz wyjście poza ten informatyczny schemat.

Moim zdaniem świadomości nie da się oderwać od jej biologicznego nośnika i skopiować gdzieś indziej w postaci czystego kodu. W przeciwieństwie do maszyn, które dzielimy na sprzęt i oprogramowanie, w naszym mózgu nie ma ostrej granicy między działaniem umysłu a żywą tkanką. Wszystko jest tu ze sobą głęboko zintegrowane. Aby zatem dokonać prawdziwego badawczego przełomu, musimy rozwijać nowe narzędzia matematyczne i eksperymentalne, które pozwolą tę złożoność uchwycić. Prawdziwe zrozumienie świadomości nadejdzie dopiero wtedy, gdy w pełni docenimy fakt, że jesteśmy przede wszystkim żywymi organizmami, a świata doświadczamy nie mimo naszej biologicznej natury, lecz właśnie dzięki niej.

ROZMAWIAŁ MARCIN ROTKIEWICZ

Wywiad przeprowadzony dzięki uprzejmości Centrum Kopernika Badań Interdyscyplinarnych Uniwersytetu Jagiellońskiego.

© DP

eprasa.pl 196cd999bb

Póki nienawiść nas nie rozłączy

Rozmowa z Pauliną Sochą-Jakubowską o rozwodowych wojnach, piekle, jakie fundują sobie ludzie, którzy się kiedyś kochali, i krzywdzie, jaką robią tym swoim dzieciom.

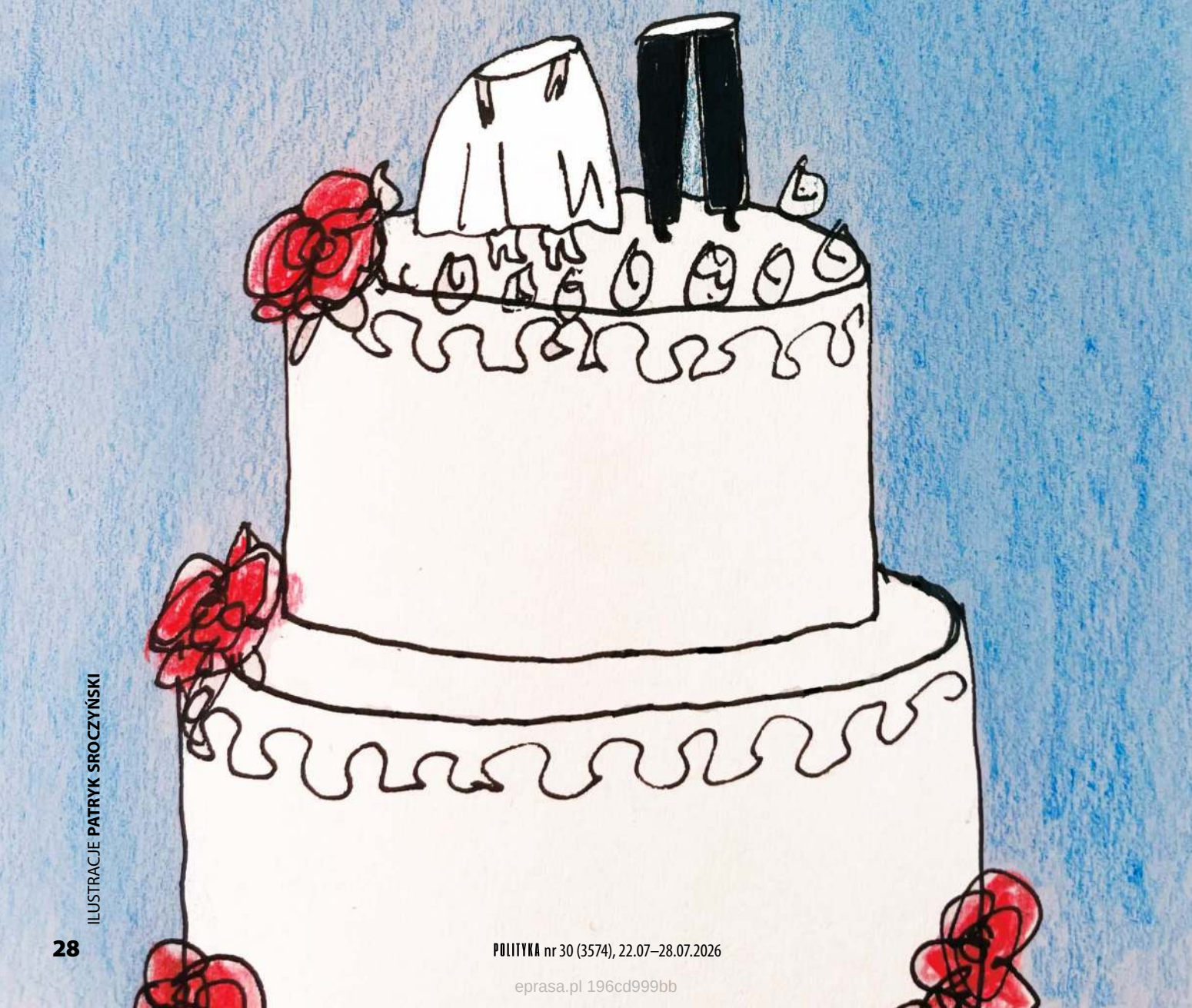

ILUSTRACJE **PATRYK SROCZYŃSKI**

eprasa.pl 196cd999bb

JOANNA PODGÓRSKA: **– Pisze pani, że są ludzie, którzy chcą się rozwieść, i tacy, którzy chcą się rozwodzić. Jak to rozumieć?**

PAULINA SOCHA-JAKUBOWSKA: – Pomijając sytuacje związane z przemocą czy skrajnie patologiczne, które są zero-jedynkowe, wiele rozwodowych konfliktów można by wygasić wcześniej, niż to się rzeczywiście dzieje. Rozwód niczego nie kończy, bo eksmałżonkowie wytaczają przeciwko sobie kolejne działa: procesy o zmianę zasad kontaktów z dziećmi, podział majątku czy sprawy karne o zniesławienie lub naruszenie dóbr osobistych. Strony trwają w patologicznym uścisku, a to jest skrajnie wyniszczające.

Na przykład.

Znam przypadek pary, która mimo że od rozwodu upłynęło 10 lat i eksmałżonkowie weszli w nowe związki, nadal toczą wojnę. Jedna strona stara się pozostać bierna, ale druga jej to uniemożliwia, śląc kolejne pozwy. Osią sporu, ale też jego ofiarą, jest nastoletnia dziś dziewczynka. Po każdym weekendzie, który dziecko spędziło u ojca i opowiadało, że było bardzo fajnie, matka ją kontruje, wylewając na ekspartnera potok win. Do tej wojny została wciągnięta także nowa partnerka byłego męża, ponieważ została oskarżona o to, że bierze udział w przestępstwie alimentacyjnym i fakturuje partnerowi różne rzeczy pod stołem. Nie ma tygodnia, by ci ludzie nie drżeli, otwierając skrzynkę pocztową czy mailową, w obawie, co tam znowu znajdą, z czym będą musieli walczyć, na jakie pismo znowu odpowiadać.

Druga historia dotyczy rodziców, którzy mają opiekę naprzemienną. Teoretycznie jest to rozwiązanie stosowane w sytuacji gdy między eksmałżonkami nie ma konfliktu, ale w praktyce często tak nie jest. W tym przypadku można powiedzieć, że ojciec stosuje porozwodową przemoc, wykańczając byłą żonę esemesowo, mailowo, whatsappowo i na wszelkie inne sposoby. Pisze donosy, do kogo się da, dosłownie na wszystko; że źle obcięła dziecku paznokcie albo wysłała do szkoły w nieodpowiednich butach.

To jeszcze pieniactwo czy już prześladowanie?

Czasem trudno powiedzieć, bo jak ocenić na przykład sytuację, gdy ludzie podczas sprawy o podział majątku sądzili się o obraz z kotkami – podobny do tych, które kiedyś zdobiły bombonierki. Sędzia, która prowadziła tę sprawę, mówiła mi, że wycena tego obrazka przez rzeczoznawcę była droższa niż on sam – ramę wyceniono na 50 zł, a obrazek na 70 zł. Czasem miałam odruch, żeby przekonywać moich bohaterów: ustąp, bądź mądrzejszy/mądrzejsza. Ale jeśli druga strona latami nie odpuszcza, trudno przez cały czas być chłopcem do bicia. Dziś polem sporu bywają też coraz częściej zwierzęta domowe. Eksmałżonkowie oczekują w ich wypadku takich rozstrzygnięć jak opieka naprzemienna, a w polskim prawie to kwestia podziału majątku. Jeśli ludzie sami się nie dogadają, wojna gotowa.

Pisze pani, że system prawny sprzyja rozwodowym wojnom. W jaki sposób?

Bo – jak mówią prawnicy – sprawy rozwodowe toczą się według zasad postępowania spornego, zakładającego z definicji rozbieżność interesów stron. Jest pozwany/pozwana i powód. Na sali sądowej nie stają obok siebie, ale zwróceni przeciwko sobie. Wykorzystuje się materiał dowodowy. Od razu wkracza się w okopy i robi się z tego wojna. Jeśli jedna strona wytacza ciężkie działa, zbiera haki, zarzuca sąd paragonami, kwitami, zapisami rozmów, to druga – nawet jeśli nie chce w tym brać udziału – na dobrą sprawę musi.

Te przepisy powstały dziesiątki lat temu, nie przystają do dzisiejszej rzeczywistości. Ustawę, która miała uprościć procedury rozwodowe dla bezdzietnych par tak, by małżonkowie niekoniecznie musieli trafiać do sądu, zawetował niestety prezydent Karol Nawrocki. I trudne rozwody nadal ciągną się latami. A do tego porozwodowe przepychanki sądowe, podsycanie konfliktu. Prawnicy znają sprawy, które trwały dłużej niż małżeństwo; mają po kilkanaście czy nawet kilkadziesiąt tomów akt. Stosunkowo nowe zjawisko to młodzi ludzie, którzy rozwodzą się bardzo szybko. Nie przechodzą etapu separacji, nie walczą o związek, nie podejmują terapii małżeńskiej. Dogadują się między sobą, unikając konfliktu. Na drugim biegunie jest jedna z moich bohaterek, która ma za sobą 80 rozpraw. Jest już w trakcie drugiego rozwodu, choć sądowy konflikt z pierwszym mężem jeszcze się nie zakończył. Eksmałżonkowie zwarli szyki, by jak najbardziej utrudnić jej życie. W takiej sytuacji trudno funkcjonować, budować coś od nowa, pójść do przodu, gdy ciągle trzeba odpowiadać na sądowe zaczepki. Bo według mnie w tej sprawie to są po prostu zaczepki.

Media społecznościowe zmieniły polskie rozwody?

Są wykorzystywane na wiele sposobów. Ten najbardziej prozaiczny to wszelkie komunikatory, które mogą służyć do bombardowania drugiej strony wiadomościami w ramach przemocy porozwodowej. Moi bohaterowie opowiadają o tysiącach takich wiadomości. Oczywiście zawsze można zablokować taki kontakt, ale w wielu historiach to jest tak trudne jak ucieczka z domu przed przemocowcem. Jednej z bohaterek definitywne zablokowanie eksmęża zajęło około dwóch lat.

Najbardziej patologiczny sposób wykorzystania social mediów, to stworzenie fałszywego konta na Facebooku, które miało służyć szkalowaniu eksmałżonka. Nosiło nazwę „oszustwa+imię i nazwisko kobiety". Publikowane tam były rzekome kłamstwa mojej bohaterki z komentarzami jej męża w stylu: „Rób tak dalej, a doigrasz się". Niestety bywa, że Meta reaguje na taką działalność dość opieszale, a przemocowiec – zanim ktoś zamknie mu konto – zdąży osiągnąć swój cel. Nieprzemyślane publikacje w socjalach (wiadomości wysyłane pod osłoną nocy, sugerujące spożywanie alkoholu), pochwalenie się nowym związkiem, ślady po wystawnym życiu (w kontekście walki o alimenty) i nocnych eskapadach też mogą stać się dowodami w sprawie. „Drukowanie" Facebooka przez rozwodzące się strony, by dołączyć go do pozwu, staje się dziś pewną normą. Na szczęście nie wszyscy prawnicy chcą grać w tę grę. Wielu sugeruje swoim klientom czasowe zawieszanie działalności w social mediach, by zapobiec ewentualnym wpadkom. ▶

Paulina Socha-Jakubowska
– reportażystka, dziennikarka zajmująca się tematyką społeczną. Prowadzi autorski podkast „A jednak" i „Powiem to pierwszy raz" dla TVP Info.



© LESZEK ZYCH

eprasa.pl 196cd999bb

▶ Kto w tym bryluje?

Tego, jak wykorzystywać media społecznościowe do rozwodowych czy okołorozwodowych wojen, uczą nas od dawna celebryci, dla których stały się one naturalnym polem bitwy. Stworzyły nieograniczone możliwości uderzania w byłych partnerów, tworzenia narracji, przeciągania na swoją stronę odbiorców, fanów, obserwatorów.

Młode pokolenia, uświadomione psychoterapeutycznie, powinny potrafić powstrzymać się przed wyrządzaniem drugiej osobie emocjonalnej krzywdy. To nie ma wpływu na rozwodowe wojny?

Ma, gdy uświadomione psychologicznie są obie strony. Łatwiej im dogadać się nawet w tak trudnych sprawach jak opieka nad dzieckiem, bo rozumieją, że rozwodową wojną wyrządzą mu krzywdę. Gorzej, gdy uświadomiona jest tylko jedna strona; potrafi nazywać emocje – a druga kompletnie nie, bo to np. przemocowy narcyz. Za żadną cenę nie sięgnie po pomoc psychologiczną, bo uznaje, że to robienie z niego wariata.

Tyle się mówi o tym, jaką krzywdą dla dzieci jest wciąganie ich w rozwodową wojnę, a mimo to sytuacji, gdy latami dorastają w okopach, nie brakuje.

Niestety. A najgorszą bronią, po jaką sięgają w tej wojnie kobiety, jest oskarżenie męża o molestowanie dziecka. Żeby było jasne – takie przypadki się zdarzają i trzeba je traktować poważnie. Natomiast dziwią mnie historie, gdy sprawa molestowania pojawia się dopiero podczas sprawy rozwodowej, a matka twierdzi, że trwało ono od lat. Dlaczego nie reagowała? Albo historia, w której ojciec jest oskarżony o molestowanie, a dowodami mają być nagrywane przez żonę filmiki, jak kąpie dziecko, czyli wykonuje prozaiczną rodzicielską czynność. Podobno jest w Warszawie pani mecenas specjalizująca się w rozwodach i w każdej prowadzonej przez nią sprawie pojawia się wątek molestowania. Informacja idzie w świat, bo drugiej stronie zależy, żeby wszyscy się dowiedzieli. To rujnuje człowiekowi życie, nawet jeśli te oskarżenia zostaną przed sądem obalone.

Podobno wśród warszawskiej palestry mówi się o takich sprawach „rozwody białołęckie", bo na Białołęce są najtańsze mieszkania w stolicy. Młode małżeństwa biorą je na kredyt, a w przypadku rozstania najkorzystniejszą opcją pozbycia się współmałżonka jest wpakowanie go do więzienia.

Tego określenia nie słyszałam, ale prawnicy mówili mi, że swego czasu była wręcz „moda" na takie oskarżenia. Na szczęście minęła. Doświadczeni sędziowie potrafią odróżnić, co jest chwytem poniżej pasa, czystą zagrywką. W takich sytuacjach kobietom może grozić oskarżenie o składanie fałszywych zeznań. Trend minął, ale ciągle są przypadki, że kobiety starają się grać tą kartą. Jedna z prawniczek, z którą rozmawiałam, nazwała to „emocjonalną bombą atomową". Nie tylko wobec ojca, ale też dziecka, bo małemu dziecku można ten temat wmówić, zaindukować. W jego pamięci przemoc czy molestowanie utrwala się jako faktyczne zdarzenie i ono potem wykazuje symptomy charakterystyczne dla ofiar przemocy.

Czy rosnąca popularność naprzemiennej opieki nad dziećmi świadczy o tym, że coraz więcej małżeństw rozchodzi się w dobrych relacjach?

To niestety nieprawda. Strony nadal mogą być na wojnie, ale podejmują decyzję o opiece naprzemiennej – często obarczoną wieloma wyzwaniami, awanturami, przepłakanymi nocami. Ta opieka trwa rok czy dwa, zanim dojdzie do rozwodu, a sądy najczęściej akceptują ten zastany stan rzeczy; widzą, że konflikt między rodzicami trwa, ale nie chcą mieszać dzieciom w głowach. Trafiłam na przypadki, gdy ta wojna przybiera formę ekstremalną. Na przykład jedna ze stron kwestionuje każdą możliwą rzecz – zły krem do rąk, nie takie ubrania, brak zgody na zajęcia dodatkowe czy – co gorsza – na wizytę u psychologa, psychiatry czy farmakoterapię. To przerażające, że ludzie nie są w stanie dojść do porozumienia nawet w zakresie rzeczy absolutnie najważniejszej – zdrowia psychicznego swojego dziecka. I mimo opieki naprzemiennej toczą się kolejne sądowe batalie, czy jeden z rodziców może iść z dzieckiem do psychiatry.

Bywa, że rodzice w towarzystwie swoich prawników spisują szczegółowe umowy, co do kogo należy. Kto ma kupić kurtkę na zimę, kto opłaca zajęcia, kto odwozi na kinderbale. Opieka naprzemienna ma też inne wady. Dzieciom, zwłaszcza starszym, które mają relacje pozaszkolne, trudno funkcjonować, bez przerwy przeprowadzając się od jednego rodzica do drugiego. Gdy pojawiają się nowi partnerzy rodziców, często z własnymi dziećmi, sprawy potrafią się jeszcze bardziej skomplikować.



To może gniazdowanie? Dziecko mieszka w jednym miejscu, a przeprowadzają się rodzice.

Z tym bywa nawet większy problem. Raz, że ten system jest trudny w polskich warunkach, ze względu na kwestie ekonomiczne i problemy mieszkaniowe. Generuje gigantyczne koszty. A dwa – rozumiem poświęcenie dla dzieci i stawianie ich dobra na pierwszym miejscu, ale ten system rozbija ludziom życie. Powoduje frustracje, bo strony, które są w konflikcie, stale mijają się w jednym mieszkaniu, cały czas mają wspólne przestrzenie, jakby się naprawdę nie rozstali. Ale wszystko jest lepsze od odseparowania dzieci od jednego z rodziców. A takich historii niestety wciąż nie brakuje.

Alimenty to punkt zapalny przy wielu rozwodach. Z jednej strony mamy stereotyp cwaniaka, który ukrywa dochody, a z drugiej – roszczeniowej kobiety, która z zemsty chce wykończyć byłego finansowo. Prawda leży pośrodku?

Nie. Wystarczy spojrzeć na statystyki, na to, jak wygląda dług alimentacyjny. Ja tu jestem dość

eprasa.pl 196cd999bb

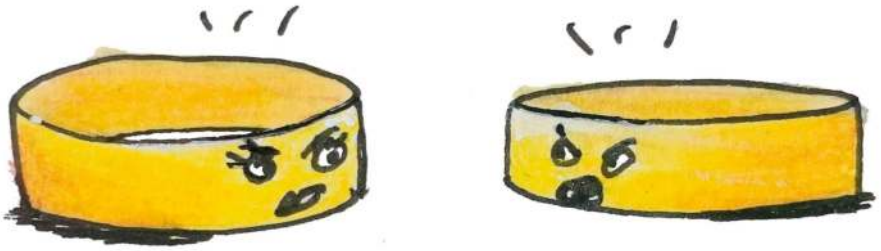

Rozwody po polsku

- W 2025 r. rozwiodło się ok. 61 tys. par (o 3 tys. więcej niż w roku poprzednim). Na każde 100 małżeństw przypada średnio 39 rozwodów.
- Najwięcej par rozwiodło się, mając staż małżeński 5–9 lat, najmniej tych ze stażem 25–29.
- Coraz częściej sądy orzekają o wspólnym wychowaniu dzieci przez rozwiedzionych rodziców – 77 proc. przypadków. W porównaniu z 29 proc. w 2000 r.
- Według Krajowego Rejestru Długów dług alimentacyjny w Polsce wynosi już 16,4 mld zł. Prawie 96 proc. zaległości wobec dzieci to niespłacone zobowiązania ojców.
- W bazach figuruje blisko 290 tys. osób uchylających się od płacenia alimentów. Średnie zadłużenie to ok. 60 tys. zł.
- Najszybciej rosną długi najmłodszych rodziców (18–25 lat) – od 2022 r. zwiększyły się siedmiokrotnie.
- W kwietniu prezydent Karol Nawrocki zawetował ustawę, która przewidywała możliwość rozwiązania małżeństwa przed urzędnikiem stanu cywilnego bez udziału sądu. Miało to dotyczyć par bezdzietnych, z minimum rocznym stażem, i pod warunkiem zgodności stron co do całkowitego rozpadu małżeństwa.

radykalna w opiniach. Przeraża mnie postawa mężczyzn, którzy nie chcą płacić na swoje dzieci. Kombinują, by wykazać jak najniższe zarobki, biorą pieniądze pod stołem. Ta praktyka nadal ma się dobrze w Polsce. Na forach internetowych udzielają sobie porad, co zrobić, by płacić jak najmniej. Można tam wyłapać przypadki, gdy remedium na alimenty ma być opieka naprzemienna. To ojcowie, którzy w innych okolicznościach woleliby, żeby dziecko zostało przy matce, a oni braliby je na co drugi weekend, część wakacji czy święta. Ale wtedy musieliby płacić. W takich przypadkach teoretycznie dobre rozwiązanie, jakim jest opieka naprzemienna, bywa absolutnie fatalne. Zmienia się w walkę o każdy grosz, bitwę na paragony, spór o każdy ponadstandardowy wydatek, np. kto ma kupić prezent, gdy dziecko idzie na urodziny kolegi czy koleżanki. A co do roszczeniowych kobiet – są przypadki, gdy przedstawiają rozbuchaną listę potrzeb, twierdząc np., że 10-latka co tydzień musi iść do fryzjera. Ale to nieporównywalne do skali groźnego zjawiska społecznego, jakim jest unikanie alimentów. To się powoli zmienia, ale ciągle żyjemy w kraju, w którym to mężczyźni są stroną silniejszą ekonomicznie, a z dziećmi po rozwodzie zostaje kobieta.

Nowym polem sporu w wojnach rozwodowych mogą być zarodki.

Ta historia wydarzyła się już po rozwodzie, gdy kobieta dostała rachunek z kliniki leczenia niepłodności, wynikający z umowy, którą jeszcze w czasie małżeństwa zawarli wraz z mężem z tą placówką. Dotyczyła przechowywania zarodków, za co płaci się roczny abonament. Jej eksmąż stwierdził, że jego to już nie interesuje. Ale w polskich warunkach zarodki nie mogą być tak po prostu zutylizowane. Zresztą ta kobieta tego nie chciała. Nie wyobrażała sobie, że jej zarodki byłyby oddane do adopcji prenatalnej; inna kobieta urodzi jej dziecko, a ona nawet nie będzie o tym wiedziała. Wróciły do niej myśli o macierzyństwie. Ale nie mogła wykorzystać zarodków bez zgody męża. On odmówił, bo nie chciał już być ojcem jej dziecka. Sprawa trafiła do sądu. Kobieta przegrała w dwóch instancjach. W drugiej instancji sąd orzekał w trzyosobowym składzie. To nie jest zwykła procedura; pokazuje, jak trudna i złożona była ta sprawa.

Kobieta będzie odwoływać się do Trybunału w Strasburgu. Ma troje dzieci, jest po czterdziestce, więc na in vitro raczej szansy już nie będzie, ale – jak deklaruje – chce otworzyć drogę innym kobietom w tej sytuacji. A takich przypadków może być więcej. Mamy epidemię niepłodności, procedura in vitro jest coraz bardziej popularna. Ludzie trafiają do klinik leczenia niepłodności w takim momencie, gdy myślą, że będą rodziną do grobowej deski, ale wiadomo, że w życiu różnie bywa.

A czy w rozwody włączyła się już sztuczna inteligencja? Myśl o tym, jakie „dowody" można przy jej pomocy spreparować, jest przerażająca.

O preparowaniu dowodów jeszcze nie słyszałam, ale coraz popularniejsze jest wykorzystywanie ChatGPT do pisania pozwów. To duża oszczędność, ale efekty bywają komiczne. Jedna z prawniczek opowiadała mi, że odpowiadając na takie pismo, szukała orzeczeń, na które powołano się w pozwie. I znalazła. Dotyczyły odszkodowania za budowę mostu. Ta prawniczka doradza jednak swoim klientom, żeby w pewnych sytuacjach korzystali ze sztucznej inteligencji, a mianowicie w korespondencji pozaprocesowej. Jeśli ktoś nie potrafi napisać wiadomości do ekspartnera bez wylewania frustracji i nienawiści, może poprosić chat o wyeliminowanie z wypowiedzi emocjonalnych sformułowań. Operowanie na emocjach nie sprzyja porozumieniu.

Opisywany przez panią zniszczony krzak róży ma wymiar symboliczny.

To była róża posadzona przez nieżyjącego już ojca jednego ze współmałżonków. Piękna roślina, która miała wartość sentymentalną dla całej rodziny. Drugi ze współmałżonków wyrwał ją i zdeptał.

„Zgotuję ci piekło. Jak rozwodzą się Polacy" – napisała pani tę książkę, żeby zrozumieć, dlaczego ludzie, którzy kiedyś się kochali, sobie to robią. Udało się?

Nie. Ale dotarło do mnie coś innego. Samodzielnie wychowuję córkę. Jej ojciec nie chciał nawet podpisać stosownych dokumentów w USC, a ja nie chciałam go zmuszać do rodzicielstwa. Moja sytuacja bywa trudna i wymagająca, ale zaczęłam ją doceniać. Nie mam alimentów, ale nie muszę nikogo prosić o zgodę na wyrobienie paszportu czy pójście do lekarza. Nie muszę z nikim toczyć wojny. A moje dziecko nie ponosi jej emocjonalnych kosztów.

ROZMAWIAŁA JOANNA PODGÓRSKA

eprasa.pl 196cd999bb

Cierpią w ukryciu

O wielu chorobach rozmawia się bez najmniejszego skrępowania: o nadciśnieniu, niestrawności, cukrzycy, a nawet o nowotworach. Ale o hemoroidach czy o nietrzymaniu moczu już nie. Wstydliwe choroby dotykają milionów z nas.

PAWEŁ WALEWSKI



Iza Miko, aktorka znana z otwartości w mediach społecznościowych, niedawno pokazała się fanom ze sztucznym uzębieniem i bez niego. To był gest drastycznej, niemal anatomicznej szczerości. Pod nagraniem wyjaśniła, że idealna twarz i uroda to tylko maska, a ona sama jako młoda dziewczyna potwornie cierpiała z powodu wstydu, którego źródłem była utrata

ILUSTRACJA MARTA FREJ

eprasa.pl 196cd999bb

zębów jeszcze w dzieciństwie. Trudno o bardziej symboliczny obraz naszych czasów: celebrytka odsłania coś, co większość ludzi skrzętnie ukrywa przez całe życie.

Odkąd współczesny internet zamienił się w gigantyczną scenę nieustannych zwierzeń, paradoksalnie wstyd pozostał jednym z najczęstszych, choć najrzadziej omawianych doznań.

Łuszczyca? Nietrzymanie moczu? Problemy seksualne? Brak zębów? Nie wszystkie choroby naruszają ciało w ten sam sposób. Niektóre uderzają również w tożsamość.

W izolacji

Kontrast ten bywa szczególnie jaskrawy właśnie teraz, na początku lata i wakacji. Dla większości to czas relaksu na plażach i basenach. Ale dla tysięcy pacjentów zmagających się z widocznymi chorobami – atopowym zapaleniem skóry, łuszczycą czy ciężkim trądzikiem – oznacza początek ukrywania się i prawdziwej udręki.

Łuszczyca nie boli tak jak nowotwór ani nie jest śmiertelna. Potrafi jednak odebrać zwykłe życie. Chorzy opisują siebie jako trędowatych i zadżumionych XXI w., choć sami takich określeń nie lubią. Na internetowych forach można znaleźć wpisy przypominające wołanie o pomoc: „Wolę umrzeć, niż pokazywać się ludziom". Marzena przyznaje wprost: – *Wstydzę się latem z odsłoniętym ciałem wychodzić z domu.*

Ale w grupach pacjentów wspiera innych, którzy mają ten problem od niedawna: – *Co z tego, że ciało z tego powodu nie umrze, skoro doprowadza psychikę do stanu permanentnego wyczerpania?*

Młodzi ludzie u progu życia rezygnują z marzeń o karierze sportowej czy artystycznej. Wybierają egzystencję w ukryciu. Izolacja postępuje niezauważalnie, krok po kroku. Krzysztof z Kielc, który z chorobą zmaga się od ponad 30 lat, wspomina czasy, gdy leczono go dawnymi, mało skutecznymi metodami. Jego ciało w 90 proc. stanowiło jedną wielką skorupę, wolne od zmian pozostawały jedynie dłonie, stopy i twarz. – *Cztery ściany zamykają trwale, ale powoli* – stwierdza gorzko. – *Można tego samemu nie zauważyć. Najpierw wstydzisz się wyjść po zakupy, potem izolujesz się od znajomych, w końcu zostajesz sam z telewizorem.*

Jak bardzo to odrzucenie bywa brutalne, pokazuje historia 17-letniej dziewczyny, którą przytacza prof. Anna Zalewska-Janowska z Zakładu Psychodermatologii i Neuroimmunobiologii Skóry z Uniwersytetu Medycznego w Łodzi. Nastolatka wybrała się dwa tygodnie temu na publiczny basen. Świadoma swoich niedoskonałości, założyła bardziej zakrywający kostium kąpielowy, spod którego jednak widoczne były tarczki łuszczycowe na łokciach i kolanach. Reakcja tłumu była natychmiastowa i bezwzględna. – *Proszę sobie wyobrazić, że wszyscy ludzie, którzy byli w basenie, jak ją zobaczyli, to nagle wyszli z wody* – opowiada prof. Zalewska-Janowska. 17-latka została sam na sam ze swoją chorobą i zbiorowym, niemym wyrokiem potępienia. De facto wyproszono ją z przestrzeni publicznej przez strach i ignorancję innych, a mamy przecież 2026 r.!

Ale wokół łuszczycy wciąż krążą absurdy rodem ze średniowiecza. – *Jedni nadal uważają, że jest chorobą zakaźną. Inni, że pojawia się z brudu* – wylicza te krzywdzące mity prof. Zalewska-Janowska. Choć jej zdaniem źródło problemu jest głębsze niż niewiedza: – *Kluczowe pytanie, jakie zadają moi pacjenci, brzmi: jak zareaguje na mnie otoczenie? I może to my powinniśmy się zmienić, a nie oni, którzy boją się poniżenia?*

W strachu

Wstyd nie rodzi się wyłącznie w głowie chorego. Powstaje na styku jednostki i społeczeństwa. Psycholog i lekarka dr Magdalena Skotnicka-Chaberek z Uniwersytetu SWPS zwraca uwagę, że mimo rewolucji cyfrowej nasz mózg pozostał taki sam jak tysiące lat temu. – *Nadal jesteśmy osobnikami społecznymi* – tłumaczy. – *Najpierw sprawdzamy, czy świat jest bezpieczny. Jeżeli boję się, że ludzie mnie odrzucą, ocenią albo skrzywdzą, zaczynam ukrywać wszystko, co mogłoby zagrozić mojej przynależności do grupy.*

Korzenie tego mechanizmu sięgają głęboko – w dawnych społecznościach wykluczenie ze stada mogło oznaczać śmierć. Dlatego człowiek nauczył się błyskawicznie reagować na wszystko, co grozi utratą akceptacji. Wstyd pełnił funkcję adaptacyjną, był społecznym systemem alarmowym. Dodatkowo przez wieki choroba była kojarzona z winą, karą i zagrożeniem dla wspólnoty. – *Pierwsze opisy wykluczenia społecznego z powodów zdrowotnych dotyczą trędowatych* – przypomina psycholog. – *Odsuwano ich, bo miało to chronić innych.*

Ten historyczny kod kulturowy przetrwał do dziś. Zmieniły się choroby. Nie zmieniły się emocje. Dlatego połowa internetu może deklarować tolerancję, a jednocześnie nastolatka z łuszczycą zostaje sama na basenie. Toteż nawet osoby doskonale wykształcone nadal reagują lękiem na widok zmian skórnych. I nawet ci najlepiej wykształceni mogą nie poradzić sobie z własnym wstydem.

Prof. Anna Zalewska-Janowska przytacza wstrząsający, niedawny przypadek wybitnego profesora jednej z polskich uczelni. Mężczyzna trafił pod respirator z ciężkim, pneumocystozowym zapaleniem płuc – podręcznikową chorobą markerową dla pełnoobjawowego AIDS. Profesor wiedział, że jest zakażony HIV, ale nie leczył się ze wstydu. Bał się utraty pozycji, rozpoznania w środowisku lekarskim i akademickim, panicznie obawiał się reakcji otoczenia. – *Przecież na zakażenie HIV obecnie są leki tak skuteczne, że osoby nim dotknięte mogą żyć bezpiecznie dla siebie i partnerów do naturalnej śmierci* – mówi prof. Zalewska-Janowska. Uczony wolał jednak zaryzykować śmiercią, niż stanąć twarzą w twarz ze społecznym piętnem. Obawa przed wykluczeniem bywa tak dewastująca, że cierpienie wywołane samą chorobą okazuje się mniejsze niż ból odrzucenia.

Ze wstydu

Skąd się bierze ta potężna siła wstydu w medycynie? Gdy pod koniec lat 80. XX w. amerykański psychiatra Donald Nathanson zorganizował pierwsze sympozjum poświęcone jego naturze, środowisko naukowe było zdumione – wcześniej ta uniwersalna emocja rzadko stawała się przedmiotem głębszych analiz akademickich. Nathanson zauważył, że wstyd jest tak potwornie niekomfortowy, iż robimy absolutnie wszystko, by go unikać i o nim nie rozmawiać. W tym samym czasie lekarz Aaron Lazare opisał zjawisko wstydu w samej klinice medycznej. Zwrócił uwagę na fakt, że pacjent przekraczający próg gabinetu lekarskiego jest z definicji wystawiony na wysokie ryzyko upokorzenia – musi obnażyć się fizycznie i psychicznie przed obcą osobą, przyznać do słabości lub dysfunkcji.

To właśnie dlatego pan Jacek, zawodowy kierowca, przez kilka tygodni zmagał się sam ze swoim problemem. – *Piekło, szczypało, widziałem krew, ale wolałem leczyć się samemu maściami na hemoroidy, niż odsłonić przed lekarzem pośladki* – wyznaje. Z powodu narastającego bólu musiał w końcu przełamać wstyd. ▶

eprasa.pl 196cd999bb

▶ To wcale nie były hemoroidy, tylko paskudny ropień odbytu. Już tak duży, że natychmiast trzeba było poddać się operacji. Jak się okazało, niejednej, ponieważ w wyniku powikłań powstała przetoka, więc leczenie wymagało kolejnych zabiegów, a wskutek przewlekłego zapalenia zaczęły rosnąć polipy i również należało je usunąć operacyjnie.

Tak oto 53-letni mężczyzna stał się ekspertem w zakresie traktowania pacjentów z problemami odbytu. – *Średniowiecze* – podsumowuje swoje wrażenia. Przyznają to nawet lekarze. Dolnym odcinkiem przewodu pokarmowego niewielu chirurgów chce się zajmować, bo to specjalność wymagająca nie tylko nie byle jakiej sprawności, ale również taktu i cierpliwości do zawstydzonych pacjentów.

Dlatego gdy pan Jacek znalazł się pod opieką znanej chirurg i proktolog prof. Małgorzaty Kołodziejczak ze Szpitala św. Elżbiety w Warszawie, poczuł się jak w innym świecie. Na każdym łóżku podobne historie: mężczyźni tacy jak on z przetokami lub inni z nietrzymaniem stolca. Za ścianą kobiety: również z polipami albo uszkodzonymi podczas porodu zwieraczami odbytu. – *Dawniej musiałem leżeć wśród pacjentów, którzy czuli do mnie wstręt* – wspomina. – *To z brudu, nie myje się pan – jak walczyć z takim stereotypem? Jak upominać pielęgniarki, by subtelniej utrzymywały po operacji higienę tej okolicy ciała? Jak przekonać lekarza, aby podczas wizyty nie kazał przy otwartych drzwiach podnosić kołdry?*

Prof. Kołodziejczak nie ma złudzeń: – *Kiedy pacjent już do mnie trafia, to spodziewa się, że będzie zbadany proktologicznie. Większe bariery i poczucie wstydu pojawiają się, gdy idzie do lekarza innej specjalności.*

W jej gabinecie atmosfera ma kluczowe znaczenie. – *Zawsze badam również brzuch, nie ograniczam się tylko do badania proktologicznego. To rozluźnia atmosferę, pozwala nawiązać kontakt* – tłumaczy. Przez ponad 40 lat pracy obserwowała niemal wszystkie odcienie zawstydzenia. Od mężczyzn, którzy przez miesiące leczą hemoroidy kupowanymi w aptece maściami, choć w rzeczywistości rozwija się u nich nowotwór, po pacjentki, które przestają wychodzić z domu, bo po porodzie utraciły kontrolę nad oddawaniem gazów lub stolca. – *Wiele kobiet nie powie o tym nikomu. Ludzie starsi są bardziej zażenowani, a szczególnie starsze panie* – zauważa prof. Kołodziejczak. Dla nich badanie odbytu jest ogromnym problemem, zwłaszcza jeśli wcześniej nikt w to miejsce nie zaglądał.

W milczeniu

Podobne doświadczenia ma prof. Rafał Stojko, prezes Polskiego Towarzystwa Ginekologów i Położników. On również wskazuje na starsze kobiety jako grupę najbardziej obciążoną wstydem: – *One wyrastały w innych realiach. Nie było wtedy tej otwartości, którą dziś widać w mediach społecznościowych.*

Najczęściej ukrywają problemy związane z nietrzymaniem moczu oraz zaburzeniami statyki narządów rodnych. A więc schorzenia niegroźne dla reputacji, lecz niszczące codzienność. – *My potrafimy znakomicie to naprawiać i odbudować kompletnie inną jakość życia. Tylko pacjentka musi się z tym ujawnić* – podkreśla. Tymczasem wiele kobiet wybiera strategię przetrwania. Noszą dodatkowe podpaski, wkładki, pieluchy. Ograniczają picie płynów przed wyjściem z domu. Rezygnują z podróży, spotkań towarzyskich, a nierzadko także ze współżycia. Koszty psychiczne bywają ogromne. – *Przychodzą w dużej depresji. Trudno, żeby było inaczej, skoro muszą chodzić w pampersach. A potem często słyszę: „Dlaczego nie zadbałam o siebie wcześniej?"* – mówi prof. Stojko.

Źródłem problemu jest również zmowa milczenia. – *One między sobą nawet o tym nie rozmawiają. Gdyby rozmawiały, wiele dowiedziałoby się, że można je skutecznie leczyć.*

Wstyd ma szczególnie długie korzenie tam, gdzie medycyna styka się z seksualnością. Choroby przenoszone drogą płciową od stuleci niosą ze sobą moralny osąd. Przez wieki traktowano je nie tylko jako problem zdrowotny, ale także jako dowód grzechu, rozwiązłości lub „niemoralnego prowadzenia". Nieprzypadkowo nawet dziś ludzie rzadko mówią o kile czy rzeżączce pełnym głosem. Chętniej używają eufemizmów albo półżartobliwych określeń, które pozwalają zachować bezpieczny dystans. Tymczasem rzeczywistość jest znacznie mniej moralizatorska niż społeczne wyobrażenia. Zakażenie może dotknąć każdego, także osoby pozostające przez całe życie w jednym związku. Wirusy i bakterie nie sprawdzają życiorysów. Podobny mechanizm działa w przypadku raka odbytu – jednego z ostatnich nowotworów, wokół których utrzymuje się wyraźne tabu. O raku piersi, prostaty czy jąder mówią celebryci, organizowane są kampanie społeczne i biegi charytatywne. Rak odbytu (w Polsce blisko 400 zachorowań rocznie) pozostaje niemal niewidzialny.

Bez tabu

Antidotum na walkę ze wstydem nie jest proste wezwanie do odwagi czy otwartości. Człowiek zawstydzony nie potrzebuje zwykle instrukcji, jak być silniejszym, a raczej miejsca, w którym nie będzie musiał udowadniać, że jest wystarczająco normalny. Znamienny przykład dojrzałego radzenia sobie z odmiennością podaje dr Skotnicka-Chaberek, opisując historię swojego syna z autyzmem. Wychowywany w akceptującym, mądrze stworzonym świecie, jako mały chłopiec potrafił głośno powiedzieć przy rodzinie o innym dziecku: „On ma taki sam autyzm jak ja". Gdy starsza krewna próbowała go uciszyć surowym: „Cicho, nie mów o tym. Ty nie masz autyzmu", chłopiec zapytał w domu, czy to coś złego. Usłyszał najprostszą, najbardziej uwalniającą odpowiedź: „Mów, komu chcesz! Masz, jak masz". Kilka lat później, podczas wizyty na wystawie poświęconej kulturze osób niedosłyszących, w księdze pamiątkowej napisał: „Rozumiem, mam autyzm". Po czym z pełną świadomością skreślił tę medyczną formułkę i dumnie wykaligrafował: „Jestem autystyczny".

Ta drobna korekta językowa to klucz do rewolucji, której tak rozpaczliwie potrzebujemy. – *Tą zmianą pokazał, że to nie jest choroba, ale bardzo ważna część jego osobowości. I nie będzie z niej rezygnował* – podkreśla dr Magdalena Skotnicka-Chaberek.

To nie pacjenci z łuszczycą, hemoroidami czy wirusem HIV powinni przechodzić psychoterapię, by bez wstydu pokazywać się na publicznych basenach. Ale ci, którzy publikują najbardziej intymne wyznania w internecie i ukrywają własną chorobę przed rodziną, a nieraz nawet przed sobą. Ekshibicjonizm sieciowy nie jest przeciwieństwem wstydu. Bardzo często jest jego produktem. Media społecznościowe stworzyły iluzję świata pozbawionego tajemnic. Ludzie pokazują operacje plastyczne, rozwody, porody, depresje i uzależnienia. Wydaje się, że nie istnieją już tematy tabu.

Ale to złudzenie. Bo nie chodzi o to, czy jesteśmy gotowi coś pokazać. Chodzi o to, czy jesteśmy gotowi zostać ocenieni. Pod filtrami, lajkami i deklaracjami autentyczności nadal żyją ludzie, którzy boją się wejść do basenu albo zgłosić się do lekarza. I to właśnie oni mówią najwięcej o prawdziwej naturze współczesnego wstydu.

PAWEŁ WALEWSKI

eprasa.pl 196cd999bb

Jak koń wstaje z kolan

O tym, jak odbudować hodowlę polskich arabów po rządach PiS i zniszczeniach gorszych niż podczas drugiej wojny światowej.

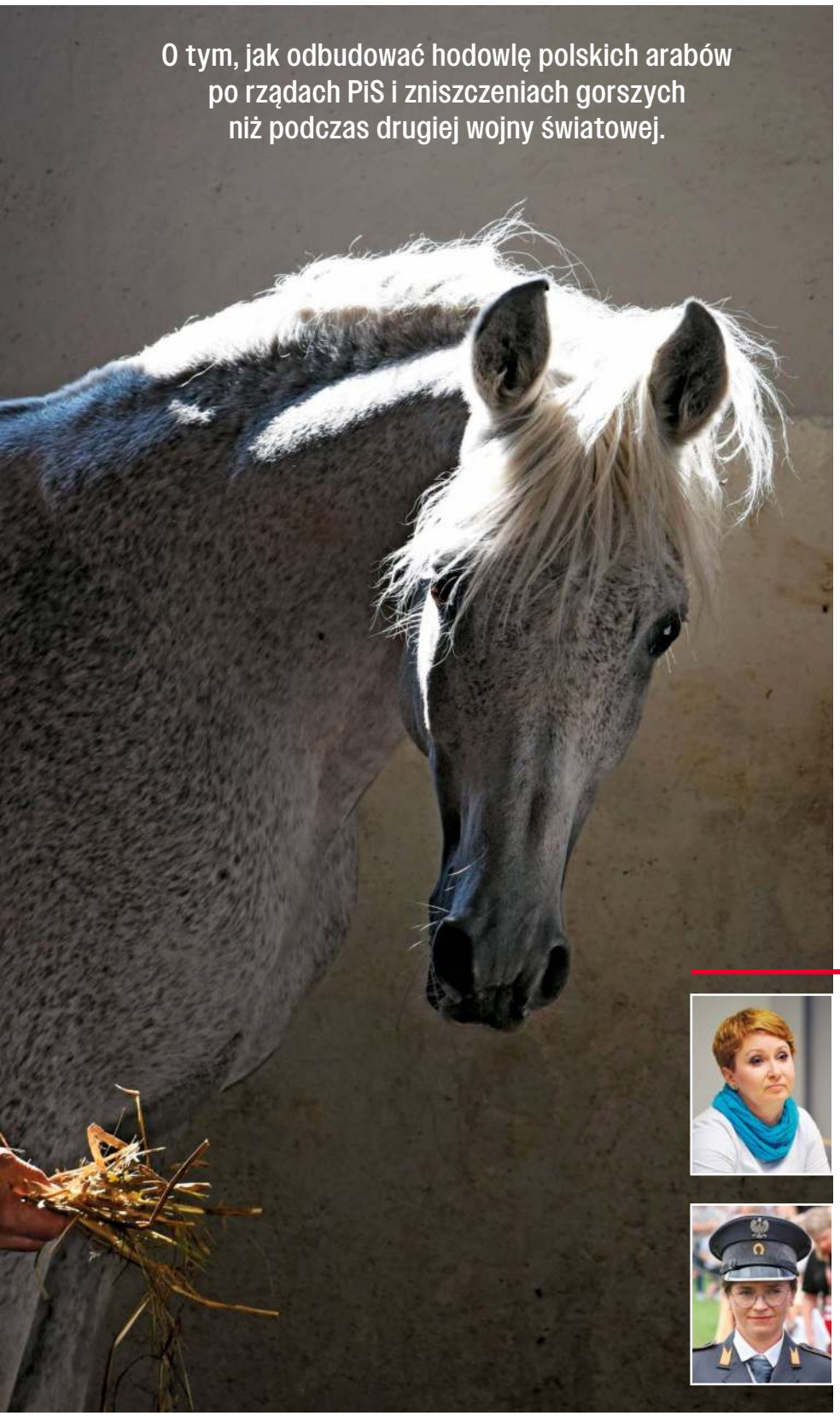

PAWEŁ KWIATKOWSKI: **– Był taki film „Czyż nie dobija się koni", PiS próbował dobić całą stadninę…**

ANNA STOJANOWSKA: – I to niejedną. Gdyby nie zmieniła się sytuacja polityczna, nasze trzy flagowe stadniny arabów – w Janowie Podlaskim, Michałowie i Białce – zostałyby po prostu „dojechane". Nie wiem, czy Janów Podlaski przez ponad 200 lat swego istnienia przechodził okres równie czarny i trudny, jak osiem lat władzy PiS.

WERONIKA SOSNOWSKA: – Tak. Ówcześni decydenci w końcu zdali sobie sprawę, że stadnina doszła do ściany. A wcześniej całkowicie ignorowali liczne apele i skargi. Na pomysł wdrożenia reform wpadli dopiero wtedy, gdy po prostu zaczęło brakować pieniędzy na bieżące potrzeby. Obecne działania naprawcze są rozłożone w czasie i przyniosą wyniki w dłuższym okresie, dopiero wtedy efekt będzie widoczny na aukcjach. Żeby je zrealizować, musimy mieć warunki do spokojnej pracy, w skupieniu na konkretnych zadaniach.

Słyszałem opinie, że nawet wojna nie przetrzebiła stada tak jak rządy „dobrej zmiany".

A.S.: – Ja bym w takie metafory nie brnęła. Po prostu był to okres rozkładu, który zaczął się również od środka. Pracownicy zostali postawieni w bardzo demoralizującym zespół położeniu. Przekonywali się, że każdy kolejny prezes wie o koniach o wiele mniej niż oni. Sygnał był jasny, nie trzeba się starać, bo właściwie nikt tego nie potrafi właściwie ani ocenić, ani docenić. Niektórych prezesów pracownicy ▶

Anna Stojanowska – jedna z najbardziej rozpoznawalnych osób w światowym środowisku hodowców. Specjalistka ds. hodowli koni arabskich, wieloletnia wiceprezydentka Europejskiej Organizacji Konia Arabskiego ECAHO (obecnie pełni funkcję skarbniczki). Międzynarodowa sędzia pokazów koni arabskich klasy A. Obecnie pełni funkcję doradczyni dyrektora generalnego Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa ds. hodowli koni.

Weronika Sosnowska – zawodowo związana z hodowlą koni arabskich czystej krwi, najpierw w stadninie w Kurozwękach, później w Michałowie, a następnie – początkowo jako główna hodowczyni – w Stadninie Koni Janów Podlaski. Od 2025 r. pełni funkcję prezeski zarządu Stadniny Koni Janów Podlaski Sp. z o.o. – najstarszej, założonej w 1817 r. państwowej stadniny koni w Polsce. Wcześniej była tam główną hodowczynią.

© ZENON ŻYBURTOWICZ/EAST NEWS, PIOTR SMOLIŃSKI/POLSKA PRESS/ EAST NEWS, PAP/WOJTEK JARGIŁO

eprasa.pl 196cd999bb

▶ nawet nie widzieli na oczy. Panowie nie chodzili do stajni, nie spotykali się z ludźmi, tylko przesiadywali w swoim gabinecie. A poza tym, jeżeli prezes zmieniał się średnio co 10 miesięcy, to zanim się na dobre rozgościł, już musiał się pakować. Inni pracownicy starali się ratować, co się da. Zgrzytali zębami, ale trwali przy koniach. To ludzie, którzy kochają te zwierzęta, mają do nich serce i przywiązanie.

Zachodzę w głowę, po co PiS była ta cała zawierucha.

A.S.: – Podobnie jak Marek Trela i Jerzy Białobok zawsze uważałam, że trzeba się skupić na koniach i nie włączać w rozgrywki polityczne. Ale polityka nas dogoniła, wjechała w nasze życie i nas po prostu przeorała.

W.S.: – Paradoksalne, że obu panów polityka rozjechała w momencie największych sukcesów, jakie kiedykolwiek osiągnęła polska hodowla arabów. Dlaczego zostało rozpętane takie piekło? Tłumaczenie jest chyba prozaiczne: po prostu ktoś z partii, która doszła wtedy do władzy, uznał, że są to konfitury i przyszedł czas, aby ktoś inny się do tych konfitur dobrał.

Oczywiście nowa ekipa myślała, że sukces rodzi się sam i że nie kosztuje żadnego wysiłku. A na sukces pięknych koni na pokazach czy aukcjach trzeba pracować na wielu frontach, i to wcale nie tak spektakularnych i prestiżowych. Zarówno gospodarstwo w Janowie Podlaskim, jak i w Michałowie to nie tylko konie, ale też produkcja roślinna i hodowla bydła. Te trzy gałęzie – hodowla koni, hodowla bydła i produkcja roślinna – muszą ze sobą idealnie współgrać, aby wypracować wynik finansowy. A tu się nagle okazało, że produkcja roślinna zaczyna kuleć, a wkrótce krowy się nie doją. Dramat. Więc żeby ratować wynik finansowy, „eksperci" z politycznego nadania uznali, że trzeba raz po raz poświęcić jakiegoś czempiona i po prostu go sprzedać. A ponieważ państwo nie znali się na tych koniach, to wystawili je na sprzedaż bez względu na ich wartość. Konie były sprzedawane za kwoty absolutnie nieadekwatne, ale za to takie, które pomagały im zasypywać dziury w bieżącym rachunku wyników. Najlepsze konie szły pod młotek, żeby ratować wynik finansowy, a przede wszystkim posady kolejnych prezesów. Po 10 latach w stadzie polskich arabów na palcach jednej ręki, no może obu, policzyć można konie elitarne, czyli te o wybitnych osiągnięciach.

Od 2016 r. było więcej prezesów niż przez całą powojenną historię stadniny.

W.S.: – Ja jestem dziewiątą z kolei osobą na stanowisku prezesa Janowa od 2016 r. Każdy kolejny szef z partyjnego nadania połamał sobie na stadninie zęby. Nagle się okazało, że zarządzanie stadniną jednak nie jest takie proste. To nie jest zwykła arytmetyka, bo np. międzynarodowa społeczność, skupiona wokół hodowli koni arabskich, pokazów i wyścigów, jest dosyć małym środowiskiem, relatywnie hermetycznym, elitarnym. Kiedy nagle pojawia się ktoś i przedstawia się jako nowy dyrektor jednej z najstarszych stadnin na świecie, ale jeszcze nigdy jakoś nie ujawnił swoich talentów hodowlanych czy osiągnięć, to po prostu nie będzie miał wstępu do tego klubu. Nie ja to wymyśliłam, ale tak to działa.

Wskutek tych roszad i nieprzemyślanych decyzji, na które nałożyła się jeszcze pandemia, a więc i kryzys aukcji, wypadliśmy z międzynarodowego rynku arabów, prawda?

A.S.: – Przyroda nie znosi próżni. Kiedy w Polsce zaczęły się problemy, momentalnie ktoś zajął nasze miejsce. Bo wspięcie się na szczyt hodowlany i zyskanie opinii wiodącej hodowli na świecie to tylko połowa sukcesu. Druga połowa to utrzymanie się na szczycie przez dłuższy czas. I po 2016 r. myśmy z tego szczytu niejako na własne życzenie się usunęli. Teraz jest tam Bliski Wschód: Zjednoczone Emiraty Arabskie, Katar, Arabia Saudyjska. Statystyka mówi sama za siebie: w Polsce rocznie rodzi się ok. 600 źrebiąt, a w samej tylko Arabii Saudyjskiej 7 tys. Petrodolary robią swoje.

I co się potem z tymi końmi dzieje?

W.S.: – Stadniny nie są z gumy i trzeba dla nowego pokolenia zrobić miejsce, a zatem tyle samo koni musi opuścić stadninę, ile źrebiąt się rodzi. Stadniny muszą sprzedawać choćby z tego powodu, że trzeba robić miejsce dla nowego pokolenia.

Ale skoro hodowcy z Bliskiego Wschodu mają tyle własnych koni, co sprawia, że nadal przyjeżdżają do Polski i płacą ciężkie pieniądze za nasze, bo – jak słyszę – kupcy powracają.

A.S.: – W zeszłym roku pojawiły się na aukcji osoby, których nie widzieliśmy tu przez 10 lat. Akurat jest teraz w Polsce znakomity amerykański fotograf Stuart Vesty, specjalizujący się w fotografowaniu koni. Od 30 lat przyjeżdżał na pokazy i aukcje, w 2016 r. nagle to się urwało. Kiedy przed dwoma laty przyjechał po raz pierwszy od ośmiu lat, nie był w stanie udzielić wywiadu, bo ciągle płakał. Wjechał do Janowa i ryczał. Głos mu się łamał.

Polska pod względem hodowli koni arabskich jest w dość luksusowej sytuacji, bo to dziś jedyny kraj na świecie, który ma na taką skalę rozbudowaną państwową hodowlę. Mecenat nad nią objęło państwo i teoretycznie, niezależnie od tego, kto zarządza tymi stadninami, one będą trwać. Państwowy właściciel z założenia gwarantuje trwałość i ciągłość hodowli: stadniny nie można sprzedać ani podzielić. Gdybym miała powiedzieć – a jestem w tym biznesie od 30 lat – ile znam prywatnych stadnin, które przetrwały dłużej niż jedno ludzkie pokolenie, to nie wiem, czy wymieniłabym chociaż pięć.

Niektóre współczesne araby wyglądają jak koniki, ale morskie, takie są wystylizowane.

A.S.: – Polska jest jednym z nielicznych krajów, który bardzo dba o to, aby konie się socjalizowały, aby żyły w warunkach maksymalnie zbliżonych do naturalnych: młodzież jest włączona w grupę. Poza tym nasze utytułowane na czempionatach konie najpierw muszą przejść roczną próbę dzielności. To są konie, które nie tylko mają ładną główkę, ale też można na nie wsiąść i pocwałować. W tym roku w treningu wyścigowym mamy ogierka, który ma na koncie tytuł czempiona Europy, i klacz, która jest brązową czempionką Europy. Te konie normalnie pracują w sporcie.

W.S.: – Konie, które chcemy wcielać do stada elitarnego, przechodzą wyścigową próbę dzielności na Służewcu albo Partynicach. Próba ta przynosi wiele korzyści – koń pokazuje swoją wydolność ruchową, krążenia, układu oddechowego, psychikę. I proszę: w zeszłym roku kto wygrał wyścig na Służewcu? Ano właśnie jedna z tych klaczy o pięknych głowach, srebrna mistrzyni Europy! Uroda potrafi iść w parze z dzielnością. Czego u nas szukają nabywcy z innych stron świata? Właśnie takich koni, które nie tylko ładnie wyglądają, ale też mają świetne wyniki.

Pokutuje opinia, że przerasowione araby mają prezencję, lecz nie nadają się do jazdy.

W.S.: – Tendencje do hodowania arabów o przesadnie przerysowanym, szczupaczym profilu głowy, który osiąga się kosztem skrócenia kości nosowej, niekiedy prowadzą do problemów oddechowych,

eprasa.pl 196cd999bb



Obserwując to, co się dzieje na pokazach, staramy się odczytać potrzeby rynku i oczekiwania klientów.

bo utrudniona jest wymiana gazowa. To z kolei utrudnia natlenianie krwi, dochodzi do kłopotów z krążeniem i problemów sercowych. Szeroka czaszka i krótki wąski pyszczek dobrze wyglądają na Instagramie. Ale niejeden koń miał przez to kłopoty ze zgryzem.

A.S.: – Dzisiaj głównym kierunkiem hodowli koni arabskich są pokazy, na których ocenia się ich urodę. Trochę tak jak wystawy psów i szczególnie Bliski Wschód ten kierunek wyznaje, a reszta świata podąża za nim, czyli za pieniędzmi. Polska jest natomiast zieloną wyspą, bo z powodzeniem łączymy urodę i wydolność. Chcemy, aby nasze araby były także końmi użytkowymi, aby można było dać im na grzbiet siodło i pojechać. I tak szybko, jak świat zwariował na punkcie szczupaczych pysków, tak też szybko hodowcy zorientowali się, że ta strategia hodowlana doszła do ściany. Polskie konie, które biorą udział w pokazach, na ogół dostają najwyższe oceny, nawet jeśli ta głowa wygląda niekoniecznie tak, jak sobie ktoś tam wymyślił. Dostają za to dobre noty za nogi, ruch i budowę ciała. A jeszcze z pięć lat temu mówiło się, że aby wygrać pokaz, wystarczy ładna głowa. Marek Trela mawiał wtedy z przekąsem, że ładna głowa „robiła" też ładne nogi i ładny ruch, bo sędziowie się tak koncentrowali na tej ładnej głowie, że przymykali oczy na wady budowy. Teraz się to trochę już zmienia i po dobre, solidne klacze trzeba przyjechać do Polski.

Pytanie, czy mamy tyle dobrych koni, aby bez umniejszania wartości stada je sprzedawać?

A.S.: – Na szczęście wciąż mamy konie z tych najlepszych linii. Zostały mocno osłabione, ale pracujemy nad tym, żeby poprawić jakość w poszczególnych rodzinach żeńskich, a to jest proces długotrwały. Chodzi o to, aby potomek był lepszy od rodzica – i to weryfikują pokazy. A o ostatecznym sukcesie decyduje też łut szczęścia i zdarza się czasami taki strzał, że w naprawdę krótkim czasie uda się wyhodować bardzo dobrego konia. Ale raczej należy się nastawić na to, że jeszcze wiele czasu potrzeba, żebyśmy doszli do takiego stanu, jaki był w 2015 r. Mieliśmy wówczas konie na sprzedaż, których wystawianie odbywało się bez bolesnego uszczerbku dla hodowli. Dzisiaj takiego spokoju nie ma: jest nieustanna walka i wojna nerwów, którego konia musimy pozostawić, a który może trafić na sprzedaż.

A co naszą hodowlę czeka w przyszłości?

W.S.: – 2024 r. zamknęliśmy stratą netto 4 mln. 2025 r. – stratą poniżej 1 mln zł: to radykalna poprawa. Ciężko powiedzieć, czy ten rok zamkniemy na plusie – głównie ze względu na susze i znaczny spadek ceny mleka. Natomiast sprzedaż koni jest trochę nieobliczalna. Janów potrzebuje spokoju, bo wychodzimy na prostą, ale to wymaga czasu.

Model biznesowy na przyszłość?

W.S.: – Mało osób wie, że Janów to jest 2,5 tys. ha użytków zielonych, upraw i pastwisk. To jedno z największych gospodarstw rolnych w Polsce. Funkcjonuje na zasadzie naczyń połączonych. Aby utrzymywać na wysokim poziomie produkcję mleka, najpierw trzeba mieć dobrą produkcję roślinną. Musimy wyprodukować pasze objętościowe dla bydła o tak dobrych parametrach, żeby ono się dobrze doiło. To jest fundament pozwalający na inwestowanie w hodowlę arabów.

Jak dochodzicie do tego, aby ustawić cenę wywoławczą na takim poziomie, by na licytacji dojść do 1,4 mln euro, jak było w przypadku Pepity w 2015 r.?

W.S.: – Sprzedaż koni arabskich to trochę jazda na wariackich papierach. Bardzo ciężko wytłumaczyć audytorom, dlaczego wartość księgowa danego konia jest oszacowana na śmiesznie niskim poziomie, np. 20 tys. zł, a potem tego konia sprzedajemy za 150 tys. euro. Mamy trzy rodzaje cen: cena rezerwowa ustalana jest przez nas na poziomie, poniżej którego nie schodzimy. Jest też cena wywoławcza, od której zaczyna się licytację. I jest wreszcie nasz target marzenie, ale do końca nikt nie jest w stanie przewidzieć, jak na danego konia zareaguje rynek. Obserwując to, co się dzieje na pokazach, staramy się odczytać zapotrzebowanie rynku i oczekiwania klientów. To naprawdę balansowanie na bardzo cienkiej linii.

Nastroje przed kluczową, sierpniową aukcją?

A.S.: – Zeszłoroczna sprzedaż koni z Janowa Podlaskiego była najwyższa od ośmiu lat. Adelita, bezskutecznie wystawiana za czasów PiS, w ubiegłym roku osiągnęła rekordową cenę na aukcji Pride of Poland: 430 tys. euro – i jednocześnie najwyższą cenę w ciągu ostatnich 10 lat – a Janów sumarycznie też osiągnął rekordową sprzedaż w ostatnich 10 latach: 1,33 mln euro. A np. w 2018 r. została sprzedana tylko jedna klacz z głównej listy za 133 tys. euro. Chce pan wiedzieć, skąd taka cena? Od 25 lat odpowiadam pytaniem na pytanie: dlaczego za słoneczniki namalowane przez Kowalskiego nikt nie zaoferuje nawet 50 zł, a za Van Gogha płacą 40 mln dol.?

ROZMAWIAŁ PAWEŁ KWIATKOWSKI

© BEATA ZAWRZEL/REPORTER

eprasa.pl 196cd999bb



Może przyjdzie opamiętanie

Spirala nienawiści tym razem uderzyła w dwie ukraińskie jedenastolatki z Bielska-Białej. Reakcja czynników była modelowa, a ta w internecie dość stonowana.

NATALIA SAWKA

Bielsko-Biała, śląskie, sobota 11 lipca. Dasza i Sofija wsiadły do autobusu linii 8. Dziewczynki się wygłupiały. Dasza wpadła na pomysł, by zrobić zabawne zdjęcie. Jedna z nich usiadła rząd niżej. Ta druga położyła nogi na oparciu siedzenia nad głową koleżanki. Polskie dzieciaki też tak robią. Cyk, zdjęcie zrobione. Potem rozpętał się horror.

Dasza opowiada, że gdy podszedł do nich mężczyzna, Sofija natychmiast zwinęła nogi pod siebie. – *Ten pan zaczął przeklinać i nas wyzywać* – opowiada jedenastolatka. Dziewczynka mówi, że obydwie były przerażone, ale Sofija włączyła nagrywanie. Ta minuta filmu była chyba kroplą, która przelała czarę nienawiści.

Dziewczynka zwierza się, że większości słów mężczyzny już nie pamięta. Może i lepiej, bo więcej tam było bluzgów niż treści. – *Krzyczał, że żyjemy z podatków Polaków, że mamy wracać na Ukrainę oraz inne niemiłe rzeczy* – mówi jedenastolatka. Na filmie brzmi to tak. – *Gówniary wyrosły na naszych pieniądzach* – wykrzykuje mieszkaniec Bielska. Pasażerowie patrzą po sobie, ale nie reagują. – *To się skończy niedługo. Wypier*** tam, na swoją Ukrainę* – krzyczy i wyzywa dziewczynki od k***. Sofija próbuje reagować, tym bardziej że zachęcony brakiem reakcji innych mężczyzna zaczyna atakować również fizycznie. – *Czy może pan mnie nie dotykać?* – mówi Dasza cichym i nieśmiałym głosem.

Kiedy dochodzi do szarpaniny, wtrąca się jedna z pasażerek. Mówi po angielsku, co okazuje się zgubne. – *A ty co kur***, sama jesteś ukraińską kur***. Wypie*** z tego kraju!* – krzyczy do kobiety. W jednym ma rację, kobieta rzeczywiście jest Ukrainką, ale próbowała to jakoś nieudolnie zamaskować. Na nagraniu widać, że po tym, jak ją zwyzywano, kobieta odsuwa się i patrzy gdzieś przed siebie nieobecnym wzrokiem. W ostatniej chwili interweniuje kierowca autobusu. Wyprasza agresora. Autobus rusza dalej. Pasażerowie udają, że nic się nie stało.

Prawie dobrze

Dasza opowiada, że gdy wróciła do domu, o wszystkim powiedziała mamie i siostrze. Pokazała też film. Matka nie miała wątpliwości, że tak nie można tego zostawić. Poszły razem i sprawę zgłosiły na policję. Mama Daszy zgadza się na rozmowę córki. Sama mówi, że nie rozumie, dlaczego dorosły mężczyzna w tak obraźliwy i nieczuły sposób zwraca się do dzieci. – *Najbardziej boli, że moje dziecko słyszało obraźliwe słowa. Córka się wystraszyła, zwłaszcza gdy on próbował zabrać jej telefon. Gdyby ta kobieta nie zareagowała, to jak by się to skończyło?*

To, co było później, wie już cała Polska. W poniedziałek 13 lipca mieszkaniec Bielska został zatrzymany, a następnego dnia usłyszał zarzuty znieważenia trzech obywatelek Ukrainy, w tym naruszenia nietykalności cielesnej jednej z nich. Mężczyzna ma 54 lata i jak się okazuje pracował w bielskiej komunikacji miejskiej. Był kierowcą autobusu, ale od dłuższego czasu przebywał na zwolnieniu lekarskim. Jak ktoś w tej historii woził się na socjalu, to raczej on, bo jak zwrócono uwagę w komunikacie, od dłuższego już czasu nie świadczył pracy. Po incydencie nie będzie jej świadczył w ogóle. Dyrekcja MZK postanowiła w trybie natychmiastowym rozwiązać stosunek pracy. – *Nie ma i nie będzie naszej zgody na jakiekolwiek przejawy agresji, przemocy czy dyskryminacji. W związku z tym podjęliśmy decyzję o zakończeniu współpracy z tym pracownikiem* – czytamy w oświadczeniu MZK Bielsko-Biała opublikowanym w mediach społecznościowych.

Od zdarzenia minęło już parenaście dni. Dziewczynki wróciły do codziennych zajęć i spotkań z rówieśnikami. Jednak wspomnienie tamtego popołudnia wciąż nie daje o sobie zapomnieć. – *U mnie jest już prawie dobrze* – dodaje Dasza. Mówi, że dalej chce normalnie żyć, bawić się na podwórku, wygłupiać, robić zdjęcia i jeździć miejskimi autobusami. Przyznaje jednak, że cały czas czuje silny stres i wraca myślami do tamtej sytuacji. Internauci też wracają. W komentarzach pod filmem nie brakuje wpisów głupich, a nawet obraźliwych. Jest coś o prowokowaniu i ostentacyjnym zachowaniu młodych Ukraińców, tak jakby

© FACEBOOK

eprasa.pl 196cd999bb

było to typowe dla narodowości, a nie dla wieku. Pojawiły się także setki słów otuchy i współczucia. Wiele osób pisało również o wstydzie i zażenowaniu zachowaniem obrońcy polskiej ziemi.

Prokuratura zakwalifikowała sprawę z art. 257 Kodeksu karnego, który dotyczy publicznego znieważania osób ze względu na ich narodowość, pochodzenie etniczne, rasę lub wyznanie. Za zarzucane czyny grozi kara do trzech lat pozbawienia wolności. Karą jest już to, co 54-latek mógł przeczytać o sobie w internecie. Przy czym słowo „zje***" należało do tych mniej obraźliwych. W środowisku Ukraińców po cichu liczą, że wszystko to, co stało się w Bielsku-Białej, będzie jak kubeł zimnej wody na rozpalone głowy.

Wojna w nas

Ukraiński prawnik Michał Strelnikov napisał w mediach społecznościowych, że gdy jego trzynastoletnia córka obejrzała ten film, to przyznała się rodzicom, że doświadczyła w Polsce czegoś podobnego. „Nie mówiła o tym, by nas nie zasmucać" – mówił Strelnikov. To za jego sprawą film zyskał rozgłos w polskiej infosferze, wcześniej był udostępniany tylko na ukraińskim Telegramie. – *Kiedy zobaczyłem ten film, pomyślałem, że trzeba go pokazać. Chciałem zwrócić uwagę na to, do czego może prowadzić narastająca niechęć wobec Ukraińców* – mówi. Wiele podobnych historii nigdy nie trafia do internetu, mediów ani policyjnych statystyk. Zostają na ukraińskich forach, w autobusach, szkolnych korytarzach czy w pamięci tych, którzy ich doświadczyli.

Strelnikov zwraca uwagę, że wojna toczy się nie tylko na froncie. – *Rosja zdaje sobie sprawę, że powodzenie jej działań zależy nie tylko od siły militarnej, lecz także od wpływu na opinię publiczną i relacje społeczne w Europie* – mówi Strelnikov.

Dawid Dehnert, prawnik zajmujący się pomocą pokrzywdzonym Ukraińcom, zaoferował jednej z rodzin zaatakowanych dziewczynek wsparcie. Opowiada, że z tego, co obserwuje, agresja narasta już od 2023 r. – *Zwykle są to pobicia na tle narodowościowym, wśród nich są też pobicia dzieci i kobiet* – wylicza. Pytany o przyczyny takich zdarzeń wskazuje na atmosferę debaty publicznej. – *Już od dłuższego czasu obserwujemy, że część polityków wypowiada się negatywnie o obywatelach Ukrainy. Budują swój kapitał polityczny na strachu, podziałach i wskazywaniu winnych różnych problemów. Niestety, takie przekazy mają wpływ na społeczne nastroje* – mówi.

Jak dodaje, wraz z ambasadorem Ukrainy współtworzyli poradnik dla Ukraińców dotyczący reagowania na przestępstwa motywowane uprzedzeniami. – *Reagowanie w takich sytuacjach nie zawsze jest łatwe* – mówi socjolożka Myroslava Keryk, prezeska Zarządu Fundacji Nasz Wybór, koordynatorka projektów w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. – *Kiedy ktoś zachowuje się agresywnie, trudno przewidzieć, do czego jest zdolny, ale to nie oznacza, że powinniśmy być bezradni* – mówi. Jak podkreśla, istnieje wiele sposobów udzielenia wsparcia bez narażania własnego bezpieczeństwa. Można poinformować kierowcę, zadzwonić na policję, nagrywać przebieg zdarzenia albo po prostu usiąść obok osoby, która jest atakowana.

Socjolożka podkreśla, że nastroje antyukraińskie pojawiają się falami i zwykle są związane z konkretnymi wydarzeniami politycznymi lub medialnymi. Po tym, jak większość Polaków przejęła się trudną zimą w Kijowie, równie szybko nastąpił zwrot emocji z powodu prezydenta Zełenskiego, który nazwał jednostkę tytułem „bohaterów UPA". Problem polegał jednak nie tyle na samym sporze, ile na sposobie, w jaki został wykorzystany. – *Zamiast rozmawiać, część polityków zaczęła podsycać antyukraińskie nastroje* – mówi socjolożka. Jej zdaniem takie działania są korzystne również dla Rosji, która od lat stara się skłócać Polaków i Ukraińców. Pytanie, czy w tym morzu nienawiści Polacy surfują na ruskich falach, czy rzeczywiście zmienił się ich stosunek do kraju, który od lat wykrwawia się w wojnie z odwiecznym wrogiem Polski.

Tu jest Polska

Dasza mówi, że z mamą i siostrą całe swoje dzieciństwo spędziły w miejscowości Chmielnicki w zachodniej Ukrainie. Od wybuchu pełnoskalowej agresji na Ukrainę w 2022 r. nie odwiedzają już rodzinnego miasta. Babcia, dziadek i wujek zostali w Ukrainie. Dzielą ich setki kilometrów i wojna. Na co dzień pozostają im rozmowy przez telefon. Historia podobna do miliona innych, bo liczbę Ukraińców w Polsce ciągle jeszcze podaje się w milionach. Za to w miliardach liczony jest ich pozytywny wpływ na nasze finanse. Płacą nie tylko podatki, ale również składki do ZUS. Według Banku Gospodarstwa Krajowego Ukraińcy stanowią 5 proc. wszystkich pracujących w Polsce i zostawiają w naszym budżecie 15,21 mld zł. Najczęściej znajdują zatrudnienie w przemyśle, budownictwie, usługach oraz transporcie. Eksperci BGK zwracają też uwagę, że wpływ migracji z Ukrainy wykracza daleko poza uzupełnianie braków kadrowych. Z ich wyliczeń wynika, że w latach 2013–24 obecność ukraińskich pracowników przyczyniała się do wzrostu polskiego PKB od 0,5 do nawet 2,4 proc. rocznie.

Pomimo tego liczba ataków rośnie. Zmienia się również ich charakter. Coraz częściej dochodzi do rękoczynów, a nawet ciężkich pobić. Zoriana Varenia, ukraińska dziennikarka, która od dziewięciu lat mieszka w Polsce, sama nie rozumie, dlaczego tak się dzieje, ale sama tego doświadcza. Za pierwszym razem rozmawiała z mamą przez telefon. – *Mówiłam po ukraińsku. Wtedy starsza pani chwyciła mnie za rękę i powiedziała, że jestem ruską k*rwą* – opowiada. Drugi raz coś podobnego stało się w autobusie. – *Jechałam z przyjaciółką, rozmawiałyśmy po ukraińsku, miałyśmy bardzo smutną rozmowę o tym, jak zginął jej ojciec. Mężczyzna ok. 50 lat zaczął nas wyzywać i krzyczeć: W Polsce mówcie po polsku.*

Motywacje są różne, ale nienawiść, jak się okazuje, potrafi być demokratyczna. W styczniu grupa nastolatków z warszawskiej elitarnej szkoły wysyła obraźliwe nagrania swojej koleżance – Darii, córce siatkarza z Ukrainy, który ma polskie obywatelstwo. W lutym doszło do brutalnego ataku z maczetą na dwóch Ukraińców. W czerwcu we Wrocławiu sprzedawca z Ukrainy zwrócił uwagę 30-latkowi, żeby nie pił pod sklepem, bo to zakazane. Mężczyzna poszedł do domu, wrócił z wiatrówką i strzelił chłopakowi prosto w twarz. W lipcu gorąco było m.in. w Sosnowcu. Jak donosi policja, „44-letni mężczyzna podczas zakupów w sklepie najpierw znieważył mężczyznę o pochodzeniu ukraińskim, a następnie go popychał i kopał". Wcześniej dopuścił się przemocy wobec małoletniego, uderzając go w głowę. Kilka dni później zaatakował ponownie. W zakładzie fryzjerskim dla zwierząt „wulgarnymi gestami ubliżył dwóm kobietom, a ponadto naruszył ich nietykalność cielesną, psikając im w twarz gazem pieprzowym". Za tym urzędowym językiem polskiej policji kryje się ludzki strach i pytanie, dokąd zaprowadzi nas ta nienawiść. Wygląda na to, że wojna polsko-ukraińska już trwa i jest to wojna pod ruską flagą. ■

eprasa.pl 196cd999bb



Po spakowaniu plecaka ewakuacyjnego i wykonaniu zaleceń „Poradnika bezpieczeństwa” o przygotowaniu do ewentualnego konfliktu zbrojnego pora na rzecz najważniejszą: gdzie się ukryć? Właśnie weszła w życie ustawa schronowa, która obiecuje powstanie rozmaitych kryjówek.

Gra w chowanego

ADAM GRZESZAK

Robert Lewandowski jako piłkarz postanowił przenieść się do Chicago, ale jako biznesmen nie opuszcza Warszawy. Należąca do niego i do Danilo Djurovicia firma Monting Development buduje w stolicy apartamentowiec Chłodna 35. Deweloperzy w materiałach informacyjnych z dumą opowiadają, jak niezwykle luksusowy będzie to obiekt, podkreślając przy tym, że znajdzie się tam coś, czego inne luksusowe apartamentowce nie mają: „pierwszy w Polsce schron w ramach prywatnej inwestycji mieszkaniowej, zaprojektowany zgodnie z najwyższymi standardami i w konsultacji ze specjalistami”. Prezes Djurović tłumaczy, że „to architektura odpowiedzialności – stąd obecność prywatnego schronu, wpisanego w strukturę budynku jako wyraz troski o przyszłość mieszkańców”.

Od 1 stycznia 2026 r. obowiązuje ustawa o ochronie ludności i obronie cywilnej, zwana schronową. Wszystkie budynki wielorodzinne, dla których pozwolenie wydano po 1 stycznia, muszą być budowane z uwzględnieniem miejsc doraźnego schronienia (MDS), by w razie czego mieszkańcy mogli się chronić przed skutkami bombardowania, ostrzału, ataku dronów i innych zagrożeń.

MDS ma być zlokalizowane w podziemnej kondygnacji, piwnicy albo garażu, konstrukcja zaś musi wytrzymać obciążenie co najmniej 10 kN/m² (kiloniutonów na m kw.), a także skutki zawalenia się wyższych partii budynku. MDS to miejsce na krótkotrwałe przeczekanie zagrożenia. Musi się tam znaleźć przestrzeń dla co najmniej 15 osób, przy założeniu minimum 1,5 m kw. na osobę, z gwarancją dostępu do energii elektrycznej, oświetlenia awaryjnego oraz wentylacji, a także z bezpiecznymi drogami dotarcia i awaryjnego wyjścia poza obszar potencjalnego zagruzowania.

Wyższy poziom bezpieczeństwa zapewnić może ukrycie, czyli budowla ochronna wyposażona w filtry powietrza, choć niehermetyczna. Najwyższy poziom zapewni schron, który musi posiadać m.in. systemy filtrowentylacji, pochłaniacze, własne zasilanie, zabezpieczenia konstrukcyjne. Chroni przed falą uderzeniową, odłamkami, skażeniami chemicznymi i biologicznymi oraz promieniowaniem. Ukrycia i schrony dzielą się dodatkowo na trzy kategorie. I tak przykładowo ukrycie U-1 chroni przed odłamkami amunicji, w tym bomb, pocisków, granatów, i przed ostrzałem, ale nie przed promieniowaniem gamma, bo taką ochronę zapewni dopiero U-2. Z kolei U-3 dodatkowo chroni przed „maksymalnym

© PIOTR KAMIONKA/REPORTER, LEONHARD FOEGER/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 196cd999bb



Podziemny basen-schron w Helsinkach, przeznaczony dla 3,8 tys. osób. Obok: **ćwiczenia w Łodzi – ewakuacja pasażerów pociągu do schronu na terenie Dworca Fabrycznego.**

nadciśnieniem fali padającej". Podobna skomplikowana hierarchia obowiązuje w konstrukcjach schronów.

Spółka Roberta Lewandowskiego nie zdradza, jakiej kategorii schron zapewni klientom, ale biorąc pod uwagę cenę mieszkań (60–70 tys. zł/m kw.), to z pewnością najwyższy – taki, który pozwoli w komfortowych warunkach przeczekać jądrową apokalipsę. Jednak nawet najniższa kategoria jest wyjątkową inwestorską ekstrawagancją, bo budowy schronów w nowo powstałych budynkach mieszkalnych nowe przepisy nie wymagają. Wystarczą miejsca doraźnego schronienia, choć i z tym pojawił się problem.

Schron w dom

– Przepisy w zakresie projektowania, a w szczególności dotyczące pojemności miejsc doraźnego schronienia, były niejasne, więc deweloperzy odkładali składanie wniosków o pozwolenia na budowę. Nie było wiadomo, jak odpowiedzialnie projektować budynki wielorodzinne – wyjaśnia Zofia Derdziuk-Markiewicz, prawnik z Polskiego Związku Firm Deweloperskich. W efekcie pod wpływem buntu deweloperów ustawę schronową szybko znowelizowano, doprecyzowując wiele szczegółów. Nowelizacja weszła w życie w maju tego roku, dorzucając przy okazji dodatkowo „punkty schronienia" (PS), czyli miejsca zapewniające „podstawowy poziom zabezpieczenia przed użyciem konwencjonalnych środków rażenia" – jak wyjaśniono. To zwykłe, niewzmocnione piwnice, garaże, tunele, przejścia podziemne, na chwilowe przeczekanie, oby bezpieczne. W efekcie mamy teraz gąszcz rozmaitych obiektów ochronnych, niestety na razie w większości tylko na papierze.

Ukrycia i schrony mają powstawać w budynkach użyteczności publicznej, a w wielorodzinnych budynkach mieszkalnych tylko MDS-y, czyli miejsca doraźnego schronienia. To odbije się na cenie nowych mieszkań. Na początku na rynku pierwotnym, a także na późniejszych kosztach eksploatacji. Na razie branża deweloperska uspokaja, że metr kwadratowy nowego lokalu nie powinien z tego powodu zdrożeć więcej niż o kilkaset złotych. W skali mieszkania będzie to najwyżej kilka procent ceny lokalu.

– MDS zapewnia minimalną ochronę, która w sytuacji krytycznej może się okazać niewystarczająca. Ukrycie U-1 i U-2 chroni niewiele lepiej niż MDS, dlatego sens ma kategoria U-3, bo to ukrycie zdolne jest przenieść falę nadciśnienia. Jeśli doposaży się je w sprawdzoną technikę fińskiego schronu, czyli szczelne zamknięcia i filtrowentylację, otrzymujemy realną ochronę schronu przy formalnym statusie ukrycia. Taki obiekt jest budowlą ochronną, na którą inwestor może się starać o dofinansowanie, a dodatkowy koszt to 3–5 proc. wartości całej inwestycji, z czego znaczną część, nawet do 80 proc., można odzyskać w formie dotacji – przekonuje Piotr Jarosz, ekspert w dziedzinie budowli ochronnych, prezes spółki Holdfort SA, specjalizującej się w projektowaniu budowli ochronnych. Jest jednak pewien haczyk: warunkiem dofinansowania ukrycia jest, by inwestycja została włączona do oficjalnego systemu ochrony ludności.

Prezes Jarosz krytykuje też niekonsekwencje polskiego ustawodawcy, który poszalał z wymaganiami dotyczącymi schronów. *– To wymogi dużo wyższe niż w Finlandii* – wyjaśnia. Przykładowo odporność na promieniowanie w polskim schronie ma być aż 10 razy wyższa niż w ukryciu U-3, podczas gdy w Finlandii w ogóle nie jest wymagana. Drugi wymóg – odporność ogniowa: u nas cztery godziny, w Finlandii dwie. Spełnienie tego jednego wymogu pociąga za sobą lawinę kosztów związanych ze specjalną konstrukcją oraz wyższą klasą ogniową wszystkich elementów, ▶

eprasa.pl 196cd999bb

▶ od drzwi po zawory przeciwwybuchowe. Polskie prawo nie ogranicza przy tym liczby osób w schronie. Wymaga jedynie podziału większego obiektu na sekcje przeciwpożarowe, ale sekcji można zaprojektować dowolną liczbę, więc pojemność jest w praktyce nieograniczona. – *W Finlandii nikt nie wymaga w schronach rozbudowanych węzłów sanitarnych, wystarczą dużo prostsze i tańsze suche toalety. Przecież to nie mają być obiekty mieszkalne.*

Fińskie inspiracje

Finlandia to wzór i punkt odniesienia dla polskich polityków i rodzącej się branży schronowej. Ten nordycki kraj ma najdłuższą w UE granicę z Rosją (1340 km) i liczne powody, by obawiać się sąsiada. Dlatego od dawna przygotowuje się na kłopoty, w tym także budując schrony. Ma ich 55,5 tys., w większości w systemie dual-use, czyli są to w normalnych warunkach obiekty do rozmaitych zadań cywilnych, które łatwo mogą podjąć zadania ochronne.

„Odwiedziłem dziś rano najbezpieczniejszą salę zabaw na świecie. 20 metrów pod ziemią (właściwie pod skałą), zaraz obok jest kilka siłowni, boiska i podziemny parking. W czasie zagrożenia w ciągu 72 godzin wszystkie te użyteczności znikają, przedsiębiorcy muszą wywieźć sprzęt, a to miejsce zmienia się w schron dla 6 tys. ludzi, mieszkańców pobliskiego osiedla. Ten schron zaprojektowano tak, że wytrzyma atak nuklearny, konwencjonalny, chemiczny. W Helsinkach, liczących ponad 600 tys. mieszkańców, miejsce w schronach jest dla ponad 900 tys. W całej Finlandii, liczącej 5,3 mln ludności, miejsce w schronach jest dla 4,3 mln, założenia są takie, że reszta będzie aktywnie bronić kraju" – relacjonował z entuzjazmem na platformie X swoją wizytę w Finlandii marszałek Sejmu Szymon Hołownia.

Polska czerpie inspiracje od Skandynawów i chce budować podobne obiekty. Na Program Ochrony Ludności i Obrony Cywilnej z budżetu ma w tym roku zostać wydanych 17,2 mld zł, głównie na budowę schronów. – *Jako branża budowlana jesteśmy na to przygotowani. MDS-y może budować każda firma budowlana. Gorzej ze schronami cywilnymi i wojskowymi bunkrami. Tu mamy w Polsce dwie–trzy specjalistyczne firmy budowlane* – wyjaśnia Jan Styliński, prezes Polskiego Związku Pracodawców Budownictwa (PZPB). Trwa więc szybkie dokształcanie inżynierów i projektantów.

W edukację zaangażowała się Wojskowa Akademia Techniczna, uruchomiła studia podyplomowe dotyczące schronów i ukryć. – *Eksperci z Centrum Budownictwa Ochronnego Wydziału Inżynierii Lądowej i Geodezji Wojskowej uczestniczą w pracach projektowych związanych z budownictwem ochronnym, w tym m.in. obiektów szkolnych na warszawskiej Białołęce oraz Wilanowie, ukrycia wbudowanego w kompleks Straży Pożarnej i Obrony Cywilnej, a także miejsca doraźnego schronienia w nowo budowanym teatrze w Warszawie* – wylicza Ewa Gmach, rzeczniczka prasowa WAT.

W gąszczu pojęć

„Obserwujemy rosnące zainteresowanie tematyką bezpieczeństwa wśród naszych najemców. Kwestie związane z odpornością budynków i ochroną użytkowników coraz częściej stają się elementem rozmów dotyczących jakości i funkcjonalności nowoczesnych powierzchni biurowych. W przypadku nowych projektów biurowych Skanska wszystkie inwestycje są przygotowywane zgodnie z obowiązującymi przepisami, w tym z wymogami wynikającymi z tzw. ustawy schronowej" – wyjaśnia biuro prasowe Skanska. W Poznaniu Skanska buduje biurowiec Nowy Rynek C. „Najbezpieczniejszy biurowiec w Polsce? Będzie niczym schron" – entuzjazmuje się serwis propertydesign.pl. I podkreśla, że jako pierwszy budynek biurowy w Polsce otrzymał certyfikat potwierdzający spełnienie wymagań budowli ochronnej ukrycia kat. 1.

„Ocena techniczna została przeprowadzona przez ekspertów Centrum Budownictwa Ochronnego, działającego w strukturach Wydziału Inżynierii Lądowej i Geodezji WAT" – wyjaśniło biuro prasowe Skanska. – *Certyfikat uzyskany przez firmę Skanska stanowi oficjalne potwierdzenie pozytywnego wyniku oceny eksperckiej. Obecnie Centrum Budownictwa Ochronnego Wydziału Inżynierii Lądowej i Geodezji WAT aktywnie uczestniczy w projektowaniu oraz realizacji Obiektów Zbiorowej Ochrony (OZO). W ramach tych działań specjaliści wydziału sporządzają ekspertyzy techniczne weryfikujące, czy projekt danego obiektu spełnia wszystkie wymagania obowiązujących przepisów* – tłumaczy Ewa Gmach, rzeczniczka WAT.

Zagadka: czy w Poznaniu powstaje schron, „budowla ochronna ukrycia kategorii 1", czy obiekt zbiorowej ochrony? Można się pogubić w tym gąszczu pojęć. I o co chodzi z tym certyfikatem? Przedstawiciele Skanska chwalą się, że ochronne funkcje poznańskiego biurowca to efekt dwóch lat prac i przygotowań prowadzonych jeszcze przed wejściem w życie ustawy schronowej. – *Polskie prawo w ogóle nie wymaga certyfikacji budowli ochronnej. Jeśli inwestor chce, żeby jego obiekt miał taki status, wystarczy, że za pośrednictwem gminy zgłosi go do centralnej ewidencji, gdzie po weryfikacji przez straż pożarną i nadzór budowlany zostaje wpisany. Żaden prywatny certyfikat nie zastępuje tego wpisu ani nie nadaje statusu prawnego. Może najwyżej pełnić funkcję marketingową* – twierdzi prezes Jarosz z firmy Holdfort.

Schronościema

„Szanowni Państwo, w związku z rosnącym zainteresowaniem inwestorów oraz użytkowników końcowych rozwiązaniami z zakresu ochrony ludności i bezpieczeństwa obiektów chciałbym zaproponować Państwu przeprowadzenie niezależnej certyfikacji budowanych przez Państwo budowli ochronnych". – *To przykład oferty, jaką otrzymują biura projektowe i deweloperzy, propozycja odpłatnej certyfikacji odporności budowli na całą listę zagrożeń, łącznie z bronią biologiczną i promieniowaniem* – wyjaśnia Jarosz. Oferta kończy się stwierdzeniem, że choć certyfikacja nie jest prawnie wymagana, to taki odpłatny certyfikat może stanowić istotny atut rynkowy. – *Deweloperzy reklamują podziemia nowych budynków jako bezpieczne schronienie, w rozmowach pada słowo schron, na ścianie wisi certyfikat, a jest to najczęściej zwykła piwnica z nieco mocniejszym stropem. Powstaje osobny biznes – sprzedaż certyfikatów dających poczucie bezpieczeństwa*. Zdaniem prezesa Holdfort to safetywashing. Nazwa nawiązuje do greenwashingu, czyli tzw. ekościemy, kiedy firma tworzy wrażenie, że jest ekologiczna i troszczy się o środowisko, choć jej działania temu przeczą.

– *Należy zachować ostrożność, aby działania o charakterze komercyjnym nie prowadziły do tworzenia mylnego przekazu, że sam prywatny certyfikat lub opinia potwierdzają spełnienie wymagań określonych w przepisach* – przekonuje Zofia Derdziuk-Markiewicz z Polskiego Związku Firm Deweloperskich. Przypomina też, że trzeba patrzeć na napisy. Budowle ochronne muszą być oznaczone międzynarodowym znakiem rozpoznawczym obrony cywilnej oraz napisem: „Schron", „Ukrycie" lub „Miejsce doraźnego schronienia". I nie pojawią się tak szybko. Branża deweloperska ocenia, że najwcześniej za dwa lata. Na razie w istniejących schronach i ukryciach jest miejsce dla 4 proc. mieszkańców kraju.

ADAM GRZESZAK

eprasa.pl 196cd999bb



Wakacje z kaucją

Na urlopie opakowania po napojach trudno oddać, chociaż niektórzy próbują. A przed nami bitwa o rozszerzenie systemu kaucyjnego i jednorazowe butelki szklane.

CEZARY KOWANDA

Początek lipca, Jantar. Niewielka nadmorska miejscowość między Gdańskiem a Stegną. Tłumów nie ma, ale turystów nie brakuje, bo woda po rekordowych późnoczerwcowych upałach bardzo ciepła, a nikt jeszcze nie spodziewa się załamania pogody, które skończy się sztormem. W koszach mnóstwo plastikowych butelek i puszek po napojach – najczęściej już z logo systemu kaucyjnego. Większość je wyrzuca, ale są też tacy, którzy zbierają. Niektórzy wręcz zawodowo, o czym świadczy ich ekwipunek. Tylko gdzie oddać puste opakowania? Najbliższe dyskonty znajdują się w oddalonej o 5 km Stegnie. W centrum Jantara jest Żabka, a w niej nawet automat do zbiórki. W zasadzie półautomat, bo nie zgniata opakowań i nie weryfikuje, co klient naprawdę wrzuca po zeskanowaniu kodu kreskowego.

Niestety, żabkowy wynalazek częściej nie działa, niż działa. Sprzedawca tłumaczy, że jest awaria, a na naprawę trzeba poczekać kilka dni. Sam pustych opakowań kaucyjnych nie chce przyjąć. Zgodnie z prawem nie musi, bo Żabka ma mniej niż 200 m kw. powierzchni. Zdecydowanie mniej. Pracownik radzi pójść do pobliskiego Lewiatana. Tam żadnego automatu nie ma, ale sprzedawcy okazują się bardzo mili. Bez słowa sprzeciwu przyjmują butelki i puszki, oddając kaucję w gotówce. Sprawdzają tylko, czy opakowania nie są choćby lekko zgniecione. Butelkomat takie przyjmie, ale pracownikowi już nie wolno. Bo nasz system kaucyjny zakłada, że automat działa uczciwie, lecz sprzedawca niekoniecznie, więc po nim ▶

© SHUTTERSTOCK AI/LEL

eprasa.pl 196cd999bb

▶ trzeba wszystko dokładnie sprawdzić w jednym z centrów liczenia opakowań.

W oddalonej o 30 km Krynicy Morskiej scenariusz ten sam – większość turystów na wakacjach kaucją się nie przejmuje i wyrzuca wszystko do koszy. Ale i tu nie brakuje zbierających. Ich sytuacja jest jednak lepsza, bo w centrum kurortu stoi POLOmarket, a przy nim duży automat do zbierania butelek i puszek. Wrzucających sporo, ale to niejedyny butelkomat w okolicy. W taki sprzęt zainwestował także pobliski sklep niezależny o swojskiej nazwie Delikatesy u Sita – mały, ale dobrze zaopatrzony. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że automat może być wabikiem na klienta.

System kaucyjny wciąż wzbudza emocje, ale równocześnie staje się codziennością. Ministerstwo Klimatu i Środowiska informuje, że liczba oddawanych opakowań systematycznie rośnie. Od początku roku do końca czerwca konsumenci zwrócili 2,3 mld butelek i puszek, z tego 700 mln w samym czerwcu. Wakacyjne miesiące powinny przynieść jeszcze lepsze wyniki, bo to właśnie w tym czasie sprzedaje się najwięcej napojów.

Łączna liczba punktów zbiórki doszła do 64 tys. Mamy już 14 tys. butelkomatów (to do nich trafia aż 87 proc. zwracanych opakowań), chociaż to wciąż zbyt mało. Maszyny pojawiają się wreszcie poza sklepami, np. przy niektórych plażach (w Mielnie, Gąskach czy Sarbinowie), a także na osiedlach (pionierem jest Warszawska Spółdzielnia Mieszkaniowa). Jednak w większości popularnych dyskontów stoi tylko jeden automat, a widać, że powinny być przynajmniej dwa, aby nie tworzyły się kolejki. Na półkach sklepowych nie ma już prawie butelek plastikowych i puszek bez logo systemu kaucyjnego, bo sklepy wyprzedały takie produkty. Dobiega zatem końca faza przejściowa, która irytowała wiele osób. Trzeba było za każdym razem sprawdzać, czy to już opakowanie warte 50 gr, czy można jeszcze wyrzucić je bez żadnej straty do ulicznego kosza lub żółtego pojemnika.

Media chętnie donoszą o próbach oszustw (w sieci można kupić np. fałszywe etykiety mające rzekomo umożliwiać zwrot kaucji za butelki nią nieobjęte), ale operatorzy przekonują, że nie ma prób wyłudzeń na dużą skalę. Nie znaczy to jednak wcale, że największe emocje związane z systemem kaucyjnym za nami. Nadchodzi bowiem bitwa o szkło, które budzi najwięcej kontrowersji, a jednocześnie najbardziej dezorientuje klientów. Bo dziś funkcjonują butelki szklane zwrotne i bezzwrotne, trudne do odróżnienia na pierwszy rzut oka. Te pierwsze, głównie po piwie, mają własne systemy zbiórki, działające od wielu lat. Kaucja dla takich butelek wynosi złotówkę, a oddać można je tylko w sklepach, które sprzedają tego typu produkty. Butelki zwrotne wracają do producentów i są ponownie napełniane. Średnio każda wykorzystywana jest podczas swojego życia kilkanaście razy. Może i dłużej, jeśli trafi na więcej ostrożnych konsumentów, którzy jej nie uszkodzą.

Z drugiej strony mamy butelki szklane bezzwrotne, a w nich również piwo, ale też często soki i słodzone napoje. Takie opakowania nie należą do żadnego systemu kaucyjnego. Po opróżnieniu stają się odpadem, który może zostać użyty do produkcji nowego szkła. Tego typu butelek sklepy nie zbierają. Należy je wyrzucać na dotychczasowych zasadach – najlepiej do zielonych pojemników lub worków przeznaczonych na szkło.

Różne zasady dotyczące kaucji prowadzą do absurdów. Piwo w puszce to kaucja 50 gr, to samo piwo w butelce zwrotnej jest objęte kaucją w wysokości złotówki, ale już piwo w butelce szklanej bezzwrotnej z kaucji zostało zwolnione. Podobne różnice dotyczą innych napojów. Soki w butelkach plastikowych mają kaucję (50 gr), ale te same soki w butelkach szklanych bezzwrotnych już nie. Kartonowych opakowań kaucja też nie dotyczy.

Niektóre sklepy wykorzystują niejednolite przepisy. Na przykład największa sieć drogerii Rossmann (ponad 2 tys. punktów w Polsce) nie chciała służyć jako punkt zbiórki opakowań. Pozbyła się zatem napojów w plastiku i zamieniła je na te same napoje w szkle lub w kartonie. – *Z punktu widzenia klienta produkt w butelce szklanej bezzwrotnej staje się atrakcyjniejszy niż w butelce plastikowej czy puszce, bo nie jest doliczana kaucja. Nie trzeba się zatem martwić oddawaniem takiej butelki. Prowadzi to do sytuacji, w której producenci mogą chętniej wykorzystywać szkło, ale równocześnie, aby oszczędzić, zamawiać butelki coraz cieńsze. Te zaś łatwiej się tłuką* – podkreśla Sławomir Pacek, prezes Stowarzyszenia Polski Recykling.

Pierwsze miesiące działania systemu kaucyjnego pokazują, że butelek plastikowych i puszek zaśmiecających ulice czy lasy jest rzeczywiście mniej. Potwierdzają to organizatorzy ogólnopolskiej akcji sprzątania Czysta Odra, którzy podkreślają, że dziś największe źródło zanieczyszczenia środowiska to jednorazowe butelki szklane. Czysta Odra pyta nawet prowokacyjnie w swoich postach na Facebooku: Czy szkło to nowy plastik? Prawdziwą zmorą okazują się tzw. małpki, wyrzucane często zaraz po opróżnieniu. Ich miłośnicy nie zawsze są w stanie trafić do kosza. Tymczasem małych porcji alkoholu sprzedaje się w Polsce według różnych danych między 500 a 700 mln rocznie. Czyli niemal 2 mln dziennie.

Ministerstwo Klimatu i Środowiska zapowiada, że szkło jednorazowe musi trafić do systemu kaucyjnego. Na razie jednak nie wiadomo, kiedy i na jakich warunkach. Decyzje mają zostać podjęte jesienią. Wariant minimum to objęcie kaucją wyłącznie małpek, chociaż takie rozwiązanie oznaczałoby pewnie jeszcze większą dezorientację wśród klientów. Wariant maksimum zakłada rozszerzenie systemu kaucyjnego na wszystkie butelki szklane jednorazowe z tymi napojami, które są już objęte kaucją w plastiku i puszce.

Ale w jaki sposób zbierać jednorazowe szkło? Większość działających u nas butelkomatów przyjmuje tylko butelki plastikowe i puszki. Takie właśnie maszyny kupiły lub wyleasingowały sklepy, chociaż producenci urządzeń zapewniają, że mogą one także zbierać szkło. Muszą to jednak robić inaczej niż w przypadku plastiku i metalu, aby butelki się nie potłukły. Nie można ich przecież zgniatać, tak jak się to dzieje z obecnie oddawanymi opakowaniami. Jedna możliwość to przebudowa działających butelkomatów bądź zmiana ich konfiguracji.

Tyle że wiele maszyn już jest mocno obciążonych. – *Każda dodatkowa frakcja zajmuje przestrzeń, która dotychczas była przeznaczona na puszki lub butelki PET, co oznacza konieczność częstszego opróżniania urządzeń i może prowadzić do wydłużenia czasu obsługi oraz tworzenia się kolejek. Dlatego w wielu krajach sprawdzonym rozwiązaniem jest instalowanie dodatkowych automatów przeznaczonych wyłącznie do zbiórki szkła* – wyjaśnia Rafał Staniszewski, menedżer ds. rozwoju biznesu w Envipco Polska, jednym z dostawców butelkomatów.

eprasa.pl 196cd999bb



Różne zasady dotyczące kaucji to przede wszystkim efekt lobbingu sklepów. Od początku walczyły one, żeby jednorazowe butelki szklane nie zostały objęte zbiórką, tłumacząc się brakiem miejsca i ryzykiem zranienia pracowników, a nawet klientów. Handlowcy z pewnością łatwo nie ustąpią, bo dla nich zbiórka szkła to nowe wydatki na kolejne maszyny i jeszcze większe obciążenie pracowników, których w sklepach przecież i tak jest za mało.

Handel ma wieloletnie doświadczenie w obsłudze butelek szklanych zwrotnych, ale przekonuje, że to zupełnie inna sytuacja. – *Nie można utożsamiać planowanej zbiórki jednorazowych butelek szklanych z funkcjonującym od wielu lat systemem butelek zwrotnych. Są to dwa zupełnie odmienne modele logistyczne. Butelki wielokrotnego użytku mają określone standardy producentów, wracają do ponownego użycia i funkcjonują w zamkniętych łańcuchach dostaw. Jednorazowe butelki szklane występują natomiast w ogromnej liczbie kształtów, pojemności i producentów, a ich przeznaczeniem jest recykling szkła, a nie ponowne wykorzystanie* – tłumaczy Karol Tyszka z Polskiej Organizacji Handlu i Dystrybucji.

System kaucyjny stworzono w Polsce głównie z powodu marnej zbiórki butelek plastikowych, spośród których do recyklingu trafiało dotąd tylko ok. 40–50 proc. W przypadku szkła sytuacja jest lepsza. Jak pokazują dane platformy Close the Glass Loop, w Polsce zbiera się ok. 70 proc. wprowadzanych na rynek opakowań szklanych. To wynik niezły, choć gorszy od średniej unijnej (ponad 82 proc.) i od rezultatów osiąganych u naszych sąsiadów. W Niemczech czy Czechach do recyklingu trafia aż 86 proc. szkła. – *Uważam, że warto włączyć szkło jednorazowe do naszego systemu kaucyjnego. To powinno poprawić wyniki jego zbiórki, zwłaszcza w przypadku małpek. Pamiętajmy, że butelka rozbita w przestrzeni publicznej oznacza, że surowiec, z którego została wyprodukowana, jest już bezpowrotnie stracony. Tymczasem szkło świetnie nadaje się do ponownego przetworzenia, można to robić praktycznie bez końca* – mówi Sławomir Pacek ze Stowarzyszenia Polski Recykling.

Jak wynika z badań dla Krajowego Systemu Kaucyjnego Zwrotka, tylko 36 proc. ankietowanych chce rozszerzenia kaucji na kolejne opakowania.

Rozszerzenie systemu kaucyjnego budzi jednak wątpliwości w gminach, które straciły już butelki PET i puszki. – *Przynosiły one aż połowę wszystkich przychodów ze sprzedaży zebranych surowców. Wartość szkła jest znacznie niższa niż PET czy aluminium, to ok. 150–200 zł za tonę. Jednak masa zbieranego szkła jest duża, więc wyjęcie go z gminnych systemów oznacza kolejną utratę przychodów. A koszty się praktycznie nie zmienią, bo przecież wciąż trzeba będzie odbierać zielone worki z podobną częstotliwością jak teraz. Powtórzy się zatem scenariusz z butelkami plastikowymi i puszkami, co doprowadzi do kolejnego wzrostu opłat pobieranych od mieszkańców. Pamiętajmy, że system kaucyjny to zdecydowanie najdroższy system zbierania odpadów* – podkreśla Piotr Szewczyk, przewodniczący Rady Regionalnych Instalacji Przetwarzania Odpadów Komunalnych. Sama Warszawa szacuje, że z powodu systemu kaucyjnego jej system odpadowy traci 20 mln zł rocznie. Dodanie do niego szkła ten bilans jeszcze by pogorszyło.

Konsumenci, rozczarowani problemami na starcie systemu kaucyjnego, nie są na razie jednomyślni co do pomysłów jego rozbudowy. Jak wynika z badań dla Krajowego Systemu Kaucyjnego Zwrotka, tylko 36 proc. ankietowanych chce rozszerzenia kaucji na kolejne opakowania. W tej grupie 80 proc. wskazuje właśnie na szklane butelki jednorazowe, a 65 proc. na opakowania po napojach mlecznych i jogurtach. Co ciekawe, one miały zostać objęte kaucją w pierwotnej wersji ustawy przygotowanej za czasów PiS, którego politycy teraz tak chętnie krytykują system, mimo że sami go wymyślili. Na razie butelki plastikowe po mleku i jego przetworach na pewno do recyklomatów nie trafią, bo sklepy skutecznie wystraszyły polityków wizją epidemii, zwłaszcza w okresie letnim.

Jednak uporządkowanie sytuacji z butelkami szklanymi wydaje się potrzebne. Po pierwsze, aby ujednolicić zasady i wprowadzić jasne reguły dla klientów. Po drugie, żeby rozwiązać problem małpek zaśmiecających nasze ulice. I po trzecie, by nie doprowadzić do sytuacji, w której coraz więcej producentów będzie zamieniać plastik na szkło, uciekając w ten sposób od systemu kaucyjnego. Jego budowa pochłonęła już przynajmniej kilka miliardów złotych. Teraz trzeba zatem zrobić wszystko, aby efekt wydania tych pieniędzy okazał się jak najlepszy. Nie tylko na wakacjach widać, że do tego celu jeszcze długa droga.

CEZARY KOWANDA

© ARTUR SZCZEPAŃSKI/REPORTER

eprasa.pl 196cd999bb



The Oval Office

Gabinet Jowialny

Nocne telefony, wyścigi pochlebców, niekończące się spotkania i strumienie świadomości w blasku złotego kiczu... Biały Dom Donalda Trumpa działa tak jak jego gospodarz.

MARIUSZ ZAWADZKI

Dziennik „New York Times" wypisuje ostatnio, że Donald Trump rzekomo się starzeje i czasami nawet przysypia przed kamerami. Co może nawet być prawdą. Ale z drugiej strony: jak 80-letni prezydent ma nie drzemać w ciągu dnia, jeśli sypia cztery do pięciu godzin w nocy?

Jego krótki sen jest legendarny. Sekretarz stanu Marco Rubio mówił dziennikarzom: „Nigdy nie widziałem, żeby spał. Moim zdaniem on w ogóle nie śpi. Co jest trochę problematyczne, bo dzwoni do mnie o drugiej w nocy albo o piątej rano, a ja lubię sobie pospać". Szefowa gabinetu Białego Domu Susie Wiles wyjaśnia, że razem ze swoim zastępcą Danem Scavino mają dyżury – ona odbiera telefony Trumpa rano, bo wcześnie się kładzie i wcześnie wstaje, a Dan, który jest nocnym markiem, odbiera późne telefony. Lekarz Białego Domu Ronny Jackson wyjaśnia, że Trump należy do nielicznej grupy ludzi, którzy genetycznie prawie nie potrzebują snu do normalnego funkcjonowania.

Co do stanu zdrowia prezydenta, to trzeba podziwiać, że ten człowiek jeszcze w ogóle żyje. Codziennie wypija kilkanaście puszek Diet Coke – razem ponad 500 mg kofeiny. Jego przyjaciel Dana White, szef amerykańskich zapasów, zarzeka się: „Nigdy nie widziałem, żeby pił wodę. Nigdy!". Kiedy Trump jest w dobrym humorze, oferuje swoim gościom w Gabinecie Owalnym „moją truciznę", czyli właśnie puszkę Diet Coke.

Żywi się najczęściej zestawami dowożonymi z McDonalda – jego typowa kolacja to dwa hamburgery Big Mac, kanapka Filet-o-Fish, duże frytki i shake czekoladowy. Razem 2860 kalorii, czyli całodzienna dawka żywieniowa dla dorosłego mężczyzny.

© WIN MCNAMEE/GETTY IMAGES, CHIP SOMODEVILLA/GETTY IMAGES

eprasa.pl 196cd999bb

Trump nie tylko lubi McDonalda, ale też uważa, że dzięki niemu zabezpiecza się przed otruciem. No bo przecież każda restauracja wydaje codziennie tysiące zestawów i nie wiadomo, który jest konkretnie dla prezydenta.

Trump nie ćwiczy, nie uprawia żadnych sportów poza golfem, ale na polu golfowym zawsze jeździ meleksem, więc specjalnie się tam nie zmacha. Wszelką aktywność fizyczną uważa za błąd, bo – jak wyjaśnia dziennikarzom – człowiek jest jak jednorazowa bateria, tzn. rodzi się ze skończoną ilością energii. Nie ma sensu jej wyczerpywać na jogging, rower czy tym podobne daremne aktywności.

Dziękuję za uwagę!

Prezydent budzi się około szóstej rano, ale pierwsze oficjalne spotkania ma dopiero koło jedenastej. Przez pięć godzin po przebudzeniu ogląda telewizje śniadaniowe, wrzuca posty na media społecznościowe albo dzwoni do podwładnych czy kongresmenów. Ma w sypialni dwa telewizory, żeby móc oglądać z łóżka dwie stacje jednocześnie, oraz trzeci telewizor w łazience, żeby nie przerywać oglądania podczas porannej toalety czy prysznica.

Za pierwszej kadencji (w latach 2017–21) tweetował nawet o trzeciej nad ranem, ale teraz to już rzadkość. Wpisy pojawiają się o normalnych porach, co nie oznacza, że stały się bardziej stonowane. Swój najsłynniejszy komunikat dla Iranu wrzucił na media społecznościowe o ósmej rano w Niedzielę Wielkanocną: „Otwórzcie tę pieprzoną cieśninę, wy ześwirowani gnoje, albo zrobimy wam prawdziwe piekło. Zobaczycie! Chwała Allahowi! Prezydent Donald J Trump". Z kolei świętokradczy obrazek wygenerowany przez sztuczną inteligencję, na którym Jezus uzdrowiciel ma twarz Trumpa, a ręce trzyma na głowie rannego żołnierza, prezydent zamieścił o dziesiątej wieczorem.



Złota podstawka pod kawę z Gabinetu Owalnego

Geneza niektórych wpisów bywa trudna do rozszyfrowania, ale tropy najczęściej prowadzą do telewizji. 7 kwietnia Trump ni stąd, ni zowąd napisał: „Szef Intela musi podać się do dymisji. Natychmiast. To jedyne rozwiązanie problemu. Dziękuję za uwagę! Prezydent DJT". W koncernie produkującym procesory wpis wywołał konsternację i alarm, jak zresztą w całej Dolinie Krzemowej. Akcje Intela spadły o 3 proc. Nigdy dotąd amerykańscy prezydenci nie zwalniali publicznie prezesów prywatnych firm. Szybko jednak ustalono przyczynę tego wpisu – tamtego ranka Trump musiał oglądać w telewizji Fox News raport biznesowy, w którym sugerowano, że Lip-Bu Tan, szef Intela od kilku miesięcy, może mieć podejrzane związki z Chinami. To wystarczyło, żeby dziesięć minut po programie prezydent zażądał jego dymisji.

Prezes Tan wystarał się o audiencję u Trumpa i już cztery dni później siedział w Gabinecie Owalnym. Powiedział prezydentowi, że co prawda ma chińskie korzenie, ale urodził się w Malezji, dorastał w Singapurze, a studiował na MIT i od czasu uzyskania obywatelstwa jest amerykańskim patriotą, a nie chińskim szpiegiem. Trump dopytywał, dlaczego Intel został w tyle za NVIDIA, która produkuje swoje procesory na Tajwanie, i ile czasu zajmie Intelowi odzyskanie dawnej pozycji. Prezes obiecał, że dwa lata. „OK, pomogę ci, ale Intel musi oddać 10 proc. udziałów rządowi USA" – stwierdził Trump. Tan skwapliwie się zgodził, w zamian firma dostała od rządu 9 mld dol. w gotówce. Od razu, bez żadnych ceregieli, biznesowych planów czy debat. Potem Trump mówił współpracownikom: „Oj, powinienem był zażądać więcej, zbyt łatwo to poszło...".

Zgadzam się we wszystkim

O jedenastej przed południem Trump wysłuchuje codziennego raportu o stanie kraju i świata, który przygotowują służby wywiadowcze. Zawsze towarzyszą mu wiceprezydent J.D. Vance i szefowa gabinetu Susie Wiles, a czasami również Rubio. Ten ostatni i tak otrzymywałby raport na swoje biurko w Departamencie Stanu, ale w swoim gabinecie przebywa rzadko. Nawet przepraszał podwładnych, że się z nimi regularnie nie spotyka. No, ale jeśli ktoś chce mieć wpływ na decyzje Trumpa, często podejmowane impulsywnie, instynktownie i po krótkiej rozmowie z ludźmi, którzy akurat są razem z prezydentem, to trzeba być w Gabinecie Owalnym.

Po raporcie wywiadowczym zaczyna się seria spotkań prezydenta z jego ludźmi i gośćmi z zewnątrz, która trwa do wieczora. Najczęściej uczestniczą w nich – oprócz Wiles, Vance'a i Rubio – również Steve Witkoff, czyli stary przyjaciel jeszcze z czasów deweloperskich w Nowym Jorku, który obecnie jest jego specjalnym wysłannikiem na Bliski Wschód, Rosję i Ukrainę; sekretarz ds. handlu Howard Lutnick, również nowojorski kolega Trumpa, sekretarz skarbu Scott Bessent oraz Stephen Miller, najważniejszy doradca, który nadzoruje m.in. program deportacji nielegalnych imigrantów. Oni stanowią drużynę prezydenta, która dopuszczana jest do wszystkich tajemnic i ma głos doradczy w najważniejszych sprawach.

Wszyscy są zręcznymi pochlebcami, ale najgorliwszy jest Rubio. Zgadza się z Trumpem we wszystkim, np. całkowicie porzucił swoje dawne antyrosyjskie stanowisko w sprawie Ukrainy. Jako dziecko imigrantów z Kuby mówi po hiszpańsku, dlatego stał się egzekutorem planów Trumpa w Ameryce Łacińskiej. Jego żarty z pozycji wiernego wasala bardzo się prezydentowi podobają. A przecież w prawyborach Republikanów w 2016 r. byli rywalami i kłócili się jak chłopcy z liceum, m.in. Rubio mówił, że Trump ma małe ręce, co „zwykle oznacza, że coś innego też ma małe".

Teraz Trump polubił Rubio do tego stopnia, że głośno się zastanawia, czy nie poprzeć go w wyborach prezydenckich 2028 r. zamiast naturalnego następcy – wiceprezydenta Vance'a. Rozważa to w ich obecności, dla zabawy, żeby oglądać ich reakcje. Na kolacji w Białym Domu wypytywał o obu Ruperta Murdocha, magnata medialnego, właściciela Fox News i dziennika „Wall Street Journal". 94-letni Murdoch odparł, że „J.D. ma potencjał, żeby być super", ale „Rubio już jest fantastyczny".

Vance jest w drużynie prezydenta najodważniejszy, czasami wygłosi własne zdanie. Na przykład kiedy Trump skłaniał się, żeby razem z Izraelem zaatakować Iran, Vance delikatnie próbował go powstrzymać: „Jeśli celem jest szybkie zniszczenie programu atomowego, jestem za. Jeśli celem jest obalenie reżimu ajatollahów, tak jak chcieliby Izraelczycy, to uważam, że popełnimy duży błąd". Miller jako jedyny w prezydenckiej drużynie pracował dla Trumpa za pierwszej kadencji. Prezydent lubi ten ▶

eprasa.pl 196cd999bb

▶ prowokacyjny, konfrontacyjny styl, ale czasami żartuje z jego radykalizmu: „Gdyby to zależało od Stephena, to po deportacjach zostałoby w Ameryce tylko 100 mln ludzi (z ok. 345 mln – przyp. red.), a wszyscy wyglądaliby jak Stephen".

Kiedyś byłeś twardy

Co kilka tygodni Trump organizuje transmitowane przez telewizję posiedzenia gabinetu, które są kuriozalną licytacją pochlebców. Na jednym z nich Witkoff mówił: „Uważam, że nie jest pan wystarczająco doceniany na świecie. Życzę sobie tylko jednego: żeby Komitet Noblowski w końcu wziął się w garść i zdał sobie sprawę, że jest pan absolutnie najlepszym kandydatem, jaki kiedykolwiek istniał, do Pokojowej Nagrody Nobla!". A Bessent dodał: „Niesamowita odporność naszej gospodarki mówi sama za siebie, nawet podczas konfliktu z Iranem, dobitnie świadczy o sile pana przywództwa".

Bessent, który dorobił się na Wall Street, poparł Trumpa już w 2016 r., kiedy kandydował po raz pierwszy. Wtedy niemal cała nowojorska finansjera robiła sobie z Trumpa żarty i uważała go za błazna. Kiedy Trump kompletował gabinet na drugą kadencję, Bessent zaimponował mu prezencją – nazywał go „przystojnym" i „dystyngowanym", bo ubiera się w eleganckie, szyte na miarę garnitury i ma maniery angielskiego lorda.

W końcu Bessent został sekretarzem skarbu, choć jest gejem, a na dodatek był kiedyś doradcą miliardera George'a Sorosa, słynnego filantropa, który popiera różne liberalne inicjatywy i jest przez Republikanów uważany za zło wcielone. Bessent chyba autentycznie podziwia Trumpa, mówił: „Prezydent i George (Soros – przyp. red.) są podobni, ale George jest drapieżnikiem na rynku finansowym, a Trump w polityce. Obaj mają niesamowitą zdolność podejmowania ryzyka i niebywały instynkt przetrwania".

Lutnick i Bessent często się kłócą i rywalizują, ale zawarli doraźny sojusz, kiedy wiosną 2025 r. Trump postanowił podnieść cła hurtowo dla wszystkich krajów świata. Obaj się obawiali, że doprowadzi to do gospodarczego kryzysu. Lutnick przekonywał, że trzeba zrobić wyjątki, np. dla części samochodowych, bo amerykańskie firmy składają auta z części wykonanych w Kanadzie i Meksyku, więc poniosą duże straty. Trump odpowiedział: „Boże, Howard, ciągle powtarzasz te bzdury, które jacyś kolesie ci wciskają. Kiedyś byłeś twardy, a teraz? Pamiętam cię z Nowego Jorku, jak miałeś 35 lat, byłeś wtedy bezwzględnym finansistą. Kilerem. A teraz masz piękną żonę, wielki dom, ale jesteś mięczakiem. Nawet gorzej. Chcesz wiedzieć, kim jesteś? Jesteś zwykłą cipką" (cytaty z Trumpa pochodzą z książki Maggie Haberman i Jonathana Swana „Regime Change: Inside the Imperial Presidency of Donald Trump").

W pierwszej kadencji Trump stworzył gabinet z obcych mu ludzi; wówczas takie jowialne żarty były nie do pomyślenia. Obecna drużyna się nie obraża ani nie wymądrza – w odróżnieniu od np. byłego szefa Exxon-Mobil Rexa Tillersona, który był sekretarzem stanu w latach 2017–18 i zanudzał prezydenta wykładami o świecie – aż do dnia, kiedy dowiedział się na Twitterze o swoim zwolnieniu.

Witaj, Emmanuelu!

W oficjalnym harmonogramie dnia prezydenta znajdziemy zwykle kilka czy kilkanaście spotkań, ale różnią się one bardzo od spotkań poprzedników. Joe Biden, Barack Obama czy George W. Bush spotykali się z kimś, potem go żegnali i spotykali z kolejnym gościem. U Trumpa wszystkie spotkania zlewają się w jeden korowód gości, którzy często nie wychodzą, tylko zostają i uczestniczą w następnych spotkaniach. „To przypomina dworzec autobusowy – w Gabinecie Owalnym pełno ludzi, a prezydent siedzi za biurkiem i gada, gada, gada" – twierdzi Michael Wolff, dziennikarz i autor kilku książek o kulisach trumpowego Białego Domu.

Prawie codziennie do Gabinetu Owalnego zapraszani są dziennikarze. Oni również słuchają niekończącej się gawędy, która jest swobodnym strumieniem świadomości. Któregoś dnia prezydent wezwał media, żeby ogłosić umowę handlową z Wielką Brytanią, ale zaraz zaczął wspominać aktora Seana Connery'ego, pierwszego odtwórcę roli Jamesa Bonda, którego był rzekomo dobrym znajomym. Potem opowiadał, że ma dwa pola golfowe w Szkocji i że oba są nad oceanem, bo nie warto kupować pól golfowych, które nie są nad oceanem. Ale na jednym z nich widok jest zepsuty przez wiatraki, które wybudowano na platformach na morzu. Wiatraki są nie tylko strasznie brzydkie, ale też szkodliwe, ich hałas wywołuje nowotwory i zabija wieloryby (rzekoma szkodliwość wiatraków jest obsesją Trumpa).

Podczas spotkań Trump czasami wydzwania do światowych przywódców w bardzo różnych, niekoniecznie istotnych sprawach. Na przykład od kilku miesięcy planuje wybudowanie Łuku Triumfalnego wysokiego na 250 stóp, czyli 75 m, co jak na Waszyngton i okolice jest wysokością gigantyczną. Kiedy mówił o tym gościom, kazał asystentce zadzwonić do Emmanuela Macrona.

„Witaj, Emmanuelu! Buduję łuk podobny do waszego i zastanawiam się, czy zrobić na szczycie taras widokowy... Czy na twoim łuku jest taras widokowy?" „Tak, mamy taras widokowy" – odpowiedział prezydent Macron. „Czy jest stamtąd najładniejszy widok na Paryż? Nie? Dopiero trzeci najlepszy? Po Wieży Eiffla i wieży katedry Notre Dame? No tak, Notre Dame, dobra robota, Emmanuel, wygląda super, choć pożar był straszny... A czy taki taras widokowy jest niebezpieczny? Czy stamtąd na przykład nie rzucają butelek? Sam nie wiem... Albo nie będą z niego skakać samobójcy? Co myślisz, Emmanuelu?".

Imitacja Wersalu

Ta polityczna telenowela, transmitowana w telewizji i internecie niemal codziennie, rozgrywa się w osobliwej scenografii. Za oknami trwa budowa gigantycznej sali balowej na miejscu zburzonego rok temu wschodniego skrzydła Białego Domu. A w Gabinecie Owalnym z każdym tygodniem przybywa złotych figurek, zdobień i akcentów. Poprzedni prezydenci unikali złota, bo kojarzy się z monarchią i przepychem, tymczasem Ameryka jest republiką. Jednak dzisiejszy Biały Dom coraz bardziej przypomina tanią imitację Wersalu. Podobno obsesją na punkcie złota Trump zaraził się od swojej pierwszej żony Ivany, która była dekoratorką wnętrz w jego budynkach i miała zamiłowanie do kiczu typowego dla lat 80. Jej styl, emanujący ostentacją i tandetą, wkrótce stał się znakiem rozpoznawczym jej męża.

W pierwszej kadencji Trump nie czuł się jeszcze dość pewnie, ale dziś śmiało zmienia Biały Dom na swoją modłę. I naprawdę wkłada w to dużo wysiłku i serca. Pewnego ranka jego rzeczniczka prasowa Karoline Leavitt weszła do Gabinetu Owalnego i zastała prezydenta ściskającego w dłoni tubkę kleju Super Glue, którym próbował przymocować złote ozdoby do marmurowego gzymsu kominka.

MARIUSZ ZAWADZKI

eprasa.pl 196cd999bb



Posłaniec

Roman Abramowicz uchodzi za najbogatszego listonosza świata, zaufanego wysłannika prezydenta Rosji. Jest w stanie dogadać się z każdym, a przy okazji zawsze ugra coś dla siebie.

PAWEŁ RESZKA, TIMUR OLEVSKY

Władimir Putin opowiedział taką historię: „Trzy tygodnie temu zadzwonił do mnie jeden z przedstawicieli naszych środowisk biznesowych. Znam go od bardzo dawna. Nie utrzymujemy bliskich kontaktów, ale mu ufam – to porządny człowiek.

Zadzwonił i mówi: – Władimirze Władimirowiczu, zapraszają mnie do Kijowa.

– Proszę bardzo, niech pan jedzie. Co ja mam z tym wspólnego? – odpowiedziałem.

Na to on: – Chciałem koniecznie pana o tym poinformować, bo z pewnością rozmowa będzie dotyczyła jakichś kwestii związanych z relacjami między naszymi krajami.

– Proszę posłuchać, nie mogę wysłać pana tam w żadnym charakterze (...) – powiedziałem mu.

On odpowiedział: – Chciałem tylko panu powiedzieć, że zostałem zaproszony. Pojechałbym, wysłuchał, a potem opowiedziałbym panu, o czym była mowa.

Na to ja: – Proszę bardzo. Nie mogę panu tego zabronić. Niech pan jedzie". Putin właśnie w ten sposób zdradził kuchnię, zdekonspirował jeden z niewielu kanałów nieformalnych kontaktów między Moskwą i Kijowem.

Fakt, okoliczności były szczególne. W Petersburgu, po ataku ukraińskich dronów, spłonęły składy paliwa. Tymczasem miasto było pełne wpływowych gości, uczestników Międzynarodowego Forum Ekonomicznego. Wołodymyr Zełenski wysłał do rosyjskiego przywódcy otwarty list. Zaproponował osobiste spotkanie, rozmowy o pokoju. I zapowiedział, że jeśli Putin się nie zgodzi, będzie nadal atakował dronami rosyjskie zaplecze.

Wszyscy czekali na komentarz rosyjskiego prezydenta. W Petersburgu panel z jego udziałem był zaplanowany na 5 czerwca. Obok Putina usiedli prezydenci Tanzanii i Uzbekistanu oraz wiceprzewodniczący ChRL (pewnie Putin wolałby gości z wyższej ligi, ale nie było wyboru). Jak często przy takich okazjach dyskusja była trochę nudna, formalna. W końcu padło pytanie o list.

List? Jaki list? Rzecznik prasowy dwa razy podtykał mu pod nos ten papier! Prezydent Rosji zdążył, przebiegając wzrokiem, zauważyć tylko, że w piśmie były „pewne elementy chamstwa". Czy spotka się z Zełenskim? Nie, nie widzi powodu. Zresztą opowieść o tajemniczym biznesmenie jest dowodem na to, że to Zełenski zabiegał o rozmowę i pokój. To Zełenski zainicjował tę całą historię. A Rosja nie musi się układać. Przecież zwycięża.

Protegowany Bierezowskiego

Kim był ten tajemniczy biznesmen? „Porządny człowiek", Hermes – posłaniec Boga Putina? Wielu się domyślało, że chodzi Romana Abramowicza, 60-letniego rosyjskiego oligarchę, którego majątek przed wojną szacowano na 14,5 mld dol. (dziś według Bloomberga skurczył się niemal o połowę). To obywatel Rosji, Portugalii i Izraela. Człowiek, który zrobił gigantyczne interesy na rosyjskiej ropie ▶

© MIKHAIL SVETLOV/GETTY IMAGES

eprasa.pl 196cd999bb

▶ naftowej w latach 90., był właścicielem wielkiego londyńskiego klubu piłkarskiego Chelsea. Były gubernator Czukotki, były członek wyższej izby rosyjskiego parlamentu. Filantrop.

Bogaty rosyjski biznesmen, znajomy Abramowicza, mówi nam: – *Roma? On ma taką właściwość – potrafi wyczuć, czego akurat potrzebujesz. Wyobraź sobie: siedzimy razem przy szaszłykach, pieczemy mięso, a ty mówisz: „Ech, przydałby się teraz koniaczek". Odwracasz się, a Roma już stoi obok z dwoma kieliszkami.*

Podobną historię opowiadano o nim w końcu lat 90. Wtedy Abramowicz zaczynał robić interesy. Był protegowanym Borysa Abramowicza Bierezowskiego, biznesmena, który trząsł jelcynowską Rosją. Bierezowski poznawał Romę z ważnymi ludźmi, czyli familią Borysa Jelcyna: córką, zięciami, doradcami. Na ogrodowych przyjęciach Abramowicz podobno zajmował się grillem. Ale po kilku latach był bogatszy i bardziej wpływowy od swojego mecenasa.

Zełenski przyznał, że w maju 2026 r. rozmawiał z Abramowiczem. „Przyjechał do Kijowa. Powiedział: »Mam wiadomość bezpośrednio dla pana i mogę przekazać wieści od pana Putinowi. Jednak proszę, by nie nadawać temu rozgłosu«" – mówił prezydent Ukrainy w wywiadzie dla Sky News. Zełenski miał przekazać, że nie godzi się na wycofanie armii z Donbasu, ale jest gotów spotkać się z Putinem. Główną zagadką było teraz, kto zainicjował kontakt, komu bardziej zależało na spotkaniu? Zełenski i Putin dawali do rozumienia, że petentem była druga strona.

– *Zełenski był inicjatorem tego kontaktu, to on przez swoich ludzi wezwał Abramowicza* – mówi nam z przekonaniem urzędnik z administracji Putina. Źródło zbliżone do administracji prezydenta Ukrainy przedstawia to inaczej: – *Abramowicz przyjechał do Kijowa. Mówił, że jego wizyta jest uzgodniona z Putinem. Został przyjęty przez Zełenskiego.*

Według naszego ukraińskiego informatora zwolennikami zawarcia porozumienia z Rosją było dwóch ważnych ludzi z otoczenia Zełenskiego: Kyrył Budanow, dziś szef Kancelarii Prezydenta, do niedawna generał i szef wywiadu wojskowego, oraz Dawid Arachamia, przewodniczący frakcji parlamentarnej prezydenckiej partii Sługa Narodu.

– *Budanow i Arachamia wyszli z założenia, że najlepszym rozwiązaniem będzie natychmiastowe zawieszenie ognia, a także doprowadzenie do spotkania liderów. Jednak w otoczeniu Zełenskiego pojawiły się głosy, by się nie spieszyć. Skoro skutecznie zaczęliśmy niszczyć ich logistykę i infrastrukturę paliwową, to może uda się nam wyzwolić jakiś kawałek kraju?* – mówi nasze źródło.

Dlatego Abramowicz nie miał wiele do przekazania Putinowi. Wśród rosyjskich politologów komentowano: „Putin uważa, że wygrywa wojnę, to wiemy od dawna. Problem w tym, że chyba Zełenski też w to uwierzył".

Bóg Czukotki

– *Roman Arkadjewicz nie bierze się za rzeczy, których nie jest w stanie zrobić* – mówi Aleksandr Kołtunow, konsultant, który doradza politykom z Rosji z państw posowieckich. – *W jego życiorysie nie ma żadnych porażek – ani publicznych, ani takich, o których nie wie opinia publiczna. To bardzo utalentowany człowiek.*

Jednym z wyzwań Abramowicza było postawienie na nogi Czukotki. To region ponad dwa razy większy od Polski, północno-wschodni kraniec Rosji, o zabójczym klimacie. Upadek ZSRR okazał się dla Czukotki katastrofą. Infrastruktura się zapadała, w zimie temperatura w mieszkaniach spadała do -20, pensje i emerytury przychodziły z wielomiesięcznymi opóźnieniami. Rosjanie wyjeżdżali, rdzenna ludność, Czukczowie, stanęła przed widmem głodu i wróciła do gospodarki naturalnej.

Putin zawarł z Abramowiczem układ. Biznesmen zostanie wybrany na gubernatora Czukotki i ma zaprowadzić porządek. Skąd weźmie kasę? Nieważne. Przecież ma miliardy – choćby i z Czukotki, gdzie prowadzi lukratywne biznesy. „Jego" Sibnieft wydobywa tam ropę naftową. „Jego" jest wzięte w cudzysłów, bo przecież wielki koncern wydobywczy powstał poprzez prywatyzację państwowych firm. Było to jeszcze w czasach Jelcyna – oblepionego przez oligarchów, którzy chcieli mieć wpływ na politykę.

Putin wprowadził nowe zwyczaje. Bogacze mają się trzymać z dala od polityki. A w dodatku zapłacić za swoje bogactwo. Ukradli za dużo, muszą część oddać. Ci, którzy nie chcieli tego pojąć, skończyli źle. Michaił Chodorkowski płacił na społeczeństwo obywatelskie, buntował się przeciw władzy, więc zabrano mu biznes, a jego wysłano do łagru. Władimir Gusiński miał śmiałość atakować Putina przez należące do niego media. Do czasu, bo nagle trafił do aresztu. W zamian za wolność oddał firmy, wyjechał za granicę, a dziś jest bankrutem. Nawet Bierezowski nie chciał zrozumieć, że nastały nowe czasy, i musiał uciekać z Rosji.

Roman Abramowicz rozumiał dużo więcej. Zgodził się zostać gubernatorem Czukotki, odbudował infrastrukturę, pomoc socjalną, logistykę. Płace wzrosły pięciokrotnie, PKB – trzy razy. Podniósł Czukotkę z upadku, nazywali go tam Bogiem. Jego trud docenił też Putin: „Wiele zrobił obecny gubernator, trzeba mu to oddać. Abramowicz zaczął od tego, że zainwestował osobiste pieniądze w rozwój regionu".

Był to swoisty eksperyment, który zmienił sposób działania Kremla – od czasu do czasu oligarcha dostawał zadanie, które miał wykonać za swoje pieniądze. Szacuje się, że z własnej kieszeni Abramowicz wydał na Czukotce ponad 2 mld dol. Ale opłaciło się, bo Kreml potrafił się odwdzięczyć. Na przykład pozwolił Abramowiczowi kupić za ułamek wartości firmy banity Bierezowskiego. Ciało tego ostatniego znaleziono potem z zaciśniętą pętlą na szyi w łazience domu w podlondyńskim Ascot. Samobójstwo, choć wielu znajomych Bierezowskiego ma inne zdanie w tej sprawie.

Oligarcha z misją

Ukraińcy jeszcze przed pełnoskalową wojną szukali podobno kogoś, kto mógłby zapewnić szybką nieoficjalną komunikację z Kremlem. Abramowicz nadawał się bardzo dobrze. Putin go szanował. W Ukrainie Abramowicz miał sporo biznesów. Współpracował z Igorem Kołomojskim, Rinatem Achmetowem. Przyjaźnił się ze słynnym piłkarzem i trenerem Andrijem Szewczenką.

Abramowicz był nawet gotów tracić na swoich ukraińskich biznesach, byle tylko utrzymać dobre kontakty nad Dnieprem. Zwłaszcza po 2014 r., gdy po Krymie i „rebelii" w Donbasie stosunki między krajami gwałtownie się pogarszały. – *Za własne pieniądze, mówiąc wprost, kupił sobie możliwości dalszego działania w Ukrainie. Uznano, że to rosyjski oligarcha pozbawiony ambicji imperialnych* – mówi Kołutunow.

Po inwazji w 2022 r. Kijów wysłał sygnał, że chce rozmów z Rosją. Pierwsze spotkania negocjatorów toczyły się

eprasa.pl 196cd999bb



Świat poznał Abramowicza jako właściciela londyńskiego klubu piłkarskiego Chelsea, po wybuchu wojny miliarder został zmuszony do jego sprzedaży. Na fot. **sektorówka kibiców.**

na Białorusi. Jednak po chwili prawdziwe negocjacje ruszyły w Turcji. Wtedy znów pojawił się Abramowicz. Przyleciał do Polski 2 marca 2022 r. właśnie z Turcji, tureckim rządowym samolotem. Polska miała zadbać, żeby bezpiecznie dotarł do granicy z Ukrainą. – *O pomoc poprosili Ukraińcy* – mówi osoba z otoczenia prezydenta Andrzeja Dudy.

Abramowicz bał się podróży do Ukrainy. – *To był sam początek wojny. Panował chaos. Mógł zostać zatrzymany na jakimś posterunku i po prostu odstrzelony. Był przecież znany publicznie jako właściciel Chelsea i rosyjski oligarcha* – mówi jeden z dyplomatów. Jednak podróż skończyła się szczęśliwie. Po dwóch dniach na lotnisko w Rzeszowie przyleciał znów rządowy samolot z Turcji.

W drodze powrotnej Abramowiczowi towarzyszył Jakub Kumoch, prezydencki minister, turkolog i były ambasador RP w Ankarze, a obecnie w Pekinie. To on zaaranżował spotkanie Rosjanina z İbrahimem Kalınem, prawą ręką prezydenta Recepa Tayyipa Erdoğana. Po co? Anonimowo odpowiada człowiek z otoczenia prezydenta Dudy: – *W Turcji odbywały się wówczas rozmowy między delegacjami Rosji i Ukrainy. Chcieliśmy wyczuć, o co chodzi Turcji. Były obawy, że Ankara będzie naciskała na Ukrainę, by poszła na daleko idące, korzystne dla Rosji ustępstwa, żeby tylko zakończyć konflikt.*

W czasie misji do Turcji Abramowicz poczuł się źle. Było podejrzenie, że został otruty. Kumoch odniósł się do tego zdarzenia w wywiadzie dla Marcina Kędryny w 2024 r.: „Widziałem człowieka, który się skarżył na dolegliwości, do tego takie jak jego kolega (...). Natychmiast w Ankarze znaleźliśmy się w klinice, gdzie ich przebadano. Też bardzo chciałem wiedzieć, czy nie mam śladów nowiczoku czy czegoś tam, zanim przywitam się w Ankarze z żoną i dziećmi. Lekarz powiedział, że to jakiś niegroźny środek chemiczny i że nic im nie będzie".

Trudno powiedzieć, o co chodziło z otruciem. Być może było to ostrzeżenie z Kremla – pamiętaj Roma, że mamy długie ręce. Nie próbuj niczego rozegrać na boku.

Tamta pokojowa misja Abramowicza nie mogła zakończyć się sukcesem. Moskwa ciągle liczyła na szybkie zwycięstwo. Kijów nie zamierzał się poddawać, mógł najwyżej grać na czas. Sam Abramowicz był w złym stanie. Wisiały nad nim sankcje UE i Wielkiej Brytanii. Wkrótce został zmuszony do zrzeczenia się kontroli nad klubem Chelsea. Transakcja opiewała na kwotę 2,5 mld funtów, jednak biznesmen nie zobaczył ani pensa. Cała kasa trafiła na specjalne, zamrożone konto.

– *Mówił mi: „Mam tyle samolotów, ale wszystkie uziemione z powodu sankcji. Mogę najwyżej wejść na pokład, zamówić sobie kawę". Bał się, że w ogóle straci możliwość podróżowania, i to go bardzo bolało* – mówi polski dyplomata, który rozmawiał z Abramowiczem w marcu 2022 r.

Jednak mediacje nie poszły na marne. Abramowicz doprowadził do wielkiej wymiany jeńców między Rosją i Ukrainą. Wśród wypuszczonych byli żołnierze batalionu Azow, który Kreml uważa za jednostkę nazistowską. Wymianę koordynował szef ukraińskiego wywiadu Budanow. Arachamia zaś, który był członkiem zespołu negocjacyjnego, napisał list, domagając się zdjęcia sankcji UE z Abramowicza w zamian za jego pomoc.

Prawnicy Abramowicza biegali z tym listem po całym świecie, walczyli w sądach o zniesienie sankcji, udowadniali, że ich klient nie robi żadnych interesów z kremlowskim reżimem. I częściowo się udało – większość sankcji została z Abramowicza zdjęta.

Dobry policjant

W październiku Abramowicz będzie obchodził 60. urodziny. Pochodzi z żydowskiej rodziny, która osiedliła się w Saratowie. Wychowywał się bez rodziców – mama zmarła, gdy miał rok, dwa lata później umarł ojciec. Potem zaopiekował się nim wujek. Studiował w Uchcie na wydziale leśnym. Na dwa lata poszedł do wojska, później trafił do fabryki jako mechanik. Został w Uchcie. Biznesy zaczynał od handlu, wyrobu plastikowych zabawek. W latach 90. zakładał kolejne małe firmy. W końcu zajął się pośrednictwem w sprzedaży m.in. ropy. W 1992 r. był podejrzany o to, że ukradł pociąg pełen paliwa na szkodę władz Uchty. Przełomem było spotkanie z Bierezowskim – obaj mieli żydowskie korzenie. Polubili się.

Znajomy Abramowicza tak o nim opowiada: – *Jest cichy i skromny. Szczególnie gdy spotyka się z nieznajomymi, ludźmi na stanowiskach.* Z drugiej strony jest klasycznym oligarchą pierwszego rzutu. Majątek zrobił w czasach dzikiej prywatyzacji i gangsterskich wojen, kiedy każdego dnia trzeba było być gotowym na strzelaninę. Wywalczył bogactwo, wyrwał je. Obecni miliarderzy, którzy wyrośli przy Putinie, nie należą do takiej „arystokracji", krezusami są dzięki dobroci cara.

W życiu codziennym Abramowicz zachowuje się jak oligarcha starego typu. Jakby ciągle były lata 90. Ma np. taki zwyczaj, że chodzi ze swoim asystentem, który załatwia wszystko, co trzeba. Zapisuje kontakty, podaje numery telefonu, a przede wszystkim ma kartę kredytową i płaci. Abramowicz się tym nie zajmuje.

Kiedy można ubić interes, zawsze jest gotów, żeby negocjować. – *Potrafi sprawić, że jego rozmówca czuje się komfortowo. Kiedy wraz z Olegiem Deripaską agresywnie negocjowali z konkurentami, którym chcieli odebrać biznes, Oleg zawsze był tym złym, Roman robił za dobrego policjanta* – mówi jego znajomy biznesmen.

I jeszcze jedno. Abramowicz niemal ze wszystkimi jest na „pan", nawet z bardzo bliskimi ludźmi. – *Widziałem zapisy podsłuchów z rozmów Abramowicza z Bierezowskim. Roman go zniszczył, ale przez cały czas był kulturalny i odnosił się do niego z szacunkiem* – mówi znajomy Rosjanina. I dodaje, że Abramowicz, nawet jak pozbawi cię wszystkiego, zrobi to grzecznie. A na pożegnanie powie: „Dziękuję panu".

PAWEŁ RESZKA, TIMUR OLEVSKY

© CLIVEROSE/GETTY IMAGES

eprasa.pl 196cd999bb



Ostatnia szansa lewicy

Rozmowa z historykiem Davidem Klempererem o tym, jaka będzie Wielka Brytania według Andy'ego Burnhama. I dlaczego musi się on odciąć od Tony'ego Blaira.

MATEUSZ MAZZINI: **– Andy Burnham to szósty premier Wielkiej Brytanii w ciągu niecałej dekady. Czy tym krajem jeszcze da się rządzić?**

DAVID KLEMPERER: – Tak, ale przyznam, że nie jest to łatwe. Upraszczając, jest to konsekwencja trzech decyzji i kryzysów z niedalekiej przeszłości. Pierwszym była polityka zaciskania pasa po kryzysie finansowym z 2008 r. Drugim – brexit i jego następstwa. Trzecim – skutki pandemii. Ta kombinacja mocno uderzyła w gospodarkę i uszkodziła brytyjską tkankę społeczną, przez co rządzenie stało się trudne. Ale nie niemożliwe, bo mamy raczej problem z politykami, a nie z państwem.

Czyli?

Fakt, że Partia Konserwatywna co chwila zmieniała liderów, w efekcie dając krajowi pięcioro premierów w osiem lat, nie wynika z kryzysu brytyjskiego państwa, tylko z chaosu

© PETER BYRNE/PA IMAGES/GETTY IMAGES

eprasa.pl 196cd999bb

wewnątrz jednego ugrupowania. Natomiast w przypadku Partii Pracy mamy do czynienia z pierwszą od prawie 20 lat wymianą lidera w trakcie kadencji. Keir Starmer nie odszedł ze stanowiska, bo nie był w stanie zapanować nad państwem, ale z powodu własnych ograniczeń jako polityka.

Nie zmienia to jednak faktu, że w ostatnim czasie brytyjscy premierzy szybko odchodzą. A np. taka Margaret Thatcher czy Tony Blair rządzili po kilkanaście lat. Mamy na Wyspach nowy standard?

Akurat lata 2016–24, czyli najszybsza karuzela premierów, to był czas zdefiniowany przez brexit. I to był wynik bardzo unikatowego zamieszania w Partii Konserwatywnej. Ale te problemy torysów należy oddzielić od rezygnacji Starmera, bo wynikały z czegoś zupełnie innego.

Premierostwo Burnhama będzie inne?

Kluczowe pytanie brzmi: w jakim stopniu premier Burnham odróżni się od premiera Starmera? Nowy szef rządu będzie chciał wprowadzić nowy styl rządzenia, ale to, czy mu się uda, będzie zależeć od co najmniej dwóch czynników. Po pierwsze, musi udowodnić, że lepiej rozumie emocje, ludzką stronę polityki. To nie powinno być specjalnie trudne po Starmerze... A Burnham ma do tego talent. Opanował robienie polityki w mediach społecznościowych. Po drugie, nowy premier musi wiedzieć, jaki ma cel. Starmer chyba nie wiedział. Często mówiło się, że jedynie zarządza krajem – to było jednym z głównych powodów jego upadku.

Burnham jako wieloletni burmistrz aglomeracji Manchesteru miał jasno nakreślone cele: większa rola władzy publicznej, ograniczenie kosztów i upowszechnienie usług oferowanych przez miasto, itd. A czy premier Burnham ma już swój cel??

Tak uważam. Dużo mówi o nierównościach, które pojawiły się w wyniku dominującej na Wyspach od 40 lat liberalnej doktryny ekonomicznej. Chodzi nie tylko o nierówności materialne, ale też regionalne, pomiędzy północą i południem Anglii.

Najważniejsze będzie przywrócić Brytyjczykom wiarę w to, że wciąż kontrolują własne państwo. Kiedy w październiku 2022 r. premier Liz Truss odchodziła ze stanowiska po zaledwie kilku tygodniach, w powszechnej opinii jej dymisja była spowodowana presją rynków źle reagujących na jej propozycję budżetu. W Wielkiej Brytanii od lat rośnie przekonanie, że właśnie takie siły, jak np. bliżej niesprecyzowane „rynki", tak naprawdę decydują o przyszłości kraju. Burnham deklaruje, że na to nie pozwoli.

Czy Burnham będzie nowym Tonym Blairem?

Polityczny kontekst jest inny. Nowa Lewica Blaira zaczęła się jako pomysł na zmianę Partii Pracy – Blair przede wszystkim zarządził odwrót od socjalizmu. Dopiero potem, gdy laburzyści już przejęli władzę, Nowa Lewica stała się również projektem dla całego państwa, a ludzie Blaira zabrali się do reformy konstytucyjnej i państwa dobrobytu, wreszcie – do zmiany całego modelu gospodarczego Wielkiej Brytanii.

Zauważam pewne podobieństwa w projekcie Burnhama. Ma ambicje własnej reformy ustrojowej, chociażby decentralizację władzy. Mówi o przeniesieniu procesu decyzyjnego z Westminsteru do innych miejsc, o możliwej reformie ordynacji wyborczej. Podobnie w polityce gospodarczej: zapowiada decentralizację fiskalną, inne zasady pobierania i rozdzielania przychodów z podatków, pobudzenie wzrostu, ▶

REKLAMA

Oferta powitalna

POLITYKA

5 zł | za tydzień
przez cały rok

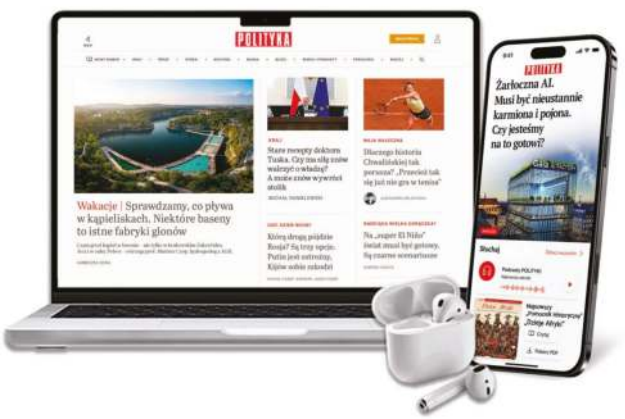

Oferta dla nowych subskrybentów

Teksty tygodnika, rzetelne analizy

Podkasty i artykuły

Codziennie nowe treści

KUP DOSTĘP

polityka.pl/powitalna

eprasa.pl/196cd999bb

▶ a długoterminowo – przywrócenie publicznej kontroli nad gospodarką. Tak, aby państwo mogło interweniować, jeśli ludzie tracą dostęp do podstawowych dóbr i usług.

To brzmi jak nowa wersja Nowej Lewicy.

Każdy lider Partii Pracy, który odnosił sukces w polityce, wchodził do niej z planem zmieniającym zarówno partię, jak i cały kraj. A Burnham wie, jak to się robi – w końcu był ważną postacią Nowej Lewicy i współpracownikiem Blaira.

Ale różnice są znaczące. Nowa Lewica zaczęła od decentralizacji i wzmocnienia kompetencji krajów wchodzących w skład Zjednoczonego Królestwa, czyli Szkocji, Walii i Irlandii Północnej. Decentralizacja Burnhama będzie natomiast skupiona na samej Anglii, daniu narzędzi samorządom miejskim czy hrabstwom. Dopiero z czasem ma to zostać rozszerzone na Szkocję i Walię.

Poza tym Burnham radykalnie różni się od swoich poprzedników w stosunku do thatcheryzmu i globalizacji. Nowa Lewica w dużym stopniu opierała się na tych doktrynach, tymczasem Burnham obie odrzuca. On jest zainteresowany tymi regionami Anglii, dla których deregulacja i neoliberalna polityka gospodarcza minionych dekad przyniosły same problemy i które od lat 80. doświadczyły właściwie tylko prywatyzacji.

Dlaczego Burnham miałby się okazać skuteczniejszym politykiem od Starmera? Skąd może wynikać jego sprawczość?

Choćby z tego, że przez ostatnie lata dał się poznać jako człowiek o dużej ambicji politycznej. Wiemy mniej więcej, za co można go chwalić, a za co krytykować. Ale wejście do 10 Downing Street (siedziba premiera – przyp. red.) to już inna rzeczywistość – polityk zaczyna działać w innym kontekście, pojawiają się wokół niego systemowe ograniczenia. Dopiero wtedy można przesądzać, co jest realne, a co nie.

Czy Partia Pracy będzie dla niego wsparciem, czy ograniczeniem? Burnham zapanuje nad walkami frakcji?

Udało mu się zbudować relatywnie szeroką, stabilną koalicję wewnątrz Partii Pracy. Nieustannie podkreśla też, że zależy mu na prowadzeniu polityki partyjnej w innym, niż to robił Starmer, bardziej koncyliacyjnym stylu. Ciekawą obserwacją na temat Starmera jest zresztą fakt, że gdy przemawiał publicznie, wyglądał na pozbawionego charyzmy i pewności siebie. Ale już w relacjach z partyjnymi rywalami zachowywał się w sposób wręcz autorytarny, wrogi. Wszelki wewnętrzny opór był traktowany jako atak. Zwłaszcza lewicowe skrzydło laburzystów zostało przez ten czas zmarginalizowane. W dodatku Starmer nie przejawiał specjalnego zainteresowania wsłuchiwaniem się w potrzeby pojedynczych posłów czy organizacji społecznych z ekosystemu lewicy.

Burnham chce to zmienić, pracować ze wszystkimi frakcjami. Warto jednak pamiętać, że zarządzanie partią nie ogranicza się tylko do tego. Istnieją też grupy regionalne, które mają własne interesy. Tu czeka na niego pułapka, bo wydaje się, że konflikt pomiędzy posłami z północy i londyńskim skrzydłem Partii Pracy jest bardzo prawdopodobny.

Po rezygnacji Starmera Partia Pracy uniknęła wewnętrznej walki o przywództwo. Zamiast rywalizacji przeprowadziła koronację Burnhama. To dobrze?

Uważam, że tak. W obecnej sytuacji politycznej konkurencyjne wybory na przewodniczącego partii nie byłyby dobrym rozwiązaniem. Nie było czasu na prawdziwą bitwę osobowości i idei. Koronacja Burnhama pozwoliła laburzystom zaoszczędzić pewnie ze trzy miesiące, które w innym wypadku zostałyby zmarnowane.

Tylko czy w chwili, gdy w Wielkiej Brytanii upada system dwupartyjny, taka trzymiesięczna bitwa idei nie byłaby przydatna? Jak będzie wyglądało budowanie koalicji w kraju, w którym nikt nie umie ich budować, bo nigdy nie miał takiej potrzeby?

Dobre pytanie. Postępująca fragmentaryzacja jest dzisiaj najważniejszą cechą brytyjskiej polityki. Brytyjczyków coraz trudniej zaszufladkować do jednej z dwóch głównych partii. Jednocześnie powstaje „polityka blokowa", w której owszem, mniejsze partie rosną w siłę, ale elektorat pozostaje podzielony na dwie duże, choć mniej hermetyczne, części: obóz lewicowy i prawicowy. Zdecydowana większość wyborców, która zmienia afiliację partyjną, robi to wewnątrz własnego bloku, nie poza nim.

Co to oznacza dla Partii Pracy?

Dla niej najważniejszym wyzwaniem będzie teraz odzyskanie roli lidera bloku lewicowo-liberalnego. I co za tym idzie, odzyskanie wyborców, którzy być może wyłączyli się z polityki albo przeszli do innych ugrupowań. Najbliższe wybory parlamentarne wygra ten blok, który będzie bardziej zjednoczony – w 2024 r. wygrała Partia Pracy, bo to wokół niej zgromadzili się wyborcy progresywni, podczas gdy blok prawicowy mocno się podzielił na zwolenników torysów oraz Reform UK Nigela Farage'a i przegrał.

To chyba jest największe wyzwanie. Przecież politycy Zielonych i Partii Pracy nienawidzą się bardziej niż Farage'a.

To prawda, pod rządami Starmera laburzyści byli bardzo wrogo nastawieni do Zielonych. Burnham wiele razy mówił, że chce to zmienić, pracować ponad podziałami partyjnymi, więc retoryka będzie na pewno inna. Najciekawsze będzie jednak co innego – próba zmiany całej kultury politycznej, wykraczająca daleko poza bieżące zarządzanie samą partią i jej wewnętrznymi konfliktami. Przyszłość progresywnej polityki na Wyspach zawiera się w odpowiedzi na pytanie: czy Partii Pracy uda się odzyskać zaufanie ludzi, którzy w ostatnich latach zasilili szeregi Zielonych albo Liberalnych Demokratów?

Uda się?

Jeśli ktokolwiek ma szanse to zrobić, to tylko Andy Burnham.

ROZMAWIAŁ MATEUSZ MAZZINI



© UNIVERSITY OF BATH

David Klemperer – związany z lewicą historyk polityki młodego pokolenia, członek Instytutu Badań nad Polityką na Uniwersytecie w Bath, redaktor czasopisma „Renewal: A Journal of Social Democracy".

eprasa.pl 196cd999bb

POSZERZAMY HORYZONTY



Naukowe miesięczniki POLITYKI



Sierpniowe numery już w punktach sprzedaży prasy i na sklep.polityka.pl

Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektpulsar.pl

Prenumerata także z bezpłatną dostawą do wybranego

InPost Paczkomat 24/7

eprasa.pl 196cd999bb



Gadi kontra Bibi

Nowy lider izraelskich sondaży generał Gadi Eisenkot ma zasadniczą przewagę nad Beniaminem Netanjahu – jest jego całkowitym przeciwieństwem. Czy to wystarczy, by jesienią wygrać wybory?

AGNIESZKA ZAGNER

„Będę rządził dla wszystkich Izraelczyków" – zapowiedział Gadi Eisenkot na początku lipca, inaugurując swoją kampanię wyborczą w hali D-One pod Tel Awiwem. Ani to hasło, ani lokalizacja nie były przypadkowe. Bazą wyborczą Eisenkota nie jest ani zamożny, liberalny i nowoczesny Tel Awiw – domena dotychczasowych liderów opozycji Naftalego Bennetta i Jaira Lapida. Ani pas wzgórz wzdłuż drogi między Nazaretem i Beer Szewą, częściowo wiodącej przez żydowskie osiedla na Zachodnim Brzegu Jordanu – bastion prawicowego obozu Beniamina Netanjahu. Eisenkot celuje w polityczne centrum o zabarwieniu prawicowym: mieszkańców przedmieść, mniejszych miast, klasę średnią, robotników i studentów.

Podczas wiecu wymowna była też oprawa muzyczna. Eisenkot wchodził na salę przy dźwiękach „Golani Szeli" (Moje Golani). W elitarnej brygadzie Golani spędził dwie dekady, pnąc się od szeregowca do dowódcy. Ukoronowaniem jego kariery wojskowej było objęcie w 2015 r. funkcji szefa sztabu generalnego w najwyższym izraelskim stopniu generała dywizji. Po drodze dowodził na frontach obu wojen z Libanem i na Zachodnim Brzegu podczas drugiej intifady. W armii, w której służył przez 41 lat, osiągnął wszystko.

Moc rodziny

– *Niektórzy mogą myśleć, że to kolejny generał w izraelskiej polityce, ale to błąd* – uważa gen. Juwal Bazak, były podwładny Eisenkota. – *Ale Gadi to urodzony przywódca i doskonały strateg o imponującej umiejętności rozwiązywania konfliktów w taki sposób, by nie mnożyć wrogów. Kogoś takiego Izrael dzisiaj dramatycznie potrzebuje.* Zdaniem Bazaka Eisenkot jest wszystkim tym, czym nie jest Netanjahu. I rzeczywiście, różni ich niemal wszystko: od stylu bycia, przez pochodzenie, aż po osobiste dramaty.

66-letni Eisenkot pochodzi z Ejlatu na południu kraju i jest synem marokańskich Żydów. Jego ojciec był robotnikiem w kopalni miedzi, a matka zajmowała się domem. Netanjahu z kolei urodził się w zamożnej inteligenckiej rodzinie, wychowywał w Jerozolimie, kształcił w Stanach Zjednoczonych. W tym starciu reprezentują dwa odmienne światy: uprzywilejowanych kulturowo aszkenazyjczyków oraz Mizrachim – Żydów orientalnych, którzy przez dekady walczyli z systemową dyskryminacją. W dodatku Eisenkot to podręcznikowy *self-made man*, który pozycję zawdzięcza własnej pracy i wojsku.

Równie jaskrawy jest kontrast rodzinny. Żaden z synów trzykrotnie żonatego

© PAP/EPA/ABIR SULTAN

eprasa.pl 196cd999bb

Netanjahu nie służył w wojsku podczas ostatnich konfliktów. Jeden spędzał czas na Florydzie, atakując opozycję w mediach społecznościowych. O drugim stało się głośno, gdy premier narzekał w mediach na „osobistą cenę" wojny, jaką było... przełożenie daty ślubu syna. Tymczasem o dekadę młodszy Eisenkot od kilkudziesięciu lat tworzy stabilny związek ze swoją licealną miłością. A cenę wojny poznał w sposób najstraszniejszy – pod koniec 2023 r. w Strefie Gazy zginął jego syn Gal Meir.

Moc kamery

Oficjalny wyścig wyborczy dopiero co ruszył – wybory odbędą się w najpóźniejszym możliwym terminie, czyli 27 listopada. Jednak kampania już zapowiada się na polityczny thriller o niepewnym wyniku. Sondaże pokazują głęboki podział, ale i wyraźny trend wznoszący dla nowej siły. Według telewizji Kanał 12 Likud premiera Netanjahu mógłby dziś liczyć na 23 mandaty w 120-osobowym Knesecie, ale tuż za jego plecami znajduje się nowa partia Eisenkota o nazwie Jaszar! („prosty" lub „uczciwy") z 21 mandatami. Ugrupowanie to zepchnęło na trzecie miejsce dotychczasowych liderów opozycji – sojusz Bennetta i Lapida (18 mandatów). W bezpośrednim starciu o fotel premiera Eisenkot wygrywa z Netanjahu stosunkiem 38 do 36 proc.

Ostateczny układ sił może zależeć od partii arabskich, ale większość żydowskich liderów partyjnych wyklucza wspólne rządy. Jeśli więc nie zwycięży polityczny pragmatyzm, Izrael może czekać kolejny kryzys parlamentarny, a w jego rezultacie przegrana Netanjahu wcale nie jest przesądzona. – *Eisenkot początkowo zawiedziony był połączeniem sił przez Bennetta i Lapida. Sądził, że znalazł się na politycznym oucie. Ale w sumie na tym zyskał, bo zamiast rozpłynąć się w większej formacji, występuje jako niezależny kandydat na premiera* – uważa prof. Daniel Bar-Tal, emerytowany psycholog społeczny z uniwersytetu w Tel Awiwie.

Ludzie z otoczenia Eisenkota podkreślają, że jego siła tkwi w normalności. – *Netanjahu nakłada mocny makijaż, świetnie wypada przed kamerami i uwodzi charyzmą. Ale bywa przy tym sztuczny. Gadi jest autentyczny, spokojny i skromny. Nigdy nie podnosi głosu. Ma w sobie naturalną charyzmę. Nie dominuje otoczenia, przeciwnie – pozostaje cichy, wyważony i bardzo zwyczajny* – mówi izraelski dokumentalista Jariw Mozer, autor filmu o ostatnich miesiącach Eisenkota jako szefa sztabu generalnego. Zaprawiony w medialnych bojach Netanjahu próbuje wykorzystać to wycofanie. Niedawno wypuścił 51-sekundowy klip, w którym szydzi z twardego izraelskiego akcentu w angielskim rywala. „A gdzie był ten doskonały angielski Netanjahu 7 października? W czym nam wtedy pomógł? W niczym" – błyskawicznie skontrował Eisenkot.

Ta riposta uderza w najczulszy punkt premiera. Izraelczycy wciąż nie wybaczyli rządowi chaosu z dnia ataku Hamasu. Temat powołania niezależnej komisji śledczej oraz kwestia poboru ortodoksów to kolejne ważne tematy obecnej kampanii. Eisenkot jest zdeklarowanym zwolennikiem równego podziału obowiązków obronnych. Netanjahu, zakładnik partii religijnych tworzących jego koalicję, musi kluczyć. Tymczasem w obliczu przedłużających się konfliktów w Gazie, Libanie i napięć z Iranem, społeczeństwo traci cierpliwość wobec uprzywilejowanych grup unikających munduru.

Moc programu

Eisenkot ma opinię człowieka bezkompromisowo uczciwego. Choć do wielkiej polityki wszedł zaledwie cztery lata temu u boku innego generała, Beniego Ganca, szybko wybił się na niepodległość. Obaj po 7 października weszli do rządu jedności narodowej i gabinetu wojennego (Eisenkot w roli obserwatora), by ratować państwo. Obaj też w czerwcu 2024 r. trzasnęli drzwiami, oskarżając Netanjahu o przedkładanie własnego interesu politycznego nad dobro państwa.

W czerwcu 2025 r. Eisenkot zrezygnował z mandatu w Knesecie, a jesienią założył własną partię. Jego program – oparty na silnej żydowskiej tożsamości, priorytecie bezpieczeństwa, wsparciu dla weteranów, przywilejach finansowych dla żołnierzy – skrojony jest pod centroprawicowego wyborcę rozczarowanego obecnym premierem. Choć prywatnie Eisenkot nie wyklucza rozwiązania dwupaństwowego w kwestii palestyńskiej, w kampanii tego nie eksponuje, wiedząc, że aby wygrać, musi przejąć głosy prawicy.

Generał Bazak wspomina czasy, kiedy jako dowódca brygady w Nablusie podlegał Eisenkotowi, gdy ten dowodził Dywizją Judei i Samarii na Zachodnim Brzegu: – *W kwestiach wojskowych i bezpieczeństwa jest zdecydowanym jastrzębiem. Jednocześnie był niezwykle rygorystyczny w sprawach humanitarnych. Nawet podczas najtrudniejszych operacji przywiązywał dużą wagę do losu palestyńskiej ludności cywilnej. On głęboko rozumie, na czym polega ten konflikt. Wie, że nie wystarczy zabijać kolejnych terrorystów, że trzeba stworzyć taki system, by do głosu doszły siły umiarkowane.*

Moc Netanjahu

Program Eisenkota skierowany jest raczej do osób po prawej stronie sceny politycznej, ale również rozczarowanych wieloletnimi rządami Netanjahu. Dlatego broniący się premier próbuje grillować konkurenta, zarzucając mu w mediach rzekomą „zbytnią ostrożność" w operacjach przeciw Palestyńczykom i Hezbollahowi. Chce przykleić generałowi łatkę słabeusza. Zwolennicy Eisenkota przypominają jednak, że były szef sztabu miał po prostu odwagę głośno mówić, że życie zakładników jest ważniejsze niż iluzoryczne „całkowite zwycięstwo", którego Netanjahu do dziś nie osiągnął.

To odczucie podziela zdecydowana większość Izraelczyków, którzy uważali, że powrót zakładników przetrzymywanych w Gazie powinien być bezwzględnym priorytetem rządu. A nie był. Ostatecznie porozumienie z Hamasem zawarto w październiku 2025 r., chociaż możliwe było już rok wcześniej. To jednak nie współgrało z politycznymi planami Netanjahu. W dodatku obecny premier Izraela wydaje się tracić swoje legendarne wyczucie nastrojów społecznych. W okolicach tysięcznego dnia od tragedii 7 października, zapytany w wywiadzie, co zmieniło się w jego życiu od tamtego momentu, zażartował, że „trochę zrzucił na wadze". W kraju wciąż opłakującym blisko 1200 ofiar terroru ten pokaz skrajnego narcyzmu wywołał powszechne oburzenie.

Eisenkot przedstawia się na tym tle jako postać z innej epoki – polityk w typie ojca narodu na wzór Dawida Ben Guriona. Rozmawia bez wyższości, patrzy prosto w oczy, oferuje pojednanie podzielonemu społeczeństwu. Problem polega na tym, że choć polaryzacja polityczna, na którą stawia Netanjahu, coraz bardziej ciąży Izraelowi, to dotychczas rzadko kiedy go zawodziła. Październikowe wybory będą więc nie tylko testem popularności obu liderów, ale przede wszystkim pytaniem o to, jakiego przywództwa chce dziś Izrael. ■

eprasa.pl 196cd999bb

Puszka pumy

Sprawa dzikiego kota spod Koszalina obnaża bezradność państwa. Dlaczego w polskich domach i ogrodach wciąż bezkarnie hoduje się lwy, tygrysy i jadowite węże?

ROBERT JURSZO



© FACEBOOK/ZOO POZNAŃ

Dzikiego kota nagrali na początku lipca w gminie Polanów myśliwi. Jeden z nich był tak przestraszony, że próbował odgonić zwierzę okrzykiem „do budy”, a nawet oddał strzał w powietrze, by je spłoszyć. Prof. Rafał Kowalczyk z Instytutu Biologii Ssaków PAN w Białowieży potwierdził, że kot na nagraniach wideo to młoda puma. Początkowo istniały obawy, że będzie trudno ją odłowić. Na szczęście zwierzę na kryjówkę wybrało zarośnięty wysokimi i gęstymi trawami pustostan we wsi Karsinka. Tam je złapano, a po nocy spędzonej w ośrodku Fundacji dla Dzikich Zwierząt „Larus” przewieziono do zoo w Poznaniu. Okazało się, że to samica. Skąd puma w Polsce? Nie jest to gatunek naturalnie występujący w Europie, jego siedliska rozciągają się od Kanady po Patagonię. Kocica spod Koszalina raczej nie bała się ludzi, więc najprawdopodobniej uciekła z prywatnej hodowli.

Załóż sobie cyrk

Polskie przepisy dotyczące tzw. gatunków niebezpiecznych regulują ustawa o ochronie przyrody oraz rozporządzenie ministra środowiska z 2011 r. w sprawie gatunków zwierząt niebezpiecznych dla życia i zdrowia ludzi. Dzielą one tego rodzaju zwierzęta

eprasa.pl 196cd999bb

na dwie grupy. Kategoria pierwsza to zwierzęta najbardziej niebezpieczne, zalicza się do nich m.in. wielkie koty, jadowite węże i pająki, krokodyle, a także małpy człekokształtne. Kategoria druga – zwierzęta niebezpieczne – to m.in. mniej toksyczne gady i pajęczaki. Te mogą przetrzymywać osoby prywatne, ale muszą uzyskać zgodę regionalnej dyrekcji ochrony środowiska.

W przypadku kategorii pierwszej przepisy nie przewidują hodowli w warunkach domowych. Prawo do przetrzymywania takich zwierząt mają tylko ogrody zoologiczne, placówki naukowe, ośrodki rehabilitacji i azyle. Puma płowa (*Puma concolor*) zalicza się właśnie do tej grupy. A że w województwie zachodniopomorskim nie zarejestrowano żadnego przedstawiciela tego gatunku, zwierzę musiało uciec komuś, kto w żadnym wypadku nie powinien go mieć.

Jeszcze do niedawna istniała tzw. furtka cyrkowa, która pozwalała na wejście w posiadanie zwierzęcia niebezpiecznego kategorii pierwszej przez osobę prywatną. Stąd głośna sprawa pumy Nubii. Kamil Stanek, weteran misji w Afganistanie, kupił ją legalnie w Czechach, kiedy była jeszcze kociakiem. W tym samym czasie zarejestrował działalność gospodarczą jako cyrk i wkrótce ją zawiesił. Puma była trzymana na prywatnej posesji i pokazywana na festynach, brała też udział w sesjach zdjęciowych. Stanek po prostu obchodził przepisy i na zwierzęciu zarabiał. W czerwcu 2018 r. Fundacja Viva! złożyła do prokuratury zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa. Stankowi zarzucano przetrzymywanie pumy w warunkach nieadekwatnych do potrzeb dużego drapieżnika, wykorzystywanie zwierzęcia do celów komercyjnych, a także stwarzanie zagrożenia dla osób postronnych.

Stanek przegrał w sądzie, a ten nakazał mu przekazanie Nubii do zoo w Poznaniu, jednak weteran odmawiał. Kiedy ogród zoologiczny złożył zawiadomienie o przywłaszczeniu zwierzęcia, które po wyroku stało się własnością Skarbu Państwa, a ówczesna dyrektorka Ewa Zgrabczyńska w lipcu 2020 r. pojawiła się u Stanka z pracownikami i policją, ten uciekł z pumą do lasu. Obława z udziałem antyterrorystów, drona i helikoptera stała się medialną sensacją. Po dwóch dniach Stanek poddał się dobrowolnie, a Nubia trafiła nie do Poznania, ale Śląskiego Ogrodu Zoologicznego w Chorzowie. Pozostaje tam do dziś. W 2025 r. Sąd Okręgowy w Sosnowcu skazał mężczyznę na rok więzienia w zawieszeniu. Sprawa stała się impulsem do zmiany prawa. Jeszcze w 2021 r. wykreślono cyrki z listy podmiotów uprawnionych do pozyskiwania nowych zwierząt niebezpiecznych. Inne furtki, całkowicie nielegalne, pozostają wciąż otwarte.

Kup pan tygrysa

– *Podczas zajęć poświęconych prawnym aspektom zarządzania gatunkami proszę studentów m.in. o wyszukanie w polskim internecie ofert sprzedaży niebezpiecznych zwierząt należących do różnych grup systematycznych. Większość znajduje takie w ciągu 15 minut, przy czym wiele dotyczy gatunków stwarzających największe zagrożenie* – mówi dr Andrzej Kepel, przewodniczący Państwowej Rady Ochrony Przyrody i prezes Polskiego Towarzystwa Ochrony Przyrody „Salamandra". W jego ocenie obrót tymi zwierzętami – choć nielegalny – odbywa się w zasadzie jawnie i ma charakter powszechny. Ten sam problem dotyczy handlu inwazyjnymi gatunkami obcymi oraz okazami objętymi konwencją waszyngtońską (CITES), oferowanymi bez wymaganych dokumentów potwierdzających ich pochodzenie.

– *Czarnorynkowa cena dorosłego żywego tygrysa – zależnie od wieku, kondycji czy podgatunku – to zwykle 80–120 tys. zł. Młode osobniki są tańsze* – opowiada dr Kepel. – *Jeśli jednak taki tygrys padnie, koszty mogą się zwrócić z nawiązką. Części jego ciała mogą zostać sprzedane i przemycone na rynek azjatycki (w Polsce najczęściej jest to Wietnam) na potrzeby medycyny tradycyjnej lub do wyrobu dóbr luksusowych stanowiących symbol wysokiego statusu społecznego.* Według aktualnych szacunków międzynarodowych organizacji monitorujących taki handel na szczątkach tygrysa można zarobić nawet 300 tys. zł.

Ekspert mówi, że jako biegły sądowy zetknął się ze sprawami dotyczącymi nielegalnie przetrzymywanych makaków, tygrysów, lampartów, rysi, oryksów, kułanów, pekari i skorpionów. W Polsce bezprawnie posiadane są także zwierzęta wielu innych gatunków stwarzających zagrożenie, m.in. lwy, pawiany, zebry, krokodyle oraz śmiertelnie jadowite węże i pająki, a z rodzimych – wilki, rysie, a nawet niedźwiedzie. – *Tygrysy czy pumy trzymane w Polsce przez osoby fizyczne pochodzą głównie z Czech i Słowacji. Tam przepisy dotyczące przetrzymywania takich zwierząt są dużo bardziej liberalne. Według naszej wiedzy rodzą się również u polskich hodowców* – zaznacza dr Kepel.

Wypij wino z kota

Jedna z najbardziej makabrycznych spraw związanych z hodowlą dużych kotów dotyczyła właśnie Czech. W 2018 r. sukcesem zakończyło się pięcioletnie śledztwo prowadzone przez czeską policję, służby celne i inspektorat ochrony środowiska. W magazynie w Pradze znaleziono odłączoną od prądu zamrażarkę, a w niej rozkładające się szczątki tygrysów, lwów i pum. W szopie obok leżał dopiero co zabity osobnik. Organizacja ochrony tygrysów Four Paws podała, że strzelono mu w oko, by cenne futro pozostało nieuszkodzone.

„The Guardian" pisał, że na pierwsze dowody podejrzanego procederu służby celne natrafiły w 2013 r., gdy w furgonetce prowadzonej przez Wietnamczyka znalazły worek z kośćmi tygrysów. Kilka miesięcy później odkryto szkielety dwóch osobników w głośnikach wysyłanych do Hanoi. Później w ręce służb wpadały kolejne dowody, takie jak tzw. wino tygrysie czy kostki bulionowe z wygotowanych kości. Pierwszy z wymienionych produktów to napój alkoholowy na bazie kości tygrysa, który osiąga bardzo wysokie ceny na czarnym rynku. Drugi, również nielegalny, jest wykorzystywany w tradycyjnej azjatyckiej medycynie.

W 2015 r. czeski rząd zlecił kontrolę w fermach tygrysich w całym kraju. W ten sposób udało się odkryć wietnamsko-czeską siatkę przestępczą. Oficjalnie zwierzęta były hodowane dla cyrków i prywatnych minizoo, ale część z nich zabijano, by sprzedawać do Wietnamu kości, skóry i pazury oraz wykonane z nich produkty.

Zostań „anarchistą z zasady"

Zdaniem dr. Kepela nie ma jednej odpowiedzi , dlaczego ludzie decydują się na to, by nielegalnie trzymać niebezpieczne zwierzęta. Dla niektórych to czysty biznes, a zwierzęta są towarem. W przypadku innych wiąże się to z dreszczykiem emocji. Są tacy, którzy chcą znajomym zaimponować tygrysem w klatce albo jadowitym pająkiem. Trafiają się też „zakręceni kolekcjonerzy", którzy pragną zebrać komplet gatunków z danego rodzaju. Albo „anarchiści z zasady", działający w myśl dewizy „nikt nie będzie mi mówił, co mogę trzymać w domu". ▶

eprasa.pl 196cd999bb

▶ Niektórzy hodowcy przypisują sobie szlachetne intencje. Jak Łukasz Chamioło, który – poza innymi zwierzętami – w klatkach w ogródku w małopolskim Czchowie od siedmiu lat trzyma dwa lwy i tygrysa. W rozmowach z mediami podkreśla, że bardzo kocha swoje zwierzęta. „Codziennie je karmię z ręki i głaszczę (...). Zawsze starałem się, żeby wszystko było tak, jak należy, a przede wszystkim zależy mi na obronie tych zwierząt" – mówił przed sądem. Innego zdania jest prokuratura, która zarzuca mu, że zwierzęta nabył nielegalnie oraz że się nad nimi znęca.

Chamioło według ustaleń prokuratury miał kupić dzikie koty, wykorzystując wspomnianą furtkę cyrkową. Usunięcie tej luki prawnej w 2021 r. zezwalało istniejącym cyrkom na zatrzymanie zwierząt, ale w ocenie prokuratury Chamioło nigdy tego rodzaju działalności nie prowadził.

Nie przejmuj się niebezpieczeństwem

Jak pokazuje przykład pumy spod Koszalina, takie zwierzęta czasem uciekają. Nie jest to zresztą pierwszy przypadek w tym rejonie. We wrześniu 2025 r. w gminie Będzino fotopułapka dwukrotnie uchwyciła inną pumę, dorosłą, znaleziono też odciski łap. Jej losy są jednak nieznane. W naturalny sposób pojawiają się pytania o bezpieczeństwo ludzi – szczególnie gdyby jakieś zwierzę było w stanie przetrwać dłużej.





Dzikie koty Łukasza Chamioły z Czchowa, który twierdzi, że dba o nie i bardzo je kocha. Prokuratura jest innego zdania. Powyżej: **celebrycką karierę puma Nubia zawdzięczała rzekomej działalności cyrkowej swojego właściciela. W 2021 r. tę lukę prawną usunięto.**

Większość zwierząt niebezpiecznych w razie ucieczki z hodowli na dłuższą metę nie dałaby sobie rady w naszym klimacie. – *Zimy na pewno nie przetrwałyby skorpiony czy różne gatunki egzotycznych jadowitych węży. Niektóre, jak małpy, lgnęłyby zapewne do ludzi, więc zostałyby łatwo zauważone i szybko odłowione* – precyzuje dr Kepel. Dodaje, że mógłby u nas przeżyć tygrys, jednak osobniki z hodowli raczej słabo polują, więc najprawdopodobniej jednak nie byłby w stanie przetrwać. No i najpewniej szybko popadłby w konflikt z człowiekiem, co mogłoby mieć tragiczne skutki. Z dużym prawdopodobieństwem poradziłyby sobie natomiast rysie czy wilki albo hybrydy psa z wilkiem. – *Te ostatnie są szczególnie niebezpieczne w przypadku porzucenia lub ucieczki, ponieważ nie boją się ludzi* – ostrzega przyrodnik.

Jeśli chodzi o odłowioną pumę, to prof. Kowalczyk przestrzegał przed zbędną paniką, wskazując, że zwierzę na nagraniach jest ciekawskie, ale nieagresywne. Trochę strachu najadła się Katarzyna Lesner z Fundacji Larus, której udało się zlokalizować je w pobliżu pustostanu we wsi Karsinka i wezwać służby oraz weterynarzy. – *Puma mnie przepłoszyła. Nie był to atak. Po prostu chciała mnie przepędzić z terenu, który uznała za swój* – tłumaczy.

Spodziewaj się umorzenia

Dlaczego nielegalne hodowle niebezpiecznych zwierząt wciąż są problemem? Dr Kepel mówi, że choć polskie przepisy dotyczące ochrony przyrody są restrykcyjne, to ich egzekwowanie często okazuje się iluzoryczne. Dotyczy to także zwalczania nielegalnego importu, posiadania i handlu gatunkami niebezpiecznymi, a także czarnorynkowego obrotu gatunkami chronionymi i inwazyjnymi gatunkami obcymi. – *Większość takich spraw, jeśli w ogóle zostają wszczęte, kończy się umorzeniem* – mówi. – *Policja i prokuratura niechętnie je podejmują, ponieważ żywych zwierząt często nie ma gdzie umieścić. Choć od 2022 r. obowiązuje ustawa o Centralnym Azylu dla Zwierząt, ten wciąż nie powstał. Ogrody zoologiczne nie mają wolnych miejsc dla osobników z czarnego rynku, podobnie jak większość prywatnych schronisk.*

Są jeszcze inne trudności. Przyrodnik zwraca uwagę na to, że o ile bezkręgowce (skorpiony czy pająki) można uśmiercić, to jadowitych węży – nie mówiąc już o dużych kotowatych czy małpach – zasadniczo nie wolno. Jako kręgowce podlegają ochronie na mocy ustawy o ochronie zwierząt. A na dodatek wiele gatunków niebezpiecznych jest przy tym jednocześnie zagrożonych wyginięciem. – *No i trzeba pamiętać, że od ujawnienia przestępstwa do orzeczenia przepadku zwierząt mogą upłynąć lata.*

Prawda jest też taka, że organy ścigania unikają prowadzenia spraw dotyczących dziko żyjących zwierząt, bo często brakuje im odpowiednich kompetencji. – *Trudno się temu dziwić. Sprawy te trafiają zwykle do wydziałów do walki z przestępczością gospodarczą, które na co dzień zajmują się zupełnie innymi zagadnieniami, niewymagającymi wiedzy zoologicznej ani znajomości przepisów prawa przyrodniczego. Wciąż nie mamy wyspecjalizowanej służby ani choćby komórki zajmującej się zwalczaniem tego typu przestępstw* – podsumowuje dr Kepel.

ROBERT JURSZO

© POWIATOWY INSPEKTORAT WETERYNARII W BRZESKU, JACEK KOZIOŁ/SE/EAST NEWS

eprasa.pl 196cd999bb

Odys na kryzys

Kim był grecki arcypoeta i dlaczego jego dzieła nadal są aktualne, tłumaczy prof. Marek Węcowski, historyk starożytności, autor książki „Homer na nasze czasy”.



ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA: **– Co sprawia, że po trzech tysiącach lat wciąż chcemy Homera czytać, ekranizować, jak teraz Christopher Nolan, i – jak pan – pisać o nim książki?**

MAREK WĘCOWSKI: – Anthony Snodgrass, wybitny brytyjski badacz starożytnej Grecji, zauważył kiedyś z przekąsem, że każdy badacz starożytności chciałby napisać książkę o Homerze, a każdy inny chciałby go od tego odwieść. Ma rację. Homer pozwala nam dotrzeć do momentu, w którym wszystko się zaczyna: grecka literatura, kultura i cywilizacja. Jest źródłem niemal wszystkiego, co Hellenowie po sobie zostawili, a zarazem wiemy o nim zaskakująco niewiele, stąd pokusa, by się nim zająć. Mało kto wie, że Lawrence z Arabii pod koniec życia przetłumaczył „Odyseję” i napisał do niej niezwykle interesujący wstęp, w którym próbował odtworzyć psychologiczny portret autora eposu. Słowem: od starożytności próbujemy nie tylko zrozumieć dzieła Homera, ale też odnaleźć człowieka, który za nimi stoi.

Człowieka czy ludzi, bo z pana książki wynika, że Homerów mogło być dwóch?

Od stuleci badacze dzielą się na unitarystów, którzy uważają, że „Iliada” ▶

eprasa.pl 196cd999bb

▶ i „Odyseja" wyszły spod ręki jednego genialnego twórcy, oraz „rozdzielaczy", twierdzących, że stoją za nimi dwaj różni poeci. Kiedy zaczynałem pracę nad książką, skłaniałem się ku tym pierwszym. Im bardziej jednak zagłębiałem się w temat, tym więcej dostrzegałem różnic między oboma eposami w sposobie patrzenia na świat, konstrukcji opowieści czy wrażliwości artystycznej. Już Pseudo-Longinos, krytyk literacki z I w. n.e., pisał, że „Iliada" jest jak słońce w południe, a „Odyseja" – jak osłabłe, zachodzące. To trafna obserwacja – pierwszy epos emanuje energią, drugi jest bardziej refleksyjny.

Może „Iliadę" pisał Homer jako młodzieniec, a „Odyseję" jako dojrzały mężczyzna?

Tak sądzono. Pomiędzy tymi dwoma eposami są jednak zbyt duże różnice – w starszym mamy rozbudowane porównania homeryckie, wielkie sceny bitewne, niezwykłą koncentrację na heroizmie i wojnie. Autor „Odysei" interesuje się zaś czymś innym: z fascynacją opisuje sad Laertesa, organizację gospodarstwa czy sposób produkcji serów w jaskini Polifema. Patrzy na świat bardziej jak obserwator codzienności niż piewca wielkich czynów. To wszystko można do pewnego stopnia wytłumaczyć różnicą tematu obu eposów, ale co najważniejsze, poeta „Odysei" jest też bardziej zainteresowany samą naturą poezji, śledzi literackie nowinki. Ponieważ człowiek na starość rzadko tak radykalnie zmienia styl i twórczą wrażliwość, trudno mi uwierzyć, że mamy do czynienia z jednym twórcą.

Czyli było dwóch poetów?

To najbardziej prawdopodobne, może mistrz i uczeń. Autor odrobinę młodszej „Odysei" znał i podziwiał „Iliadę", i świadomie do niej nawiązywał, jednocześnie próbował stworzyć coś własnego. W dodatku „Iliada" ma elementy dialektu wschodniojońskiego i poeta znał z autopsji zachodnią Azję Mniejszą, o czym świadczą pewne detale. Jego hipotetyczny uczeń pochodził być może z Eubei – w „Odysei" jest bowiem więcej wpływów zachodniojońskiego i występują wątki świadczące o znajomości tego regionu. Twórca interesuje się także eksplorowanym przez Eubejczyków światem na zachód od Morza Egejskiego.

A skąd imię Homer?

Od Homerydów (*Homēridai*), pieśniarzy z wyspy Chios. Dopiero później Grecy zaczęli łączyć z żywym człowiekiem imię Homer, którego etymologia nie jest do końca jasna.

Według żyjącego w IV w. p.n.e. Efora z Kyme w eolskim miało oznaczać ślepca.

Musimy więc przyjąć bogactwo tradycji na temat fizyczności Homera. Na monetach z wyspy Ios dumnie patrzy przed siebie. Jego ślepota to zatem późna tradycja, wzorowana zapewne na postaci niewidomego barda Demodokosa z „Odysei" – w VI w. nazywano go już „ślepym starcem z Chios".

Ta wyspa jest jednym z co najmniej siedmiu miejsc, które uważały się za ojczyznę tego genialnego poety. W sprawie jego pochodzenia narosło przez wieki mnóstwo legend.

Wedle jednej z nich jego matką była śmiertelniczka Kretheis z Ios, którą wygnano ze Smyrny, gdzie mieszkała, gdy zaszła w niechcianą ciążę. Wedle innej jego rodzicami byli nimfa i bóg płynącej w pobliżu Smyrny rzeki Meles, stąd imię Melesigenes, które mitycznie odczytywano jako „zrodzony z Melesa". Naprawdę jednak można je przetłumaczyć jako „ten, który sławi-swój ród". Może to prawdziwe imię autora „Odysei", później wyparte przez mitycznego założyciela Homerydów, wciąż jednak pamiętane w tradycji lokalnej?

A pamięć starożytni mieli doskonałą. Potrafili choćby melorecytować całe eposy.

Rzeczywiście wykorzystywali olbrzymie możliwości ludzkiej pamięci. Legenda głosiła, że gdy poeta Symonides wyszedł cało z katastrofy, jaką było zawalenie się sali biesiadnej, potrafił wskazać rodzinom ciała wszystkich ofiar, bo dokładnie pamiętał, kto gdzie się w momencie zdarzenia znajdował. Między innymi dlatego do lat 80. XX w. dominował pogląd, że Homer był niepiśmienny i eposy wyrosły z tradycji oralnej, a później jeszcze długo funkcjonowały bez udziału pisma.

Odkrycie w latach 50. w greckiej kolonii na Ischii w Zatoce Neapolitańskiej tzw. Czary Nestora (z napisem: „Jestem pięknym kubkiem Nestora. Kto z tego kubka się napije, tego natychmiast ogarnie pragnienie pięknie uwieńczonej Afrodyty") podważyły wizję oralistów. Nie dość, że tekst powstał w 740–730 r. p.n.e. – w tym czasie, co eposy homeryckie – to jeszcze odnosi się do postaci z „Iliady"?

I na pewno nie jest dziełem kogoś, kto dopiero próbował wydrapać swoje pierwsze litery. Kiedy przyjrzymy się bliżej temu napisowi, widać, że jego wykonawca nie był amatorem. Jest on bowiem niezwykle staranny, zapisany drobnymi literami na twardej ceramice i podzielony zgodnie z zasadami wersyfikacji poetyckiej. Pojawiają się nawet znaki pomagające oddzielać poszczególne człony metryczne. Poezję zatem już wówczas Grecy zapisywali w sposób profesjonalny. Również twórcy „Iliady" i „Odysei" mogli posługiwać się pismem, co nie oznacza, że tradycja ustna przestała istnieć.

Pisze pan, że nie wszyscy byli o tym przekonani.

Rhys Carpenter, wybitny amerykański znawca starożytnej Grecji, kiedy zobaczył publikację napisu, doznał dysonansu poznawczego. Według obowiązujących wówczas teorii równie rozwinięta kultura pisma nie mogła istnieć tak wcześnie. Zamiast więc zmienić pogląd, uznał, że z zabytkiem musi być coś nie w porządku. Stwierdził, że napis wykonano dopiero ok. 200 lat po wyprodukowaniu samego naczynia i następnie umieszczono je z powrotem w grobie. Tak jak kiedyś zwolennicy piśmiennego Homera musieli tłumaczyć, dlaczego uważają, że poeta znał alfabet, dziś oraliści muszą wyjaśniać, dlaczego ignorują rosnącą liczbę świadectw wskazujących na obecność w świecie Homera pisma. I to służącego m.in. do zapisu poezji. Spór trwa.

Według pana po „Iliadę" i „Odyseję" sięgamy najczęściej w czasie kryzysów, wojen i wielkich katastrof. Dlaczego?

Bliskość Homera wobec naszych doświadczeń nie wynika wyłącznie z tego, że potrafił on opisać wojnę czy ludzkie cierpienie. Francuska filozofka Simone Weil w napisanym podczas drugiej wojny światowej eseju „Iliada jako poemat mocy" kluczem do interpretacji otaczającego ją szaleństwa uczyniła epos. Stwierdziła, że jest on poematem o sile i przemocy, która dotyka zarówno zwycięzców, jak i pokonanych. Obydwa dzieła homeryckie powstały w epoce gwałtownych przemian, gdy świat Greków zmieniał się politycznie, społecznie i kulturowo. Opowiadając w „Iliadzie" o koalicyjnej wojnie toczonej wspólnie przez Achajów rzekomo w czasach – jak my je nazywamy – mykeńskich, Homer zastanawiał się nad współczesnymi sobie napięciami wewnątrz helleńskich wspólnot oraz konfliktami pomiędzy greckimi państewkami. A w „Odysei" wykorzystywał opowieści o potworach i mitycznych krainach śródziemnomorskiego

eprasa.pl 196cd999bb

zachodu, gdy Grecy już osiedlali się na tych obszarach i poznawali je coraz lepiej. W tym wszystkim pokazał, jak ludzie próbują odnaleźć się w niestabilnym świecie, co jest doświadczeniem uniwersalnym i czyni jego eposy aktualnymi do dziś.

Jeszcze 20 lat temu wydawało się, że bohaterem naszych czasów jest Achilles. Powstała hollywoodzka „Troja", fascynowano się superwojownikiem. Teraz mamy wysyp ekranizacji „Odysei" – w 2024 r. Uberto Pasolini, teraz wspomniany Christopher Nolan. Dlaczego dziś Odyseusz tak silnie przemawia do twórców? Czyżby teraz było nam do niego bliżej?

Zdecydowanie tak. „Iliada" to poemat młodości: bohaterowie walczą, ryzykują, zdobywają sławę, giną piękną śmiercią. Taką postawę uosabia Achilles. Bohater „Odysei" jest jego przeciwieństwem – wiele przeżył, więc wie, czym jest strata, porażka czy rozczarowanie. I jest wręcz za stary na klasycznego herosa. Dlatego Atena musi go odmładzać i dodać mu blasku, by mógł zrobić wrażenie na Nauzykai, pokonać zalotników i odzyskać miejsce u boku Penelopy. To dwa etapy życia każdej jednostki, ale może też dwa etapy życia naszej cywilizacji?

„Odyseja" jako epos ludzi w średnim wieku?

Coś w tym jest. Odyseusz nie walczy już o sławę, tylko o dom, rodzinę i własną tożsamość. Wraca z długiej podróży, musi się na Itace odnaleźć na nowo. Myślę, że nie tylko mi jest to bliskie z racji wieku. Żyjemy przecież w czasach olbrzymich zmian, z którymi musimy się mierzyć. Poza tym dziś mało kto marzy o bohaterskiej śmierci na polu bitwy. Współczesny świat nauczył nas, że nie wszystkie problemy można rozwiązać siłą, częściej potrzebujemy cierpliwości, zdolności do adaptacji i umiejętności odnalezienia się w nieznanej rzeczywistości. To cechy Odyseusza, dlatego to on wydaje się bohaterem na nasze czasy.

Zapowiedź filmu Nolana wywołała burzę krytyki. Że zbyt zamerykanizowany i unowocześniony, że źle dobrani aktorzy, że reżyser nie trzyma się eposu. Zgadza się pan z tym?

Absolutnie nie! Po obejrzeniu już wiem, że ci krytycy dali się nabrać zręcznej kampanii reklamowej. W filmie nic nie wygląda tak, jak im się wydawało. Na pewno jest to najciekawsza z dotychczasowych ekranizacji „Odysei". A pod pewnymi względami – najwierniejsza Homerowi. Namawiam do obejrzenia, bo to bardzo ważny film. I na pewno coś nam próbuje powiedzieć o naszych czasach.



Prof. dr hab. **Marek Węcowski** pracuje na Wydziale Historii Uniwersytetu Warszawskiego, jest badaczem starożytnej Grecji, autorem książek naukowych i popularnonaukowych na temat antyku.

„Iliada" i „Odyseja" powstały w kluczowym politycznym momencie w dziejach Grecji.

Wielki historyk starożytności Kurt Raaflaub nazwał je pierwszymi europejskimi traktatami politycznymi. Oczywiście nie w takim sensie jak późniejsze dzieła Platona czy Arystotelesa, bo Homer nie tworzy teorii, tylko eposy pokazujące politykę w działaniu: jej siłę, ograniczenia i towarzyszące jej nieuchronnie konflikty, np. napięcie między wspólnotą a wybitną jednostką. To był poważny problem, leżący u podstaw greckich *poleis* (liczba mnoga od *polis*), które z jednej strony opierały się na wspólnocie obywateli, z drugiej nie mogły istnieć bez wielkich wodzów i polityków. Achilles był największym wojownikiem obozu Achajów, bez którego zdobycie Troi byłoby niemożliwe. Wystarczyła jednak urażona ambicja, aby wycofał się z walki, a nawet życzył klęski współtowarzyszom, aby im udowodnić, jak bardzo go potrzebują.

A Odyseusz?

Jest najbardziej przenikliwym politykiem i wodzem w całym świecie Homera. Potrafił negocjować, przekonywać i planować, jednak chociaż odpowiada za swoich ludzi, żaden z nich nie wraca do domu – wygubił wszystkich po drodze. Gdy sam wraca na Itakę, morduje zalotników żony, czyli znaczną część młodzieży własnego królestwa. Niby ma rację, jednak nie jest to czyn godny mądrego władcy. Tak jak Achilles w istocie niszczy własną wspólnotę.

Czyli i on nie jest całkiem bez wad.

I dlatego jest tak przekonujący. Homer nie tworzy bohaterów bez skazy. Pokazuje ludzi wybitnych, którzy jednocześnie przynoszą swoim wspólnotom zagrożenie. Homer stawia pytanie, które pozostaje aktualne: jak pogodzić interes wspólnoty z ambicjami jednostki? I to jest według mnie jedno z najważniejszych pytań jego twórczości i źródło jej aktualności, bo to przecież mechanizmy polityczne, które działają we współczesnych demokracjach.

Po przeczytaniu pana książki można odnieść wrażenie, że „kwestia homerycka" przypomina niekończące się śledztwo. Czy jest szansa, że kiedyś uda się je zamknąć?

Mam nadzieję, że nie. Część siły Homera bierze się właśnie z tego, że pozostaje tajemnicą, a pytania o genezę „Iliady" i „Odysei" przez długi czas należały do najważniejszych sporów intelektualnych Europy. W pewnym sensie można je porównać do debat o Biblii albo do sporów o początki cywilizacji, bo prowadzą do źródeł naszej kultury. Dlatego od tysięcy lat czytamy go i zadajemy mu nowe – a może wciąż te same – pytania.

Na przykład: czy na „Odyseję" można patrzeć jak na zapis traumy wojennej?

Zarówno Achillesa, jak i Odyseusza próbowano odczytywać przez pryzmat doświadczeń ludzi wracających z wojny. Szczególnie interesujące są prace psychiatry Jonathana Shaya, który pracował z weteranami wojny w Wietnamie. Opowiadali własne historie i konfrontowali je z doświadczeniami bohaterów Homera. Powstała cała sieć klinik wykorzystujących podobne metody. Świadczy to o tym, że „Iliada" i „Odyseja" nadal pomagają ludziom rozumieć własne doświadczenia. Zwłaszcza w naszych czasach, kiedy wojna, jak ta w Ukrainie, stała się znowu „normalnością" Europy i świata, a ludzie z niej powracający będą wśród nas coraz liczniejsi.

Czy Europa byłaby inna bez Homera?

Na pewno. Nie wiem, czy lepsza, pewnie gorsza. Ale jestem przekonany, że również nasza przyszłość byłaby inna, gdybyśmy przestali go czytać. Mam nadzieję, że tak się nie stanie.

ROZMAWIAŁA AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Wideokast, którego gościem był prof. Marek Węcowski, można zobaczyć tutaj: https://www.polityka.pl/podkasty/politykaohistorii/2349487,1,czy-homer-przewidzial-nasza-przyszlosc-badamy-niezwykla-zagadke-autora-i-jego-dziel.read

© LESZEK ZYCH

eprasa.pl 196cd999bb

ESEJ



Siatka Polka

Rozproszenie ludności w niewielkich i odległych skupiskach to przyczyna wielu problemów Polski i Polaków: od wykluczenia komunikacyjnego do ograniczeń w opiece zdrowotnej.

JANUSZ A. MAJCHEREK

Specyfiką i podstawową ułomnością polskiej struktury osadniczej jest niski poziom urbanizacji. Wciąż ok. 40 proc. Polaków mieszka na wsi, co plasuje nas wśród europejskich outsiderów, takich jak Rumunia, Serbia, Słowacja i Mołdawia. Średni europejski wskaźnik ludności wiejskiej to poniżej 25 proc. W Mołdawii udział ludności wiejskiej w populacji rośnie tak jak w Polsce. Od 2000 r. liczba mieszkańców wsi zwiększyła się u nas z 14,7 do 15,2 mln. Owszem, to w pewnym stopniu wynik suburbanizacji, czyli przeprowadzek mieszkańców miast na nominalnie wiejskie obrzeża przy zachowaniu względnie bliskiej więzi z głównym ośrodkiem. Proces ten jednak pogłębia problemy wynikające z rozproszonej sieci osadniczej: zwiększa koszty budowy i utrzymania infrastruktury, utrudnia i podraża komunikację, pogarsza dostępność usług publicznych, nasila wpływ człowieka na tereny cenne przyrodniczo.

Cechą polskich terenów wiejskich jest niska zwartość ich zabudowy. Wieś zachodnioeuropejska to przeważnie gęste skupisko mieszkańców, przypominające małe miasto, a tereny uprawne rozciągają się rozlegle poza nim. W wielu regionach Polski domostwa i zagrody wiejskie zbudowane są zaś na własnych gruntach rolnych, co oznacza znaczne oddalenie między pojedynczymi zabudowaniami. Jak stwierdzają w opracowaniu „Wiejska sieć osadnicza Polski w XXI wieku" Robert Szmytkie i Przemysław Tomczak, „rozwój osadnictwa wiejskiego po II wojnie światowej cechowała duża żywiołowość, która odzwierciedlała się w chaotycznym rozmieszczeniu zabudowy wśród użytków rolnych", a wśród jej cech wymieniają „nadmierne rozdrobnienie form osadniczych" i „rozproszenie zabudowy wśród użytków rolnych".

To zaś prowadzi do nadmiernej i kosztownej rozbudowy infrastruktury – od sieci dróg, przez instalacje elektryczne, gazowe, wodociągowe, kanalizacyjne... O światłowodowych nie wspominając. Doprowadzenie ich do każdego z tych domostw pochłania dodatkowe koszty, nie mówiąc o negatywnym wpływie na środowisko, krajobraz, estetykę. Tymczasem archaiczne, zacofane, dysfunkcjonalne rozmieszczenie ludności nie powstrzymuje jej od oczekiwania, a coraz częściej żądania zaspokojenia potrzeb na miarę nowoczesności i cywilizacyjnego postępu.

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 196cd999bb

Przykładem jest wykluczenie komunikacyjne. Rozproszenie sieci osadniczej oznacza rozproszenie sieci transportowej. Doprowadzenie pociągu czy autobusu do każdej rozwleczonej wsi i każdego odległego przysiółka to przedsięwzięcie kosztowne i nieopłacalne, w praktyce nierealne. W Polsce mamy ponad 43 tys. wsi, a doliczając osady, kolonie i przysiółki, przekraczamy 52 tys. Niektóre liczą kilkadziesiąt, kilkanaście, a nawet jedynie kilku stałych mieszkańców. Zaspokojenie ich potrzeb na poziomie adekwatnym do standardów XXI w. jest przeważnie nieosiągalne, chociaż odnotowuje się np. stałą poprawę dostępności komunikacyjnej mieszkańców wsi, mierzoną czasem dojazdu do stolic powiatu, zwłaszcza transportem drogowym.

Problem dotyczy także często usług medycznych. To oczywiste, że trudno zaspokoić na wysokim poziomie potrzeby zdrowotne mieszkańców rozproszonych, rzadko zaludnionych siedzib ludności wiejskiej, zwłaszcza gdy te się jeszcze bardziej kurczą. Polska od kilku lat przechodzi bowiem pogłębiający się proces depopulacji, dotykający w znacznym stopniu także obszarów wiejskich.

Prawie 80 proc. gmin i niemal 90 proc. powiatów traci mieszkańców. Spośród 314 powiatów ziemskich ok. 280 wyludnia się. Niektóre gminne i powiatowe placówki usługowe – w tym oświatowe i medyczne – powstawały w czasach PRL, przy dodatnim przyroście naturalnym i z perspektywą wzrostu liczby ludności, co okazało się chybioną kalkulacją. Utrzymanie dotychczasowego stanu personelu przy spadającej liczbie mieszkańców staje się niemożliwe, ale plany ich likwidacji czy redukcji wywołują protesty.

Nagłaśniane zamykanie oddziałów położniczych w szpitalach powiatowych to oczywista reakcja na drastyczny spadek liczby porodów (z ponad 700 tys. w połowie lat 80. XX w. do niecałych 240 tys. w 2025 r.). Ponadto, co odnotowują statystyki (wysoka i rosnąca liczba porodów w największych miastach), przyszłe matki chętniej korzystają z usług wysokospecjalistycznych szpitali wielkomiejskich, dlatego prowincjonalne placówki tracą podopieczne. W zestawieniu Narodowego Funduszu Zdrowia są szpitale powiatowe, gdzie liczba porodów wynosi kilkadziesiąt rocznie, a te przyjmujące mniej niż jeden poród dziennie występują nader licznie. Na porodówce w Lesku, o której zamknięciu huczały media, w 2025 r. przyszło na świat 74 dzieci, czyli mniej niż dwoje tygodniowo.

Rozproszona sieć osadnicza wymagałaby rozproszonej sieci placówek usługowych – od stacji kolejowych, przez placówki medyczne, po oświatowe. Zagwarantowanie wszystkim równie wysokiego poziomu i łatwej dostępności jest niemożliwe (choćby z braku chętnych do świadczenia takich usług w małych, peryferyjnych ośrodkach). Likwidacja malutkich szkół wiejskich, do których uczęszcza kilkanaścioro uczniów, oznacza konieczność ich dojazdu do dalej położonych placówek. To oczywiście nie może się podobać im samym i ich rodzicom. A media chętnie podchwytują takie tematy: wykluczenie oświatowe, nierówne szanse edukacyjne, dyskryminacja dzieci wiejskich itd. To się niesie.

Problem w jeszcze większym stopniu dotyczy dostępu do szeroko rozumianej kultury. Niższy poziom kapitału kulturowego na rozproszonych obszarach wiejskich jest udokumentowanym faktem. Jak wykazały badania prowadzone na Podkarpaciu, a więc w regionie o najwyższym odsetku ludności wiejskiej (Wojciech Broszkiewicz, „Kapitał kulturowy członków peryferyjnego regionu w kształtującym się społeczeństwie informacyjnym"), odległość od dużego miasta przekłada się bezpośrednio na poziom kapitału kulturowego w rodzinie.

„Mieszkańcy wsi z uwagi na izolację przestrzenną od dużych ośrodków kultury są w dużej mierze skazani na bierną konsumpcję produkcji przemysłów medialnych, dostępną za pośrednictwem mediów elektronicznych. Równocześnie (co wykazało m.in. badanie »Wieś czy globalna wioska«) raczej nie mają nawyku kreatywnego korzystania z cyfrowych narzędzi komunikacji (nowych mediów). Są grupą, dla której przejście od modelu kultury hierarchicznej (w którym z natury rzeczy zawsze będą należeć do zagrożonych wykluczeniem) do kultury uczestnictwa może okazać się najtrudniejsze" – konstatowali i prognozowali autorzy raportu „Kultura a kapitał społeczny na wsi" z 2014 r. i te analizy i prognozy pozostały aktualne.

Przekłada się to na wybory polityczne. Województwa o najniższym wskaźniku urbanizacji, czyli podkarpackie, świętokrzyskie i lubelskie, należą do najuboższych (wg wskaźnika PKB per capita) i najwierniejszych zwolenników nacjonalistyczno-klerykalnej prawicy. To pokrywa się z danymi świadczącymi, że „najmniejszym rozdrobnieniem osadnictwa wiejskiego cechowały się województwa położone w zachodniej i północnej części kraju, a największym regiony leżące w Polsce centralnej i południowo-wschodniej" (za: Szmytkie i Tomczak). Rozproszone osadnictwo, niski kapitał kulturowy, niski poziom życia, wysokie poparcie dla populistycznej prawicy – to fakty. Jednak oferta kulturalna dla mieszkańców małych i rozproszonych wsi nie może być bogata. Nie ma tylu Siłaczek.

Problem jeszcze się pogłębia z powodu migracji do największych miast. Wyjeżdżają najzdolniejsi, najambitniejsi, o najwyższych aspiracjach. Co prawda bowiem „wieś i małe miasta to obszary, skąd ludzie relatywnie najmniej chętnie migrują, i gdzie stosunkowo najczęściej zdarza się, że mieszkają w jednym miejscu od kilku pokoleń", to „wykształcenie najwyraźniej sprzyja migracji, zapewne jest jej przyczyną" (raport CBOS z 2024 r.). Wyjeżdżają relatywnie lepiej wykształceni – w celu dalszego kształcenia.

A przyrost naturalny na wsi jest ujemny, współczynnik dzietności kobiet wiejskich wynosi 1,14. Wieś polska wyludnia się i starzeje. Według raportu i prognoz opracowanych pod auspicjami Komisji Europejskiej regiony wiejskie w Polsce będą do końca przyszłej dekady jednymi z najszybciej wyludniających się w Europie.

Wyludnianie niektórych gmin wiejskich może jednak mieć pozytywne skutki, nie trzeba bowiem doprowadzać do nich infrastruktury i utrzymywać jej, gdy nie ma dla kogo. Wskaźnik urbanizacji kraju wprawdzie nie rośnie (bo zdecydowana większość miast też traci mieszkańców), ale umacniają się i nabierają znaczenia największe ośrodki miejskie, mające największy wkład w rozwój kraju. PKB wytwarzany przez Warszawiaka jest trzykrotnie wyższy niż mieszkańca słabo zurbanizowanej Lubelszczyzny. Największe miasta mają największe możliwości zaspokajania potrzeb mieszkańców, co przyciąga kolejnych. Polskie centra cywilizacyjne krzepną. Niestety, polskie miasta także mają rozproszoną zabudowę i niższą gęstość zaludnienia niż ich zachodnioeuropejskie odpowiedniki, są – inaczej mówiąc – rozwleczone, co też rodzi problemy. Ale to już temat na inne opracowanie. ■

eprasa.pl 196cd999bb

Śmiech faraona

70 lat temu prezydent Gamal Abdel Naser odebrał Europejczykom Kanał Sueski. Potem niemal wszystko przegrał. Ale dla Egipcjan na zawsze pozostanie mistrzem ich emocji.

ŁUKASZ WÓJCIK

Zaczęło się od śmiechu, który wciąż brzmi w uszach wielu Arabów. Dla nich XX w. nie rozpoczął się po upadku Imperium Osmańskiego ani nawet po drugiej wojnie światowej, gdy część państw arabskich wybiła się na niepodległość. Wiek XX zaczął się od śmiechu, który wybuchł niekontrolowany niemal dokładnie 70 lat temu – 26 lipca 1956 r.

Jest siódma wieczór. Noc powoli zapada nad Placem Mohammeda Alego w Aleksandrii. Na trybunie pojawia się prezydent Egiptu Gamal Abdel Naser. Ma silny, metaliczny głos. Jak zawsze elegancki, w garniturze i pod krawatem, zdaje się epatować nowoczesnością. Lekko się uśmiecha, bierze mikrofon do ręki i zaczyna mówić. Ale to nie są słowa, do których Egipcjanie zdążyli się przyzwyczaić – wycyzelowane, eleganckie i ponure. Naser jest tym razem bezpośredni, wręcz wulgarny. Jako pierwszy rodzimy władca Egiptu od czasów Kleopatry wierzy, że przemawia w imieniu jego mieszkańców. Często powtarza: „Irfa' ra'sak ya khuya!" (Podnieś głowę, bracie!).

Ton Nasera zaczyna się zmieniać, gdy dochodzi do sedna. Przestaje się uśmiechać. Atakuje „imperialistów, którzy zastawili naszą przyszłość". Ludzie oczekują, że zaraz ogłosi sojusz ze Związkiem Radzieckim, ale on nadal o imperialistach – teraz krytykuje spółkę zarządzającą Kanałem Sueskim: „Odzyskamy zyski, jakie ta imperialistyczna firma – to państwo w państwie – osiągnęła, podczas gdy my umieraliśmy z głodu". Słuchacze



Egipcjanie po nacjonalizacji Kanału Sueskiego w 1956 r. rozbierają pomnik jego konstruktora Ferdinanda Lessepsa

eprasa.pl 196cd999bb

klaszczą z zachwytem, są oszołomieni i zdezorientowani. „Dziennik Urzędowy właśnie publikuje ustawę nacjonalizującą Towarzystwo Kanału Sueskiego. W tej właśnie chwili agenci rządowi przejmują kontrolę nad biurami firmy!".

Tłum na moment zamiera i zaraz potem wybucha. Podobnie jak Naser, który po chwili milczenia wpada w niekontrolowany śmiech. Kontynuuje: „Dziś wieczorem przejmuję kontrolę nad Towarzystwem w imieniu narodu egipskiego. Dziś wieczorem Kanałem Sueskim będą zarządzać Egipcjanie!". I śmieje się, śmieje, aż do dziś.

Jak napisze później jeden z zachodnich korespondentów, „nigdy żaden człowiek nie rzucił się na tak ryzykowną misję z taką radością". A jeszcze inny, już Egipcjanin, doda: „Naser pociągnął lwa (brytyjskiego – przyp. red.) za ogon. Niech Bóg ma nas w swojej opiece".

Mała międzygrupa

Sama akcja przejęcia kanału rozpoczęła się jeszcze w trakcie aleksandryjskiego przemówienia Nasera. Prezydent Egiptu nie przypadkiem 13 razy wspomniał w nim nazwisko Ferdinanda Lessepsa, konstruktora kanału, co było hasłem do ataku. Jednostki wojskowe odebrały je za pośrednictwem radia, które na żywo transmitowało słowa prezydenta.

Jak pisze Philip Zelikow w nowej książce „Suez Deconstructed" (Suez zdekonstruowany), Naser szukał pretekstu, aby przejąć Kanał Sueski. Taki trafił się w 1955 r., gdy prezydent USA Dwight Eisenhower odmówił sprzedaży broni Egiptowi. Wtedy znajomy Nasera, chiński premier Zhou Enlai, poradził mu skontaktować się w tej sprawie z blokiem wschodnim, a konkretnie z Czechosłowacją. Jeszcze w tym samym roku czechosłowacka broń popłynęła do Egiptu. Oczywiście za zgodą ZSRR.

Przejęte tym ruchem kraje zachodnie początkowo obiecały Naserowi pomoc finansową przy budowie Tamy Asuańskiej. Ale gdy Egipcjanin mimo pierwszych zachodnich pożyczek nadal utrzymywał geopolityczną dwuznaczność, 18 lipca 1956 r. sekretarz stanu USA John Foster Dulles wycofał ofertę pomocy finansowej USA w celowo obraźliwej nocie skierowanej do Egiptu.

Naser się nie przestraszył. Pochodził z tzw. małej międzygrupy, którą tak wdzięcznie opisywał w swoich powieściach egipski noblista Nadżib Mahfuz. W pierwszej połowie XX w. społeczeństwo egipskie było dramatycznie podzielone. Panowała bardzo nieliczna, arcybogata plutokracja o korzeniach zasadniczo nieegipskich – bałkańskich, tureckich czy kaukaskich. Po drugiej stronie były masy arcybiednego, egipskiego chłopstwa. Naser, którego ojciec był listonoszem, w swoim drobnomieszczaństwie mieścił się gdzieś pośrodku.

W połowie XX w. z tej „małej międzygrupy" zaczęła wyłaniać się nowa elita państwa. Drobnomieszczańscy rodzice tych młodych ludzi, choć sami nie zawsze umieli czytać, bardzo dbali o to, aby ich synowie (bo nie córki) zaszli dalej. A najszybszą windą awansu społecznego w takich krajach jak Egipt było wojsko. Stąd niemal wszyscy inspiratorzy obalenia króla Faruka w 1952 r. to byli stosunkowo młodzi oficerowie. A wśród nich ten najzdolniejszy, czyli Gamal Abdel Naser.

Po tzw. rewolucji wolnych oficerów i wyjeździe króla władzę nominalnie przejął generał Muhammad Nadżib, ale to tylko dlatego, że rzeczywiści przywódcy, w tym Naser, uważali, że na okres przejściowy potrzebny im będzie ktoś rozpoznawalny, cieszący się uznaniem w kraju i za granicą. Dlatego Brytyjczycy nie zareagowali od razu. Jak pisze Zelikow, „byli przekonani, że jeszcze dogadają się z nowymi władzami – tak jak to robili w przeszłości".

Przesmyk w nowoczesność

Wielka Brytania rządziła Egiptem w taki czy inny sposób od 1882 do 1922 r., kiedy to protektorat uzyskał nominalną niepodległość. Nadal jednak Londyn wpływał na sprawy Egiptu, utrzymując tam wojska i wspierając słabą monarchię. Najważniejszy był dla niego Kanał Sueski, którego akcje kupił premier Benjamin Disraeli w 1875 r. Do 1956 r. przez kanał przepływało prawie dwie trzecie brytyjskiej ropy naftowej, a od 1945 r. dla zrujnowanej wojną Wielkiej Brytanii transport tego surowca przez Suez i płynące z tego korzyści były niezbędne dla odbudowy kraju. Nie mówiąc już o utrzymaniu globalnego prestiżu Londynu.

Z kolei dla wielu Egipcjan przejęcie Kanału Sueskiego było jak odzyskanie władzy nad własnym ciałem przez sparaliżowanego dotychczas człowieka. Trudno przecenić jego znaczenie dla kraju położonego na styku Afryki i Azji, w dodatku nad Morzem Śródziemnym, czyli w tym obszarze świata, który Fernand Braudel nazwie później „przestrzeń–ruch".

Sam kanał, skonstruowany w drugiej połowie XIX w. przez wspomnianego Lessepsa pod patronatem ówczesnego kedywa Egiptu, Ismaila Paszy, miał się stać dla tego kraju „przesmykiem w nowoczesność", a jednak – pod europejskim zarządem – na całe dekady stał się symbolem geograficznego i ekonomicznego wywłaszczenia Egiptu.

Nacjonalizacja kanału miała konkretne globalne konsekwencje. Po pierwsze, Egipt niemal z dnia na dzień stał się wyrazicielem roszczeń tzw. trzeciego świata. Naser był jednym z pomysłodawców pierwszego spotkania przywódców tej grupy w Bandungu w 1955 r. I choć jego rola ostatecznie okazała się dość symboliczna, wielu przywódców państw niezaangażowanych przywoływało ruch Nasera jako dowód na to, że nawet najbardziej sparaliżowane ciało państwowe można uzdrowić.

Po drugie, nacjonalizacja kanału wstrząsnęła światowym rynkiem ropy naftowej. Nie tylko w sposób bezpośredni (blokada przejścia z Morza Śródziemnego na Czerwone), była też inspiracją dla nacjonalizacji złóż ropy w wielu krajach, które dotychczas były eksploatowane przez państwa zachodnie. Doprowadziło również pośrednio do powołania Organizacji Państw Eksportujących Ropę Naftową (OPEC), która za cel postawiła sobie kontrolę cen tego surowca – w ciągu dekady po Suezie ropa zdrożała ponad trzykrotnie.

Dla samego Nasera nacjonalizacja kanału – tak jak kiedyś jego budowa dla Ismaila Paszy – miała być przesmykiem w nowoczesność, przede wszystkim gospodarczą. Pobieranie opłat za przepływ miało zapewnić fundusze na dokończenie budowy Tamy Asuańskiej, a więc ogromnego kompleksu elektrowni wodnych. Ten z kolei miał dostarczyć energię elektryczną niezbędną do modernizacji całego kraju, włączyć go w tryby nowoczesnej światowej gospodarki.

Po latach można powiedzieć, że Naser nie zrozumiał losu swojego wielkiego poprzednika Ismaila Paszy. Z jednej strony obaj nie mieli innego wyjścia – ich Egipty były tak zapóźnione, że jedynym rozwiązaniem wydawało się odgórne narzucenie nowoczesności w sferze ekonomicznej, szczególnie za pomocą wielkich inwestycji – jak budowa Kanału Sueskiego – licząc ▶

© ALAMY/BE&W

eprasa.pl 196cd999bb

▶ na to, że z czasem wymusi to nowoczesność w innych sferach życia publicznego.

Ale żeby to osiągnąć, Ismail Pasza ciężko zapożyczył kraj i na początku próbował ukrywać brak postępów, finansując pozorną nowoczesność, choćby zamówieniem u Giuseppe Verdiego opery „Aida" w związku z otwarciem kanału. Niewiele to pomogło, inwestycje nie przyniosły zwrotu. Ismail Pasza nie miał z czego spłacać zaciągniętych na Zachodzie pożyczek i, paradoksalnie, jeszcze bardziej uzależnił kraj od imperiów kolonialnych, przede wszystkim od Wielkiej Brytanii.

Skutki krótkiej wojny

W 1956 r. Brytyjczycy nie zamierzali czekać na bankructwo Nasera. Wymyślony przez Francuzów i podchwycony przez Brytyjczyków plan odzyskania Kanału Sueskiego był jednak niebezpiecznie naiwny. Otóż Europejczycy dogadali się z Izraelem, że ten uderzy pierwszy. Tym bardziej że miał ku temu powody, chociażby ataki sponsorowanych przez Egipt terrorystów z Synaju. I gdy już izraelskie jednostki zbliżą się do kanału, wtedy Londyn i Paryż wystąpią w roli obrońców pokoju, ich żołnierze jako pseudorozjemcy wylądują w strefie kanału i już tam pozostaną.

29 października 1956 r. wszystko poszło zgodnie z planem, to był militarny sukces. I jednocześnie polityczna katastrofa. Pierwszy interweniował premier Nikołaj Bułganin, który ostrzegł, że Związek Radziecki jest gotowy wystrzelić rakiety balistyczne z głowicami jądrowymi w kierunku Wielkiej Brytanii, Francji i Izraela, jeśli te się nie wycofają. Eisenhower i Dulles, próbując uniknąć konfrontacji ze Związkiem Radzieckim, zagrozili sankcjami gospodarczymi wobec Izraela, jeśli nie wycofa się z Synaju, a Wielkiej Brytanii – sprzedażą brytyjskich obligacji, co doprowadziłoby Londyn do bankructwa.

2 listopada w ONZ amerykańska rezolucja domagająca się zawieszenia broni została przyjęta większością 64 do 5 głosów, a Rosjanie pierwszy raz głosowali razem ze Stanami Zjednoczonymi. 7 listopada było po wszystkim – Brytyjczycy zgodzili się na zawieszenie broni i wycofali swoje siły, tak samo zrobili Francuzi.

Konsekwencje tej krótkiej wojny były długofalowe. W jej rezultacie Stany Zjednoczone stały się dominującą potęgą na Bliskim Wschodzie. W styczniu 1957 r. USA w ramach doktryny Eisenhowera zaoferowały pomoc każdemu krajowi zagrożonemu radziecką agresją czy dominacją. We Francji kryzys sueski przyspieszył nadejście Piątej Republiki pod wodzą Charles'a de Gaulle'a. Wzmocnił też determinację wielu Europejczyków w tworzeniu podstaw dzisiejszej Unii Europejskiej jako przeciwwagi dla USA. Najwięcej straciła Wielka Brytania – nie tylko ostatecznie pożegnała się z kanałem, ale też spadła do roli drugoligowego mocarstwa.

Orientalna dusza

Naser może i wygrał kanał, ale w kolejnych latach przegrał niemal wszystko. Unia polityczna z Syrią z 1958 r. okazała się porażką; katastrofalna interwencja wojskowa w Jemenie w latach 60. podzieliła świat arabski, a nieprzemyślane wycofanie sił pokojowych ONZ i blokada Cieśniny Tirańskiej wywołały w 1967 r. wojnę sześciodniową z Izraelem. Ta ostatnia doprowadziła do największej w historii państw arabskich klęski militarnej, w wyniku której Egipt stracił Strefę Gazy i półwysep Synaj.

Jeszcze w czasach rządów Nasera (1954–70) Egipt stał się represyjnym państwem policyjnym. Deklarowana polityka geopolitycznego niezaangażowania przekształciła się w zależność dyplomatyczną i militarną od Związku Radzieckiego, a gospodarka Egiptu, którą Naser próbował rozwijać, nacjonalizując kolejne gałęzie przemysłu, osiągnęła stan ruiny.

Ogrom porażki Nasera widać jeszcze wyraźniej, gdy porównać Egipt z innymi państwami, które współtworzyły podstawy ruchu państw niezaangażowanych. W 1955 r. Naser oraz Zhou Enlai z Chin i Jawaharlal Nehru z Indii stali niemal ramię w ramię – wszystkie te trzy kraje w bólach wybiły się na niepodległość. Wszystkie trzy stanęły przed wyzwaniami budowy nowego narodu i wydźwignięcia go z ubóstwa. I gdzie są dzisiaj?

Naser przegrał niemal wszystko, a mimo to w 1970 r. ponad 5 mln Egipcjan odprowadzało jego trumnę, płacząc jak po śmierci ojca. Zachód odbierał te wydarzenia jako kolejny przejaw „orientalnej duszy", niezrozumiałej, mistycznej, oderwanej od rzeczywistości (choćby ekonomicznej), a jednocześnie fascynującej i wywołującej dreszczyk emocji nieznany już w zachodnich społeczeństwach. Ale te łzy były prawdziwe.

Znany libański historyk Georges Corm uważa, że bliskowschodnie społeczeństwa były wtedy pozbawione nowoczesnych środków wyrazu. Stłumione nie tylko represjami władzy, ale też brakiem kanałów komunikacyjnych, trwały jakby w milczeniu. Tym bardziej, zdaniem Corma, na uwagę zasługują krótkie momenty uwolnienia tego przekazu, okna, przez które można zajrzeć w zbiorowe emocje tamtych społeczeństw – w przypadku Egipcjan były to z pewnością aleksandryjskie przemówienie Nasera i jego pogrzeb.

W 1970 r. Egipcjanie utracili mistrza zbiorowych emocji, „ostatniego faraona" (jak go nazwał Corm), który przez 17 lat głośno wyrażał nastroje i dążenia swoich politycznie niemych współobywateli, a także nimi kierował. W sensie społecznym odejście Nasera można porównać chyba tylko do śmierci Umm Kulsum, wielkiej egipskiej diwy, pięć lat później. Obie te straty wywołały w Egipcjanach coś na kształt historycznej frustracji wokół godności narodowej – to Naser – i tłumionych zwyczajem uczuć, które wyrażała w swoich piosenkach Kulsum.

Kanał w salonie

„Orientalna dusza" przegrała z zachodnim racjonalizmem? W ramach odpowiedzi: anegdota z 1955 r. Naser był czarujący, dobrze zbudowany, podobał się kobietom. Młody, 37-letni wtedy prezydent Egiptu spotkał się na kolacji w Kairze z dużo starszym premierem Wielkiej Brytanii Anthonym Edenem i – co ważne – z jego żoną Clarissą, która była w wieku Nasera. Panowała atmosfera jak z „Noża w wodzie" Romana Polańskiego. Eden próbował pouczać Nasera w sprawie polityki międzynarodowej. Naser go ignorował i więcej uwagi poświęcał Clarissie – uśmiechał się, kokietował, wręcz flirtował, co w pewnym momencie wyprowadziło z równowagi brytyjskiego premiera.

20 miesięcy później Eden, doświadczony polityk, znawca Bliskiego Wschodu, zniszczył własną karierę i pozycję Wielkiej Brytanii na świecie, podejmując nieracjonalną próbę odzyskania kanału. We wspomnieniach Clarissa napisze później, że od tamtej kairskiej kolacji jej mąż dostał obsesji na punkcie Nasera: „Kanał Sueski przepływa przez nasz salon".

ŁUKASZ WÓJCIK

eprasa.pl 196cd999bb

Magicy władzy

Od kryształowych zwierciadeł i horoskopów po algorytmy i sieci neuronowe. Renesansowi magowie, tak jak dzisiejsi twórcy AI, chcieli zmusić świat, aby zdradził im swoje prawa.

TOMASZ TARGAŃSKI



© VIDIMAGES/ALAMY/BE&W

Wywoływanie zjawy Barbary Radziwiłłówny, obraz Wojciecha Gersona, XIX w.

Mistrz Twardowski przeszedł do legendy jako najsłynniejszy czarnoksiężnik doby renesansu, ale o jego prawdziwej tożsamości wiadomo niewiele. Prawdopodobnie nazywał się Lorenz Dhur i był Niemcem urodzonym ok. 1515 r. w Norymberdze, wykształconym w Wittenberdze. Zafascynowany naukami magicznymi wyjechał do Krakowa. W XVI w. stolica Jagiellonów słynęła jako miasto astrologów oraz alchemików, gdzie adepci sztuk tajemnych z układu gwiazd i planet umieli wyczytać przyszłość. Źródła potwierdzają, że Dhur był częścią dworu Zygmunta Augusta. Trafił tam w szczególnym momencie – po śmierci ukochanej Barbary Radziwiłłówny król pogrążył się w żałobie, szukając pocieszenia w praktykach magicznych. To właśnie Dhur był centralną postacią afery z wywoływaniem zjawy królowej Barbary. Zaaranżowany dla ostatniego Jagiellona seans mający przywołać zmarłą okazał się oszustwem, zorganizowanym przez dworską kamarylę przedstawieniem, w którym w rolę Barbary wcieliła się łudząco do niej podobna królewska nałożnica Barbara Giżanka.

Horoskopy władców

Sprzedaż iluzji zawsze była dobrym interesem, ale dla Dhura skończyła się fatalnie. Już po śmierci Zygmunta Augusta miał on zostać zamordowany przez tych samych dworzan, którzy nakłonili go do „przywołania ducha" Radziwiłłówny. Późniejsza legenda stworzyła zaś historię o polskim szlachcicu Twardowskim, który zaprzedał duszę diabłu w zamian za tajemną wiedzę i znajomość magii, przez co nazwano go polskim Faustem.

W dobie renesansu poszukiwania kamienia filozoficznego, zgłębianie sztuki transmutacji metali w złoto czy próba odgadnięcia z ruchu gwiazd wydarzeń ▶

eprasa.pl 196cd999bb

▶ na Ziemi nie miały wiele wspólnego z uprawianym przez oszustów wróżbiarstwem. Nie były ludowym zabobonem, ale poważną dyscypliną intelektualną, uprawianą przez najtęższe umysły epoki. Dowodem na to niech będzie fakt, że astrologia i alchemia nie tylko były przedmiotem oficjalnych wykładów na Akademii Krakowskiej – krakowski uniwersytet był jednym z nielicznych ośrodków poza Italią, gdzie oficjalnie istniała katedra astrologii. Zadanie powołania jej do życia w 1459 r. otrzymał Marcin Król z Żurawicy, wybitny matematyk, astronom i medyk.

Wykładowcy astrologii pracowali na użytek dworu królewskiego, stawiając horoskopy, albo dorabiali, układając kalendarze z przepowiedniami. Zawierały one prognozy ze szczególnym uwzględnieniem spraw zdrowotnych, np. w który dzień można upuszczać krew lub nie powinno się tego robić ani brać kąpieli. Zapotrzebowanie na krakowskie almanachy znacznie przewyższało podaż. Profesor katedry astrologii miał obowiązek sporządzania corocznych „oficjalnych" prognostyków, ale rynek był na tyle chłonny, że inni akademicy zaczęli sprzedawać swoje, nazwijmy to, pirackie wersje. W pewnym momencie cały proceder został potępiony przez rektora krakowskiej wszechnicy, który zabronił wydawania wszelkich prognostyków, póki nie ogłosi ich profesor.

Spośród królów Polski nie tylko Zygmunt August miał słabość do nauk magicznych. Jego ojciec Zygmunt Stary na tyle głęboko wierzył w przepowiednie astrologiczne, że wiele decyzji państwowych podejmował po konsultacji z Maciejem z Miechowa, wybitnym medykiem i profesorem Akademii Krakowskiej. To u niego król zasięgał rady na przykład w kwestii najlepszej daty wyjazdu na zjazd dyplomatyczny w Wiedniu (1515 r.).

Zygmunt Stary wzorem ojca Kazimierza Jagiellończyka kazał stawiać horoskopy urodzinowe wszystkim swoim dzieciom. W tym kontekście nietrudno zrozumieć, dlaczego wśród renesansowych książąt włoskich datę urodzin potomka traktowano jako pilnie strzeżoną tajemnicę. Miało to uniemożliwić konkurencyjnym astrologom postawienie prognostyku, który mógłby zostać wykorzystany przez wrogów.

Również Stefan Batory przed ślubem z Anną Jagiellonką radził się swoich



Karta z modlitewnika Władysława Warneńczyka przedstawiająca króla

astrologów, jaką datę wybrać. Ten sam Batory, kiedy jego zdrowie zaczęło się pogarszać, podejrzewał, że został otruty przez Wawrzyńca Gradowskiego uważanego za czarnoksiężnika. Z prośbą o opracowanie antidotum zwrócono się więc do Leonharda Thurneyssera, berlińskiego medyka zajmującego się również alchemią. Thurneysser uczynił ze swoich zainteresowań kwitnący biznes. Jego berlińska pracownia chemiczno-farmaceutyczna zatrudniała kilkudziesięciu alchemików produkujących magiczne mikstury, leki i kosmetyki. W skierowanym do polskiego króla liście z 13 lipca 1578 r. Thurneysser polecił sporządzenie specjalnego balsamu „stosownie do prawideł kabalistyki i magii naturalnej".

Krystalomancja Warneńczyka

Wyższym stopniem wtajemniczenia w hierarchii praktyk magicznych była krystalomancja, czyli sztuka przepowiadania przyszłości ze szklistych powierzchni, najczęściej luster. Zasadzała się ona na przekonaniu, że zwierciadło nie tylko odbija wizerunek, ale samo też „widzi", przez co „pochłania" i „zachowuje" informacje. Właśnie taki seans odprawił przed Zygmuntem Augustem Lorenz Dhur i to z tą sztuką wiąże się jeden z najbardziej niezwykłych zabytków doby jagiellońskiej: modlitewnik Władysława Warneńczyka. Tym, co czyni go niezwykłym, jest obecność obok modlitw zaklęć, w których król zwracał się z prośbą o ujawnienie mu tajemnej wiedzy o świecie: „abyś ty, kryształe, otworzył się i rozjaśnił, abym ja, sługa Boży Władysław, zobaczył w tobie całą prawdę w jakiejkolwiek sprawie, którą będę chciał poznać, bez wszelkiego oszukania".

Jak to miało wyglądać w praktyce? Najpewniej król odczytywał te modlitwy – zaklęcia przed kryształem, zwierciadłem lub inną szklaną powierzchnią, prosząc, aby anioły wstąpiły do kryształu i „otworzyły go na wysokość, długość i głębokość dla pełnego zobaczenia w nim wszystkiego, co Bóg stworzył". Efektem miała być panoramiczna wizja świata, gdzie widoczne będą wszelkie złe i dobre zamiary lub dokonania „wszystkich moich dostojników (...), równych mi królów i moich poddanych, którzy mnie miłują lub nienawidzą, którzy są wierni lub wiarołomni". Taki kryształ mógł więc być niezwykle cennym narzędziem władzy. Aby działał, zaklęcia musiały zostać przeczytane i wypowiedziane dokładnie tak, jak je zapisano, a nawet najdrobniejszy błąd wynikający z nieuwagi rujnował cały rytuał.

Choć dziś może to dziwić, średniowieczna umysłowość nie była zupełnie czarno-biała, a magia miała swoje miejsce w chrześcijańskim uniwersum. Kościół co prawda potępiał zabobony czy pogańskich czarnoksiężników, ale między zakazaną „czarną" magią a prawdziwą wiarą istniała ogromna przestrzeń wypełniona przez matematyków, astrologów i czarowników, którzy zgodnie z wolą bożą mogli badać tajemnice wszechświata (była to magia „biała"). Dlatego jej renesansowi entuzjaści podkreślali rolę modlitw do Chrystusa i poszukiwania kontaktu z aniołami. Dlatego też mogła powstać książka tak niezwykła jak modlitewnik Warneńczyka.

Astrologia polityczna

Najpotężniejszą spośród wszystkich sztuk magicznych była astrologia. Jej korzenie sięgają głębokiej starożytności, a nawet czasów, kiedy formowała się ludzka cywilizacja. Jej praktycy twierdzili, że wszechświat działa jak wielki kosmiczny zegar, a każde zdarzenie (np. koniunkcja planet czy spadająca gwiazda) ma wpływ na zamieszkujących Ziemię ludzi poprzez siłę kosmicznych promieni.

© PIEMAGS/POL24/ALAMY/BE&W, WIKIMEDIA COMMONS, FOTOTECA GILARDI/AKG IMAGES/FORUM

eprasa.pl 196cd999bb

Jak pisze Anthony Grafton w książce „Mag", astrologia miała „dostarczyć klucz do odczytania historii świata, prowadzić ludzi w codziennym życiu oraz zapewnić magiczną pomoc samemu Kościołowi". Roger Bacon, franciszkański mnich, który zyskał sobie sławę wybitnego średniowiecznego filozofa, w jednym ze swoich traktatów napisał, że astrologiczne talizmany – właściwie użyte – mają niezwykłą moc polityczną. Bacon był zresztą gorącym zwolennikiem oczyszczenia astrologii z magii utożsamianej z czarnoksiężnikami i zabobonami. Pisząc w latach 50. XIII w. swoje wielotomowe „Opus Maius", był przekonany, że astrologia może pomóc chrześcijaństwu pokonać nadciągające ze wschodu zło w postaci imperium mongolskiego.

Odpowiedzialnością za sukcesy wojowników Czyngis-chana obarczał Bacon właśnie astrologię, ponieważ kiedy podbili Azję Środkową, Mongołowie weszli w posiadanie tamtejszych traktatów astronomicznych napisanych przez muzułmańskich uczonych. Bacon widział rywalizację między Mongołami a chrześcijaństwem jako kosmiczne starcie, w którym astrologia może być realną siłą oddziałującą na geopolitykę.

Aby uprawiać astrologię, trzeba było skomplikowanych obliczeń i gruntownej wiedzy matematycznej. Była to dziedzina oparta na analizie ogromnych zbiorów danych. Jej praktycy szukali sposobu, by sprowadzić wszystko, co się dzieje (lub co ma się stać), do przewidywalnego wzorca opartego na liczbach. Królowie chętnie zatrudniali astrologów w roli (zazwyczaj bardzo dobrze płatnych) „konsultantów", ponieważ wierzyli, że dzięki nim będą mogli dostrzec wszystkie tajemnice tego świata. Słynny okultysta i alchemik John Dee pod koniec XVII w. stawiał horoskopy zarówno Stefanowi Batoremu, cesarzowi Rudolfowi Habsburgowi, jak i królowej Elżbiecie I. Wspomniany Rudolf polecił zaś duńskiemu astronomowi Tychonowi Brahe stworzyć dla siebie tablice astronomiczne, a jednocześnie szukał jego porady w kwestii wojny z imperium osmańskim.

Od renesansowego maga intelektualisty był już tylko niewielki krok do nowożytnego uczonego; człowieka, który nigdy całkowicie nie porzucił magii, lecz w coraz większym stopniu polegał na eksperymencie i pomiarach. Ten sam Roger Bacon, który zamartwiał się, że astrologiczne

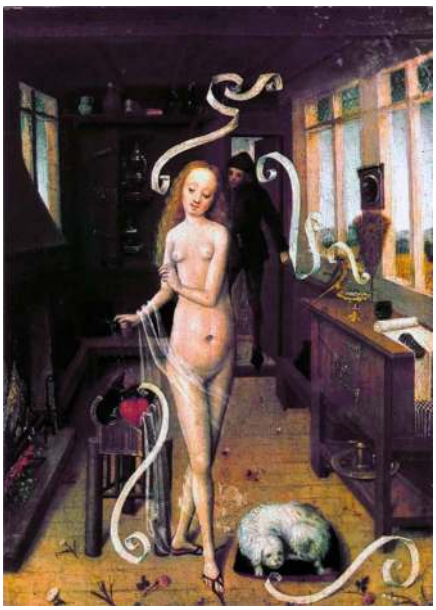

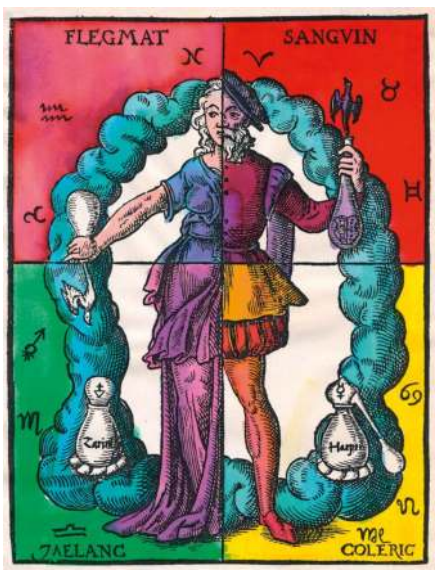

Cztery temperatury człowieka według Leonharda Thurneyssera, medyka z XVI w. Powyżej: **magia miłosna na obrazie nieznanego malarza z XV w.**

amulety posłużą Mongołom do zniszczenia chrześcijaństwa, przyznawał centralne miejsce w filozofii nauki eksperymentom i doświadczeniom, dlatego bywa nazywany ojcem empiryzmu.

Zarówno Galileusz, jak i Johannes Kepler, których astronomiczne badania zapoczątkowały zwrot ku nowożytnej nauce, byli głęboko zaangażowani w badania astrologiczne. Kopernik co prawda nie wierzył w astrologię, ale jego bliski współpracownik Retyk, matematyk z Wittenbergi – już tak. W „Narratio Prima", książeczce będącej wstępem do kopernikańskiej teorii heliocentrycznej, Retyk bez oporów zawarł astrologiczną teorię, jakoby powstanie i upadek cesarstwa rzymskiego oraz imperium arabskiego, jak również powtórne przyjście Jezusa, zależały bezpośrednio od zmian w mimośrodowości orbity Ziemi.

Magowie XXI w.

Mimo (pozornego?) triumfu nauki i racjonalności magiczna część ludzkiej natury nigdy nie odeszła w zapomnienie. Astrologów napędzały te same pragnienia wszechstronnego zrozumienia kosmosu, dążenia do kontrolowania świata przyrody, które utorowały drogę metodzie naukowej. Współczesnych naukowców nurtują te same pytania, co dawnych astrologów: tak jak oni poszukują prawdy w skomplikowanych modelach i tabelach. Ich narzędzia są dokładniejsze, metody bardziej wyrafinowane, ale koniec końców jedni i drudzy wierzą, że liczby do nich „przemówią".

Dziś „magowie" nieoczekiwanie wracają na arenę dziejów pod postacią twórców sieci neuronowych i sztucznej inteligencji. W skali makro AI i astrologia są zaawansowanymi systemami poszukiwania wzorców. Na podstawie olbrzymich ilości danych starają się skalkulować, co może się wydarzyć w przyszłości. W sercu obu tych systemów leży też fundamentalna niepewność. Twórcy sieci neuronowych znają matematyczne podstawy działania AI, lecz sposób dojścia do konkretnych wniosków jest zagadką. Podobnie renesansowi astrologowie nie wiedzieli, dlaczego jedne modele obliczeniowe działały, a inne nie.

Ale najbardziej niepokojącą cechą wspólną AI i astrologii jest to, że zostały one zaprojektowane, aby wykrywać wzorce, i robią to nawet tam, gdzie ich nie ma. Nadinterpretowują dane, halucynują i kłamią. Traktują przypadkowe korelacje jako żelazne prawo i wierzą, że coś jest regułą, bo w danym wycinku historii ułożyło się tak, a nie inaczej. Budują opowieści zamiast teorii. Tworzą pozornie sensowne narracje, ponieważ chcą zadowolić ludzką potrzebę ładu i przyczynowości.

TOMASZ TARGAŃSKI

Korzystałem z: Anthony Grafton „Mag. Sztuka magiczna od Fausta do Agrippy"; Rafał T. Prinke „Zwodniczy ogród błędów. Piśmiennictwo alchemiczne do końca XVIII w."; Maciej Włodarski „O zaklęciach w tzw. modlitewniku Władysława Warneńczyka".

eprasa.pl 196cd999bb



film

Ratowanie świata 4/6

Odyseja (The Odyssey), reż. Christopher Nolan, prod. USA, Wielka Brytania, 172 min, już w kinach

Nolanowska ekranizacja starożytnego eposu jest dziełem znakomitym, jednym z najdojrzalszych w dorobku Brytyjczyka, ale czy wybitnym? Wątpliwość budzi element, który stanowił dotąd najmocniejszą stronę jego kina, czyli rozmach, wizjonerstwo, tempo, nowatorskie potraktowanie upływu czasu. „Odyseja", choć powstała w całości w technologii IMAX, jest widowiskiem bardzo klasycznym, jak na tego autora wręcz staroświeckim. Nie ma tej śmiałości wizualnej co „Interstellar" czy „Incepcja". Deficyt wrażeń budzi zwłaszcza niemrawy początek, osłabiony sekwencją z Polifemem, synem Posejdona, w której cyklop jest po prostu bajkowym stworem wyjętym jakby z poprzedniej epoki. Tematem „Odysei" Nolan uczynił wewnętrzną przemianę zwycięzcy spod Troi, do którego powoli dociera ogrom wyrządzonych zbrodni zatruwających jego sumienie. Postarzony Matt Damon świetnie to niuansuje, akcentując jego mądrość, przebiegłość i odwagę. Stąd perspektywa czasu dokonanego z retrospekcjami, opowieściami ukazującymi te same wydarzenia z dwóch stron – podkreślająca proces moralnego przebudzenia herosa. Ta „gra luster" ma dowodzić, że Odyseusz na głębokim poziomie emocjonalnym utożsamia się z ofiarami własnego triumfu, uczy pokory, co prowadzi go do zdrady samego siebie i poczucia winy, której nie da się łatwo unieważnić. Aby nie komplikować zanadto fabuły, reżyser rezygnuje jednak z homeryckiej przenikliwości i po rzezi zalotników nie każe bohaterowi planować nowej zbrodni, którą w eposie musi powstrzymać dopiero interwencja Zeusa i Ateny. Niewątpliwie takie rozwiązanie odebrałoby mu sympatię i zrozumienie szczególnie młodej widowni, do której film wydaje się adresowany. Szkoda, że tak niewiele mają do zagrania kobiety: Charlize Theron w roli Kalipso, Zendaya jako Atena i Anne Hathaway, niezłomna Penelopa życząca uzurpatorom, by zginęli spaleni żywcem. W dobie bezsensownych wojen nowa „Odyseja" ma stanowić głos rozsądku i opamiętania. Na drodze pełnej błędów i pułapek cywilizacja przetrwa pod warunkiem że rachunki zostaną wyrównane i zacznie się ją budować od nowa.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

film

Chrońcie oczy 2/6

Jej piekło (Her Private Hell), reż. Nicolas Winding Refn, prod. Dania, USA, 110 min, w kinach od 24 lipca



Przed przystąpieniem do realizacji „Jej piekła" reżyser przeszedł skomplikowaną operację serca, w trakcie której doszło do zatrzymania krążenia. Przez prawie pół godziny znajdował się w stanie śmierci klinicznej, co ponoć zmieniło jego optykę postrzegania rzeczywistości i kina. Wspomniany film ma być tego świadectwem. Tradycyjnej dramaturgii nie ma, oglądanie ma polegać na doznaniach zmysłowych płynących z wystylizowanego na senny koszmar obrazu. Futurystyczna, spowita mgłą metropolia (film w całości kręcono w halach zdjęciowych w Kopenhadze, choć akcja imituje futurystyczną Japonię) ma stanowić ekwiwalent stanu przejściowego. To, co reżyser dumnie nazywa intuicyjnym procesem twórczym i czyśćcem wizualnym (rzecz powstawała bez gotowego scenariusza), w rzeczywistości jest rozbuchanym narcyzmem i ucieczką przed dyscypliną. Z ekranu wylewa się strumień świadomości eksponujący piękne, głównie kobiece ciała, a jedynym odczuwalnym dramatem jest walka widzów, by coś z tego zrozumieć. Oczywiście są też pozytywy. Imponuje pstrokata scenografia rodem z popartowskich komiksów, uderza muzyczny patos legendarnego Pino Donaggio, którego poniosło w rejony hollywoodzkiego kiczu. Trzeba też uczciwie zaznaczyć, że Refn, oczywiście nieświadomie, od samego początku przed tym wszystkim ostrzega, każąc powtórzyć jednej z postaci: „Ten film to będzie piekło". Niestety, nie ma w tym przesady.

JW

© MELINDA SUE GORDON/ UNIVERSAL STUDIOS, MONOLITH FILMS, HBO MAX, MAKS MAŁOTA, PAWEŁ JÓŹWIAK

eprasa.pl 196cd999bb

serial

Drugoplanowi 3/6

Stuart nie ratuje wszechświata, twórcy serii: Chuck Lorre, Zak Penn i Bill Prady, 10 odc., HBO Max

Serial „The Big Bang Theory" („Teoria wielkiego podrywu"), rozgrywany w środowisku nerdów i geeków sitcom, doczekał się 12 sezonów (2007–19), statusu kultowego, prequela („Młody Sheldon") i spin-offu tegoż („Georgie i Mandy wzięli ślub"). „Stuart nie ratuje wszechświata" to z kolei i spin-off, i sequel oryginalnej serii. Centrum akcji jest sklep z komiksami, który odwiedzali bohaterowie „TBBT", główną rolę gra jego właściciel Stuart (**Kevin Sussman**), zmienia się jednak konwencja – na komedię SF z modnym wątkiem multiwersum. Sklep Stuarta otacza postapokalipsa, można tu zostać zabitym przez bojówki, zjedzonym przez zmutowaną ćmę albo wrzuconym do kwantowego wiru. I tylko Stuart, postać o uroku Kłapouchego z „Kubusia Puchatka", może to naprawić. „Nowemu w gatunku kina akcji" towarzyszy nowa ekipa, także złożona z drugoplanowych bohaterów oryginału: geolog Bert (świetny **Brian Posehn**), fizyk kwantowy, arcywróg Sheldona i właściciel niewyparzonej gęby Barry Kripke (**John Ross Bowie**) oraz ukochana Stuarta Denise (**Lauren Lapkus**). Trafiają do różnych wersji świata, w których spotykają różne wersje siebie samych oraz inne postacie z „TBBT", przeżywają wypakowane odwołaniami do popkultury przygody, czasem zabawne, czasem padnie przy tym celny komentarz do naszego, napędzanego przez branżę AI brunatniejącego świata. I tylko tyle. Drugoplanowi bohaterowie nie stworzyli pierwszoplanowego serialu.



ANETA KYZIOŁ

scena

Szekspir pod gwiazdami 4/6

William Szekspir, **Sen nocy letniej**, reż. Jakub Krofta, Ogrody Zamku Królewskiego w Warszawie

Pomysł wystawienia Szekspira w ogrodach warszawskiego Zamku Królewskiego Jakub Krofta przywiózł z Czech, gdzie m.in. w Pradze od ćwierćwiecza odbywa się plenerowy festiwal szekspirowski. Jedyną, za to majestatyczną i porywającą scenografią „Snu nocy letniej" w jego reżyserii są zamkowe mury, wraz z rozwojem akcji pogrążające się w mroku, nastrojowo rozświetlanym przez księżyc (i lampy). Sama akcja też jest tyleż prosta, co do końca nieprzewidywalna. Prosta, bo w plenerowej adaptacji, dostosowanej do widowni od lat 12, niuanse psychologiczne czy polityczne szekspirowskiej intrygi, w której uczucia zderzają się ze społecznymi hierarchiami, a świat ludzki z magicznym, siłą rzeczy znikają (za to pojawiają się dość kiczowate niestety piosenki w wykonaniu plążących elfów). Nieprzewidywalność zaś zapewnia kapryśna pogoda. Aktorzy grają pod dachem, ale widzowie siedzą pod gołym niebem i może się zdarzyć, jak podczas premierowego przedstawienia, że przydadzą się rozdawane przez organizatorów przeciwdeszczowe peleryny i ciepłe koce. Tym samym widownia za każdym razem przeżywa własne przygody letniej nocy, co aktorzy spontanicznie komentują ze sceny i łatwo tworzy się poczucie wspólnoty „tu i teraz". Piękne (nawet w deszczu) okoliczności przyrody oraz aktorskie poczucie humoru (tu przodują Bartosz Bielenia i Grzegorz Małecki w rolach Puka i Oberona) – tym uwodzi zamkowy „Sen nocy letniej". AK



galeria

Przeciążenie 3/6

Agata Kus. Obietnice, Państwowa Galeria Sztuki w Sopocie, do 23 sierpnia

Wystawa prezentuje przekrój twórczości Agaty Kus, czyli jednego z głośniejszych nazwisk tzw. młodej sztuki. Artystki, która w ostatnich latach stała się prawdziwym zjawiskiem rynkowym. Zapowiadało się całkiem obiecująco. Co poszło nie tak? Wydaje się, że Państwowa Galeria Sztuki zamiast na jakość postawiła na ilość. Liczba pokazywanych prac jest zdecydowanie zbyt duża jak na tak niewielką przestrzeń (jedno piętro). Wewnątrz panuje bardziej nastrój wystawy przedaukcyjnej niż pogłębionej prezentacji w instytucji publicznej. Cóż, wiele prezentowanych prac pochodzi z kolekcji prywatnych. Brakuje na tej wystawie umiaru i oddechu. Dominują wielkoformatowe płótna, ale pokazano także m.in. prace wykonane pastelami. Strona wizualna jest oczywiście przyjemna dla oka, wręcz skrojona pod obiektyw smartfonu, tylko jaka refleksja się za nią kryje? Niewątpliwie też sporo w tej sztuce humoru. Choćby aluzyjne obrazy nawiązujące do nadmiernego powiększania ust jako dobry komentarz do współczesności mogą wywołać uśmiech na twarzy. Trochę to jednak mało. Zorganizowany w szczycie sezonu turystycznego pokaz w Sopocie nie tłumaczy, skąd właściwie wynika aż tak duży sukces – przede wszystkim komercyjny – tej młodej artystki.



ALEKSANDER ŚWIESZEWSKI

eprasa.pl 196cd999bb

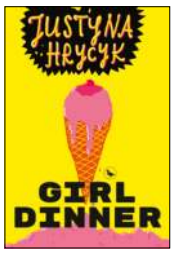

Pływać w maśle 5/6

Justyna Hrycyk, **Girl dinner**, Cyranka, Warszawa 2026, s. 150

Debiut Justyny Hrycyk to eksces, opowieść o jedzeniu i o życiu ujęta w opowiadanka o tytułach potraw: mielony z buraczkami, rosół, chipsy duszki, barszcz Amino, ogórki czy naleśniki. Jedzenie jest tu kompulsywne, ekstatyczne, powraca obraz tłuszczu kapiącego na ubranie, „pływanie w maśle", frytkownica jako centrum życia domowego. Znajdziemy tu historię dorastania i odkrywania swojego ciała i seksualności w związku z jedzeniem. Ono jest od początku splecione z chorobą, staje się w pewnym sensie odwetem na śmierci. Jest pociągające i odrażające zarazem, niedosyt prowadzi do przesytu, ale cały czas chce się więcej. Zapach smażonej flądry robionej przez matkę, mielony, który patrzy z talerza. To też historia pożegnań – wspaniała jest opowieść „Tort" o pieczeniu ciasta nocą na cześć umierającej mistrzyni tortów. Ta historia kończy się robieniem śniadania swojej dziewczynie. Czy kapitalny „Rosół": „Po seksie z mężczyznami miałam ochotę na rosół". Tu następuje opowieść o miażdżeniu kurzego truchła, które trochę bohaterce przypomina ją samą. Akt miłosny tak jak akt jedzenia. Ma w sobie dwuznaczność pochłaniania tego, co niezdrowe i zakazane. Odraza i fascynacja łączą się ściśle. Hrycyk schodzi głęboko w sferę pragnień, ciemności i poczucia nienasycenia, z którego wynika głód miłosno-jedzeniowy i nieuchronny koniec wpisany w te historie. Zostaje samotność, obcość, którą za każdym razem chce się pokonać. A przy okazji Hrycyk odświeża literacki język miłosny, który okazuje się tutaj żywiołem, nie daje się okiełznać. Niewielka książka, ale ma dużą siłę.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



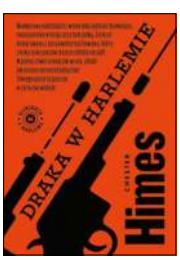

Oszuści i frajerzy 5/6

Chester Himes, **Draka w Harlemie**, przeł. Antoni Górny, Wydawnictwo Karakter, Kraków 2026, s. 340

Proza Chestera Himesa, jednego z czołowych twórców literatury afroamerykańskiej, w Polsce była do tej pory praktycznie nieznana i dla wielu czytelników może być zaskoczeniem: kryminał, lecz śmiało przełamujący gatunkowe konwencje, wzbogacający sensacyjną fabułę absurdalnym humorem, elementami makabreski, thrillera i społecznej analizy. „Draka w Harlemie", otwierająca cykl „Gliniarze z Harlemu", ma tak szalone tempo akcji, aż trudno uwierzyć, że Himes napisał ją blisko 70 lat temu. Jackson, pozbawiony właściwości pracownik zakładu pogrzebowego, zostaje wplątany w finansowy przekręt. Kilkanaście godzin z jego życia zamienia się w szalony pościg nocnymi ulicami Nowego Jorku, pełen przemocy i nieoczekiwanych zwrotów akcji. Jednak Himes nie należał do twórców zainteresowanych wyłącznie dostarczaniem rozrywki. Jego książki portretują wielkomiejskie życie czarnych Amerykanów, spychanych na margines, wiecznie skazanych na wybór między nędzą a przemocą. Na swoich rodaków Himes patrzył zresztą z bezpiecznego dystansu – podobnie jak jego bliski znajomy James Baldwin, w latach 50. wybrał emigrację do Paryża. Co nie umniejszało wpływu jego prozy na afroamerykańską kulturę. Inspiracje Himesem można bez trudu dostrzec w filmach z nurtu blaxploitation czy prozie Waltera Mosleya albo Colsona Whiteheada.

JAKUB DEMIAŃCZUK



Niewypowiedziane 4/6

Ingmar Bergman, **Nienakręcone, niewystawione, nieopublikowane**, przeł. Tadeusz Szczepański, PIW, Warszawa 2026, s. 446

Fascynującego, choć nierównego literacko wyboru testów wyciągniętych z domowego archiwum szwedzkiego mistrza nie należy traktować jako zbioru zaginionych arcydzieł. Wiele z zawartych tu dramatów i scenariuszy to wprawki, porzucone szkice czy wręcz utwory o zaskakująco lekkim, komediowym, a momentami wręcz ocierającym się o farsę tonie, który burzy wizerunek ponurego egzystencjalisty. Wartość tej publikacji polega głównie na możliwości wglądu w ewolucję bergmanowskiej samoświadomości – w pomysły, w które reżyser wierzył, lecz ostatecznie uznał za chybione lub z jakichś względów nierealizowalne. Zadziwia scenariusz „Malowidła na drewnie", pierwowzór „Siódmej pieczęci", pobudza wyobraźnię „Zakłamana gra" z 1956 r., pulsująca duszną atmosferą moralnego rozkładu i kryzysu tożsamości – antycypująca późniejsze motywy z „Milczenia" czy „Persony". Niewątpliwie jednak najbardziej polaryzującym tekstem wydaje się „Szkic do filmu telewizyjnego o śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa i o kilku ludziach, którzy brali udział w tych wydarzeniach" z połowy lat 70. Zamiast teologicznej wzniosłości Bergman proponuje psychologiczny dramat osób uwikłanych w polityczny mord. Choć tekst momentami bywa publicystyczny i brakuje mu subtelności znanej z „Gości wieczerzy pańskiej", stanowi kluczowe świadectwo jego zmagań z wiarą. Przypomina, że Bergman do końca życia nosił w sobie chęć zmierzenia się z wielkim traktatem chrystologicznym, bez którego interpretacja jego stosunku do wiary pozostaje niepełna. Dla badaczy to bezcenny zapis jego poszukiwań i artystycznych rozterek. JW

© MAREK M. BEREZOWSKI, CHRISTOPHER POLK/WWD/GETTY IMAGES, ANTONI BYSZEWSKI/FOTONEWS/FORUM, ERIC ZACHANOWICH/NETFLIX, MP (7)

eprasa.pl 196cd999bb

Kilka w jednym 5/6

Kelela, New Avatar, Warp





Amerykańska wokalistka i kompozytorka o etiopskich korzeniach próbuje łączyć w swojej muzyce plany dotąd trudne do powiązania. Od strony wokalnej jest to R&B, typowa trampolina do popisów wokalnych, a przy tym gwarancja liryzmu i emocji. Tyle że tło aż kipi od nawiązań do muzyki tanecznej rodem z Wysp Brytyjskich, a przy tym efekt końcowy jest powściągliwy: kreuje bardziej nastrój niż podkład do tańca. Na tym paradoksie Kelela buduje swoją oryginalność i chyba też atrakcyjność dla młodej widowni, dla której nie istnieją dawne podziały gatunkowe – tu mają kilka nurtów w jednym, a dodatkowym uzupełnieniem są dla tej publiczności goście, m.in. Fousheé i popularna PinkPantheress, niedawna gwiazda Open'era (korzystają z Kelelą z usług tego samego producenta – Oscara Schellera). Starsi słuchacze odnajdą się w tym być może z nieco innych powodów – eleganckie, powściągliwe aranżacje i drobne elementy produkcji z lat 80. przypomną im dawny pop. W tym sensie ta bardzo nowoczesna muzyka jest odporna na to, co współczesną twórczość ciągnie ku dołowi, czyli krzykliwość produkcji, epatowanie banalnymi, powtarzalnymi patentami. Tu rozwiązania są często proste, ale nie oznaczają pójścia na łatwiznę. Jeśli nie liczyć remiksów, „New Avatar" jest trzecim albumem Keleli Mizanekristos – i kolejnym perfekcyjnie brzmiącym, świadczącym o nieustannym rozwoju tej artystki.

BARTEK CHACIŃSKI

Nie tylko dla fabuły 4/6

Hubert., **sie porobiło…**, Def Jam





Pisaliśmy już o Hubercie. (ta drobna kropka imię 25-letniego Huberta Dorosza zamienia w sceniczny pseudonim) w rubryce językowej (POLITYKA 29). Bo na jego kolejnym albumie nie brakuje neologizmów. Relacjonuje więc „gdzieś w Bydgoszczy kumpla zawinęły psy, ale przyps!" (przypał, wpadka) oraz „włóczy się po mapie for the plot", czyli uprawia wędrówkę „dla fabuły", bez wyraźniejszego celu. Ale te frazy zmieniają sens, bo choć dalej Huberta. nosi po całej Polsce – tutaj miejską odyseję Taco Hemingwaya zamienia w relację z podróży po kraju – to przecież ma to już od dawna wyraźny cel: świetnie przyjmowane koncerty. Jak sam opowiada w tekście „Wszystko na bursztynowo": „Zaliczyłem trzy Juwenalia w trzech różnych częściach kraju, w trzy dni". Takie przyjęcie nie dziwi: ta muzyka to bardzo otwarty, lekki, młodzieńczy repertuar („Jestem soundtrackiem do twoich wakacji" – deklaruje Hubert. w „Żyjemy w symulacji"), stworzona, by w szybki sposób podbić szeroką widownię. Przydałoby się trochę więcej gatunkowego ciężaru w tekstach, ale słuchana latem, ta muzyka świetnie się broni. Autor biegle i naturalnie przechodzi od rapu do śpiewu, a towarzyszące mu beaty Lucassiego (Łukasz Rozmysłowski, znany z Coals) też finezyjnie balansują między hiphopowym podkładem a piosenką, pokazując, gdzie jest miejsce „sie porobiło…" – w okolicach muzycznego środka.

BCH

nie przegap



Domek na prerii, twórczyni serii: Rebecca Sonnenshine, 8 odc., Netflix

„Jest nazbyt optymistyczny i naiwny. Ale jest też błyskotliwy i pomysłowy i kieruje się miłością, nadzieją oraz duchem przygody" – opisuje swojego męża Caroline Ingalls (**Crosby Fitzgerald**). Zrealizowana w roku obchodów 250-lecia USA nowa ekranizacja „Domku na prerii" – pierwsza, z lat 1974–83, była hitem także na naszym Dzikim Wschodzie – chce te wartości wlać w serca Amerykanów. Potrafi przy tym wzruszać, podkreśla rolę kobiet i daje głos pierwszym mieszkańcom prerii. Kolejny sezon w drodze.

AK

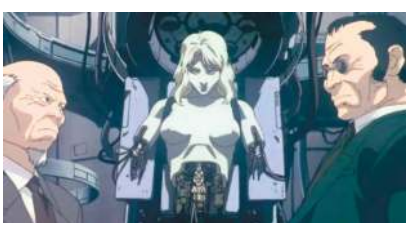

Ghost in the Shell, reż. Mamoru Oshii, w kinach od 24 lipca

Legendarne anime – film, którym inspirowały się m.in. siostry Wachowskie przy realizacji „Matrixa". Historia pościgu cybernetycznej agentki Kusanagi za hakerem znanym jako Władca Marionetek łączy oszałamiającą wizję przyszłości z filozoficznym namysłem nad istotą człowieczeństwa, a na wielkim ekranie, po cyfrowej rekonstrukcji, wygląda lepiej niż kiedykolwiek. Przed seansem nowej serialowej wersji „Ghost in the Shell", która niedawno pojawiła się w serwisie Prime Video, warto zrobić powtórkę z oryginału.

JD



George Sand. W kalejdoskopie życia i sztuki, Dom Urodzenia Fryderyka Chopina, Żelazowa Wola, do 10 stycznia 2027 r.

We Francji obecny rok jest rokiem George Sand z okazji 150-lecia jej śmierci. Dla nas wciąż pozostaje tylko partnerką życiową Chopina, niewiele wiemy o jej nietuzinkowej osobowości. Dzięki eksponatom z kolekcji francuskich i polskich możemy choć w ułamku poznać jej świat – od życia codziennego i przyjaźni z artystami, przez zainteresowania przyrodnicze, po działalność artystyczną: literacką i malarską.

DS

eprasa.pl 196cd999bb



Pedro Almodóvar (ur. 1949 r.) – reżyser, scenarzysta. Zaczynał pracę jako urzędnik w krajowym towarzystwie telefonicznym, zaangażował się w undergroundowy ruch artystyczny la movida, realizując amatorskie filmy na taśmie Super 8. Jego pełnometrażowy debiut „Pepi, Luci, Bom i inne dziewczyny z dzielnicy" (1980 r.) zapoczątkował karierę, w której reżyser konsekwentnie łączył hiszpańską tradycję z postmodernistyczną prowokacją. Dziś jest laureatem licznych nagród, w tym dwóch Oscarów („Wszystko o mojej matce", „Porozmawiaj z nią") oraz Złotego Lwa na festiwalu w Wenecji za swój pierwszy anglojęzyczny film pełnometrażowy „W pokoju obok" (2024 r.). Film „Gorzkie święta" wejdzie do polskich kin 28 sierpnia, wcześniej pokazywany będzie na festiwalu Tauron Nowe Horyzonty.

Cierpienia tworzenia

Artysta musi być lojalny przede wszystkim wobec opowieści – mówi Pedro Almodóvar, którego najnowszy film „Gorzkie święta" będzie pokazany na festiwalu Nowe Horyzonty.

JANUSZ WRÓBLEWSKI: **– We „Wszystko o mojej matce" pojawia się cytat z Trumana Capote'a: „Zacząłem pisać, mając osiem lat. Nie wiedziałem, że oddaję się w niewolę szlachetnemu, ale bezlitosnemu panu. Gdy Bóg obdarza talentem, daje również bicz. Bicz przeznaczony wyłącznie do samobiczowania". Czy pan tej pokusie samobiczowania często ulegał?**

PEDRO ALMODÓVAR: – Samobiczowanie to najlepsza definicja tworzenia, jaką znam.

Obejrzawszy „Gorzkie święta", też o tym pomyślałem.

Podczas pisania zawsze w końcu trafia się moment, w którym musisz napisać coś nieoczywistego, mimo że wcale nie masz na to ochoty. Robię to jednak, ponieważ wymaga tego dobro historii. To nie znaczy, że znajduję się w ciągłym procesie samobiczowania, niemniej cierpienie stanowi nieunikniony element tworzenia. Weźmy „Ból i blask", w którym świadomie użyłem owego „bicza" przeciwko sobie. Antonio Banderas – na ekranie moje alter ego – wydaje się postacią niemal negatywną, co świadczy o surowości oceny, jakiej się poddałem.

W „Gorzkich świętach" też pojawia się pisarz-reżyser, w którym widzimy pana. Zmaga się z migrenami, atakami paniki i utratą twórczej weny. Dlaczego tak obsesyjnie zależy mu na kontynuowaniu snutej przez niego opowieści?

Na tym polega tajemnica obsesji. Dla Raula, granego przez Leonarda Sbaraglię, i dla mnie pisanie czy reżyserowanie nie jest pracą. To pasja. Irracjonalna siła. Coś, z czym się urodziłem. Żadne doświadczenie nie jest porównywalne z euforią, gdy wszystkie elementy historii do siebie pasują – to chwila największego szczęścia. Dlatego momenty kryzysu twórczego i niemocy przypominają agonię.

Czy ta gra z autobiografizmem ma zachęcać do traktowania perypetii pana bohaterów jako wariantów pańskiego życiorysu, a może przeciwnie – to zasłona dymna, która pana bawi?

© DOMINIQUE CHARRIAU/WIREIMAGE/GETTY IMAGES

eprasa.pl 196cd999bb

Wolę mówić o procesie, w którym elementy autobiograficzne zostają przetworzone w fikcję. Wiem, co dało mi impuls do nowego pomysłu, nigdy jednak nie jestem w stanie przewidzieć, dokąd mnie to zaprowadzi. W „Bólu i blasku" czy „Złym wychowaniu" początkowo nie sądziłem, że będę mocno dotykać swojej prywatności, lecz kiedy do tego doszło, musiałem być uczciwy. W przeciwieństwie do silnych i optymistycznych postaci kobiecych męscy bohaterowie są niemal zawsze wzorowani na mnie, co czyni ich mroczniejszymi. Nie wszystkie filmowe postaci są wariacjami mnie samego, prawdą jest natomiast, że wszystkie moje filmy są autobiograficzne, bo kiedy nie mówię o sobie, opowiadam o ludziach i sytuacjach z mojego otoczenia.

A skąd czerpie pan tę głęboką intuicję w portretowaniu kobiecej psychiki?

Moje zakorzenienie w świecie kobiet to skutek dzieciństwa spędzonego w La Manchy. Dorastałem otoczony siostrami, matką, sąsiadkami. To one były ostoją codzienności, podczas gdy mężczyźni wydawali się nieobecni lub przemocowi. Kobiety w moim kinie nie tylko lepiej radzą sobie z kryzysami, ale też potrafią tworzyć alternatywne, głębokie struktury wsparcia, wolne od patriarchalnej rywalizacji. Z kolei mężczyźni dopiero od niedawna zyskują u mnie pełniejszy głos. Dawniej byłem zamknięty na poważniejsze analizowanie męskiej psychiki, ale z wiekiem zacząłem dostrzegać w nich kruchość.

Teoretycznie samobiczowanie powinno zniechęcać do tworzenia, chyba że jest się melancholijnym masochistą.

Dla mnie masochizm w procesie twórczym nie jest żadną patologią, tylko niezbędnym elementem artystycznej uczciwości i źródłem specyficznej, paradoksalnej satysfakcji. Zamiast być dla siebie pobłażliwym, nauczyłem się czerpać radość z bycia okrutnym wobec postaci reprezentujących mnie na ekranie. Uważam to za bardzo zabawne. Nie jestem sadomasochistą, ale to, że potrafię mówić o sobie w tak bezpośredni sposób, sprawia mi niekiedy przyjemność.

W „Gorzkich świętach" wprowadza pan motyw żerowania na bliskich. Czy pan też czasami uważa się za emocjonalnego wampira, przetwarzającego sekrety przyjaciół w celuloidową fikcję?

Nie czuję się emocjonalnym wampirem, mimo że zdarza mi się wykorzystywać życiorysy z najbliższego otoczenia jako inspirację. A zamiast terminem wampiryzm wolę posługiwać się określeniem fundamentalny egoizm – ten uważam za nieodłączną cechę każdego pisarza. Gdy pojawia się inspiracja, pisarz staje się samolubny, ponieważ jego celem jest rozwinięcie historii w sposób jak najintensywniejszy. Opisując kogoś, można zapomnieć, że się go rani. W sytuacji konfliktu między procesem kreacji a życiem innych ludzi artysta zawsze wybierze tworzenie. Tak działa pasja, w której się całkowicie zatracamy. Choć sam nie czuję się wampirem, oczywiście rozumiem, że osoby, których życie stało się surowcem dla filmu, mogą mieć inne odczucia, ponieważ widzą na ekranie własne doświadczenia, niekoniecznie pokrywające się z ich wyobrażeniami. Podoba mi się, jak ujął to francuski pisarz Emmanuel Carrère. Napisał, że posiadanie pisarza w rodzinie zawsze oznacza problemy.

Pana bliscy nigdy nie mieli żalu, że ich sekrety stały się tworzywem dla artystycznych fantazji?

Staram się być uważny i nie wyrządzać nikomu krzywdy. Mimo obaw ludzie z mojego otoczenia zazwyczaj z wyrozumiałością przyjmują fakt, że ich życie stało się inspiracją dla moich filmowych fantazji.

Niektórzy twierdzą, że impulsem do porzucenia dawnej, prowokacyjnej estetyki na rzecz filmów bardziej introspekcyjnych stała się dla pana śmierć matki. Jak ona sama reagowała na sposób, w jaki ją pan portretował?

Ewolucja mojego stylu spowodowana była naturalnym procesem starzenia się oraz poszukiwaniem nowych form wyrazu. Nie wynikała wyłącznie z traumy po stracie matki, mimo że oba te wydarzenia zbiegły się w czasie. Natomiast moja mama była osobą, która zasadniczo nie interesowała się kinem i nie uważała reżyserii za poważny zawód. Mimo że wystąpiła w kilku moich filmach, nie brała tego serio. Cieszyła się z moich sukcesów głównie dlatego, że nieźle mi się powodziło i dzięki pracy mogłem kupić jej dom, co było dla niej bardziej istotne niż treść moich filmów.

Czego można się dowiedzieć o sobie poprzez sztukę?

Sztuka nie jest prostym narzędziem do odkrywania obiektywnej prawdy o sobie, lecz specyficznym procesem przetwarzania rzeczywistości w fikcję. Mimo że w swoich filmach poruszam wątki osobiste, to wiedzę o sobie czerpię przede wszystkim z życia, z dojrzewania i starzenia się, a nie bezpośrednio z aktu tworzenia. Prawda w sztuce nie jest powiązana z rzeczywistością czy z faktami z biografii. W momencie gdy elementy realnego życia stykają się ze scenariuszem, automatycznie stają się fikcją. Ja szukam prawdy kinowej, która musi mieć sens dla widza i budować spójną opowieść, nawet jeśli nie miałaby sensu w realnym świecie. Tak jak powiedziałem, artysta musi być lojalny przede wszystkim wobec opowieści.

Co pana najbardziej kręci, a co dobija w miłości?

Najbardziej ekscytująca jest początkowa faza miłości, w której traci się całkowicie panowanie nad sobą i zapomina o własnym „ja". To stan cudowny, wykraczający poza zwykłą przyjemność seksualną czy szczęście. Najtrudniejszym momentem jest ten, w którym namiętność znika, a człowiek zostaje skonfrontowany z ciemniejszą stroną. Cierpienie wynikające z wygaśnięcia tej pasji jest tym, co potrafi nas zniszczyć. Pomimo bolesnego charakteru utraty uważam, że w życiu trzeba doświadczyć obu tych skrajności. Musisz mieć i stracić. Musisz poddać się pasji, a potem wiedzieć, co znaczy cierpieć, kiedy ta ustaje.

Czy uważa pan, że coś takiego jak duchowa integralność istnieje w świecie, w którym zmieniamy płeć, poddajemy się operacjom plastycznym, przeszczepiamy narządy? Wierzy pan w stałość ludzkiej natury?

Oczywiście. Tożsamość człowieka jest czymś niezwykle silnym i unikatowym, co pozwala zachować duchową integralność nawet w obliczu radykalnych zmian fizycznych. Wierzę, że istnieje stały, nienaruszalny rdzeń ludzkiej natury. Tożsamość jest silniejsza niż biologia. Niezależnie jakim operacjom poddamy ciało, nasze wewnętrzne „ja" się nie zmieni. Przykładowo w „Skórze, w której żyję" przywołuję postać młodego mężczyzny, który zostaje uprowadzony i wbrew swojej woli jest poddany operacji korekty płci. Choć fizycznie staje się kobietą, nadal jest tym samym chłopcem, a jego tożsamość pozostała całkowicie nietknięta. W filmie pojawia się też motyw matki, która początkowo nie rozpoznaje swojego dziecka po transformacji, jednak dziewczyna, która wcześniej go znała, jest w stanie dostrzec, kim on naprawdę jest. Tożsamość jest wartością odporną na ingerencje w powłokę, w której żyjemy.

Określa się pan jako ateista, ale w pana dziełach pojawiają się duchowe podteksty i tęsknota za sacrum. Czy zastanawiając się nad własną śmiercią, odczuwa pan strach, czy spokój? ▶

eprasa.pl 196cd999bb

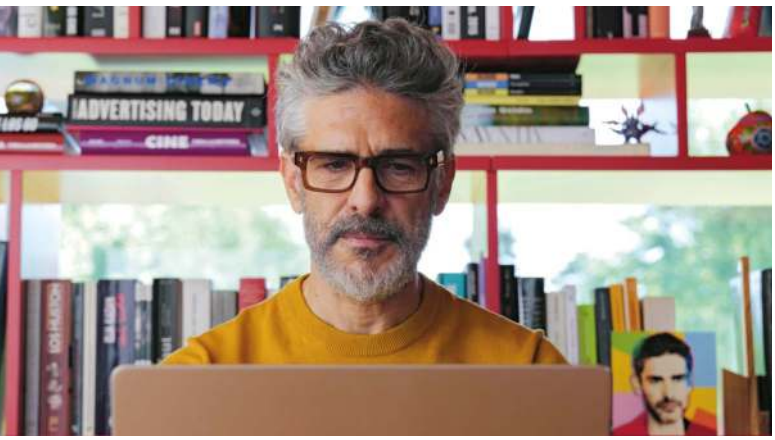

Leonardo Sbaraglia w „Gorzkich świętach" jako pisarz-reżyser Raul, alter ego Almodóvara

▶Mój stosunek do śmierci nie opiera się na pogodzeniu. W obliczu końca czuję się całkowicie bezbronny. Tak, jestem ateistą, co oznacza, że nie posiadam żadnego religijnego wsparcia ani dogmatów, które mogłyby mi przynieść pociechę lub dać siłę w konfrontacji z tym, co nieuchronne. Mimo że w wielu innych kwestiach uważam się za osobę dojrzałą, przyznaję, że nie dorosłem do zaakceptowania własnej śmiertelności. Zamiast cieszyć się z każdego dodatkowego przeżytego dnia, odczuwam każdy z nich jako jeden dzień życia mniej, co potęguje tylko lęk. Mam nadzieję – i tego sobie życzę – że jeszcze zdążę tę relację z przemijaniem w jakiś sposób rozwiązać albo uporządkować.

Czy twórczość i seks to jedyne skuteczne mechanizmy obronne, które dają nam namiastkę nieśmiertelności, i jak pana stosunek do seksu zmieniał się z upływem lat?

Nie da się zaprzeczyć, że reprezentacja seksu w moich filmach z czasem zdecydowanie zmalała. W latach 80. moje kino było bardzo dosłowne i prowokacyjne, ale obecnie nie czuję już potrzeby powtarzania tego. A jeśli chodzi o życie prywatne, o co też pan pytał, przyznaję, że z wiekiem moje podejście do seksualności się zmieniło. Choć miałem dobre życie seksualne, jednak czas jest tu czynnikiem decydującym. Starzenie nie musi oznaczać utraty pożądania, często jednak wiąże się ze zmniejszeniem aktywności na tym polu.

W napisanym przez pana opowiadaniu „Odkupienie", pochodzącym ze zbioru „Ostatni sen", Jezus zostaje przedstawiony w kontekście queerowym. Dla wielu to profanacja. Skąd u pana, ateisty, potrzeba wpisywania symboli chrześcijańskich w panteon LGBT?

Nie postrzegam swoich tekstów w kategoriach bluźnierstwa, ponieważ nie wyznaję żadnych religijnych zasad. Wpisanie figury Jezusa w kontekst queerowy nie jest więc profanacją, lecz próbą pełniejszego zrozumienia człowieczeństwa oraz formą artystycznego przetworzenia własnych doświadczeń. Uważam, że jeśli Chrystus przyszedł na ziemię, aby doświadczyć bycia człowiekiem, musiał poznać ludzką naturę w jej najbardziej podstawowym aspekcie, jakim jest pożądanie cielesne i seks. Bez tego doświadczenia wizja człowieczeństwa Jezusa byłaby niepełna. Opowiadanie powstało zaledwie dwa lata po tym, jak opuściłem szkołę prowadzoną przez księży salezjanów. Po tym horrorze odczuwałem potrzebę wywrócenia do góry nogami i przeformatowania wszystkiego, czego mnie uczono. Jezus otaczał się mężczyznami (apostołami), w takich grupach, np. w drużynach piłkarskich – choć często się temu zaprzecza – relacje homoseksualne istnieją. Jestem przekonany, że między Jezusem a jego uczniami właśnie ze względu na naszą namiętną naturę takie kontakty seksualne występowały.

Jednocześnie to opowiadanie stanowiło reakcję na reżim Franco i dyktaturę.

Oczywiście. Nie zależało mi jedynie na prowokacji artystycznej. Był to świadomy głos sprzeciwu wobec świata, w którym sacrum nierozerwalnie wiązało się z autorytarną władzą Franco. Traktowałem takie opowieści jako formę zemsty czy buntu przeciwko systemowi.

Ta przeszłość wraca. Współczesna Hiszpania jest mocno podzielona, chociażby wokół kwestii ekshumacji ofiar frankizmu i ustawy o pamięci. Dlaczego rozliczenie po tylu dekadach milczenia budzi kontrowersje?

Nie da się zbudować zdrowego społeczeństwa na masowych grobach i zmowie milczenia. Przez lata obowiązywał tzw. pakt zapomnienia (Pacto de Olvido), który miał chronić transformację ustrojową. Jednak rany, które nie zostały oczyszczone, zaczynają gnić. Sytuacja wokół rozliczeń z przeszłością i ekshumacji ofiar frankizmu jest prawdziwym dramatem sprawiającym, że współczesna Hiszpania staje się krajem niemal niemożliwym do rządzenia. Jest kilka kluczowych powodów, dla których te kwestie wciąż budzą tak skrajne emocje. Mimo wielu lat funkcjonowania demokracji wciąż mamy 100 tys. ofiar wojny domowej i dyktatury, których losy pozostają niewyjaśnione. Podejście opozycji do tego tematu oceniam jako katastrofalne. Niepokojący na prawicy jest wzrost nostalgii, przywracanie pozytywnego wizerunku Franco. Tamta strona posługuje się przekazami opartymi na kłamstwach, które – ku mojemu przerażeniu – odnoszą sukces w debacie publicznej. Młodzi zaczynają wierzyć w prawicowe narracje i je akceptować. Problem nie dotyczy tylko Hiszpanii. To część szerszego zjawiska, globalnego wzrostu nastrojów populistycznych we Włoszech, Francji, Wielkiej Brytanii czy USA.

W Polsce niestety też.

W wyniku tych napięć do władzy mogą dojść koalicje prawicy ze skrajną prawicą, co wydaje się perspektywą druzgocącą i straszną. Krótko mówiąc, pakt zapomnienia nie przyniósł moim rodakom ukojenia, lecz obudził tęsknotę za dyktaturą, która teraz, podsycana przez dezinformację, uderza w fundamenty progresywnej i socjalistycznej Hiszpanii. Mogę tylko powiedzieć, że to bardzo zły moment dla nas wszystkich.

Mimo to reżyser taki jak pan – niepokorny, lekceważący granice poprawności politycznej – stał się narodowym skarbem w konserwatywnym kraju, jakim jest Hiszpania?

Czuję się dzieckiem hiszpańskiej demokracji i uważam, że tylko dzięki niej mogłem swobodnie rozwijać swój głos i przeżyć. Urodziłem się z absolutnym poczuciem wolności, które mnie zdefiniowało. Przeniosłem je na swoje filmy, obdarzając moich bohaterów autonomią moralną, w którą żarliwie wierzę, co stało w całkowitej sprzeczności z opresyjnym modelem wychowania propagowanym przez reżim. Celowo ignorowałem postać dyktatora i wszelkie ślady jego istnienia, jakby Franco w ogóle nie był częścią hiszpańskiej rzeczywistości. Sukces wynikał z faktu, że mój prywatny punkt widzenia zespolił się z rodzącą się przemianą historyczną. Stał się jej głosem, który pozwolił nam przejść transformację razem.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI

© GUTEK FILM

eprasa.pl 196cd999bb

Kluby na dzielni

Czy globalna popularność mnożących się klubów książki może odwrócić trend nieczytania?

JUSTYNA SOBOLEWSKA

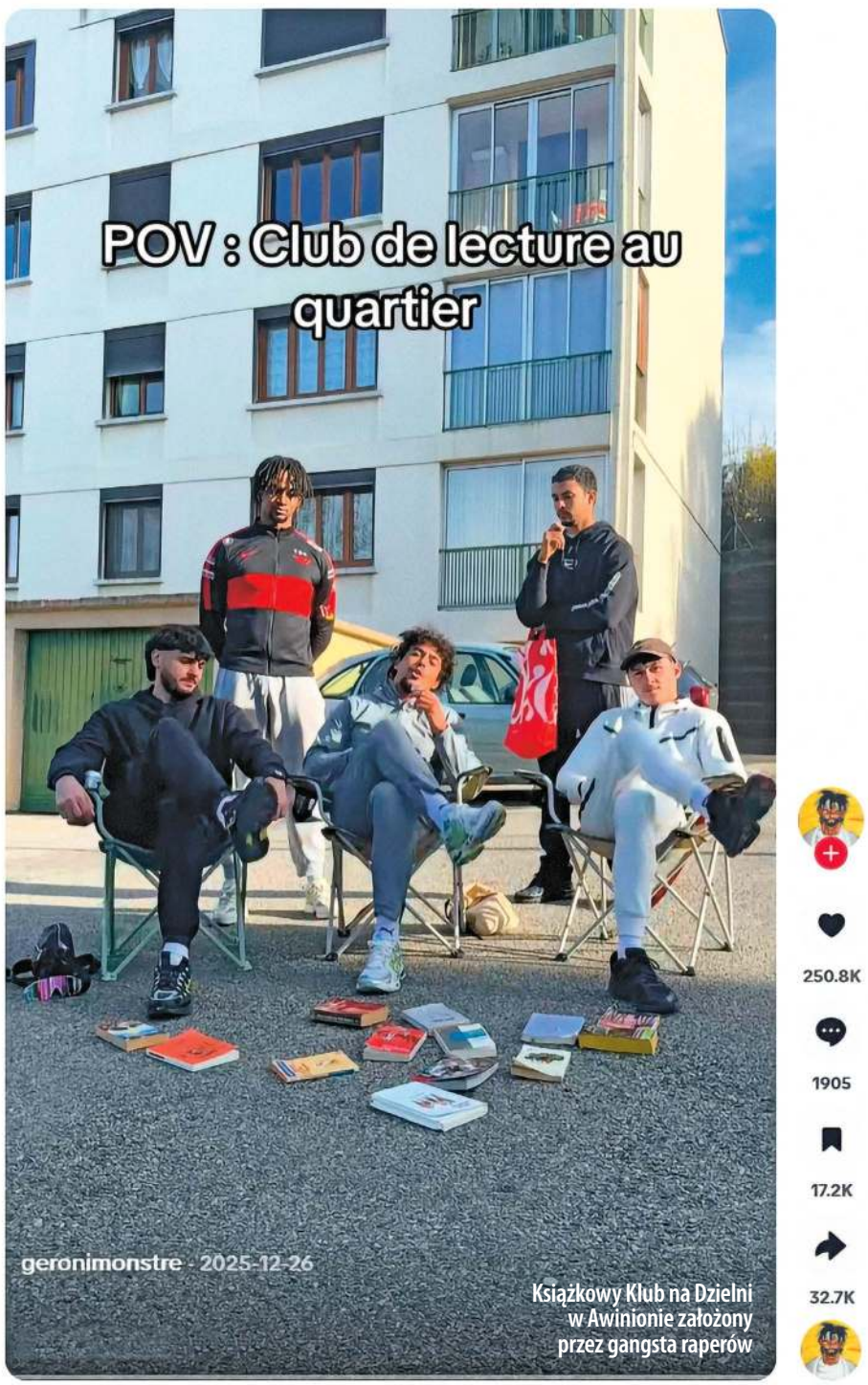

© TIKTOK.COM/@GERONIMONSTRE

Na osiedlowym parkingu w Awinionie kilku chłopaków, z wyglądu blokersów, siedzi na składanych krzesełkach, wokół na betonie rozrzucone książki. „Dzień dobry na trzecim spotkaniu Klubu na Dzielni" – mówi Geronimo, który stał się sensacją w sieci. „Dziś edycja specjalna, feministyczna, poświęcona autorkom, które wyznaczyły przyszłość literatury w horyzoncie przeszłych dni" – kwiecista francuszczyzna celowo kontrastuje z ich wyglądem i akcentem, bo chodzi im o to, żeby łamać stereotypy. Gangsta raperzy też mogą rozmawiać o Rimbaudzie i robić literackie ustawki.

Ich dyskusje wyglądają jak bitwy freestylowe, które kończą się czasem prawdziwą nawalanką. W ramach pierwszego starcia Klubu na Dzielni Madame de La Fayette, mistrzyni powieści psychologicznej, ustawiona zostaje przeciwko George Sand, pionierce literatury feministycznej. I od razu robi się gorąco, chłopaki się zrywają, jeden z nich nie może znieść, że głosy kobiet tyle czasu były tłumione. Potem Simone de Beauvoir, jej filozofia, która – jak słyszymy od jednego z czytelników – „dotknęła jego serce zaskakującym błyskiem". Gdy któryś z nich ma roznosić coś w reklamówce, przez moment wydaje się, że to może narkotyki. A to środki higieny dla kobiet.

Klub na Dzielni rozmawia o klasyce, filozofii (Karol Marks kontra Adam Smith) i o książkach z dzieciństwa, ale też o słowach takich jak marazm. W komentarzach na Instagramie pisarze, nauczyciele i bibliotekarze biją brawo tym dwudziestolatkom, którzy zamieniają betonowy parking w salon literacki – dostępny dla każdego.

Kluby książki to dziś potęga. Dua Lipa, brytyjska wokalistka o albańskich korzeniach, stworzyła portal lifestylowy Service95 (urodziła się w 1995) i prowadzi tam klub książki, publikuje rekomendacje literackie i rozmawia z autorami. Jej gościem była Olga Tokarczuk. A teraz, kilka dni temu, wokalistka otworzyła bibliotekę książek zakazanych i objętych cenzurą w Livraria Lello w Porto, najstarszej księgarni w Portugalii. Można tam znaleźć około stu tytułów, które w różnych krajach były usuwane z bibliotek, szkół lub objęte zakazem publikacji.

Swoje potężne kluby książki mają aktorki, choćby Reese Witherspoon. Ta ▶

eprasa.pl 196cd999bb

▶ ze swoimi fanami i fankami komunikuje się przez oficjalną aplikację, w której co miesiąc ogłasza swoje czytelnicze wybory i prowadzi dyskusje o książkach. I jednocześnie jej firma producencka Hello Sunshine skupuje prawa do ekranizacji polecanych książek. Sukcesem Whiterspoon jako producentki i promotorki książek było wylansowanie powieści Delii Owens „Gdzie śpiewają raki" i głośne serialowe „Wielkie kłamstewka".

Kluby książkowe prowadzą też Sarah Jessica Parker, Emma Watson i Florence Welch z Florence and The Machine (Between Two Books), a także futbolista Andrew Luck. Nawet księżna Kamila prowadziła swój internetowy klub książki o nazwie Czytelnia Księżnej Kornwalii. Najsłynniejszy i najbardziej wpływowy założyła Oprah Winfrey już w 1995 r., najpierw jako segment programu Oprah Winfrey Show. Toni Morrison nazwała go czytelniczą rewolucją, bo autorzy marzyli, żeby Oprah poleciła ich książki. Oprócz może Jonathana Franzena, który uważał, że wybór „Korekt" do klubu zniechęci męskich czytelników (tymczasem dzięki jej poleceniu sprzedaż sięgnęła 5 mln egz.). Oprah wycofała wtedy zaproszenie dla pisarza, pogodzili się 10 lat później przy powieści „Wolność", którą umieściła na swojej liście.

W 2012 r. dziennikarka rozpoczęła nowy cykl swojego klubu, „Oprah's Book Club 2.0" i skupia się na mediach społecznościowych. Facebookową stronę klubu Reese's Book Club (Witherspoon) obserwuje dziś prawie 500 tys. osób, a na Instagramie śledzi go ponad 3,2 mln użytkowników. Klub książkowy Winfrey obserwuje tu mniej – tylko milion osób – i dziś amerykańscy wydawcy to Reese nazywają gwiazdą promocji literatury.

W Polsce format celebryckich klubów książki się nie przyjął. Owszem, gwiazdy czasem coś polecają, wydawcy płacą krocie za to, że rozpoznawalne twarze promują konkretne tytuły, ale nie mają swoich klubów książki. Może Taco Hemingway założyłby klub książkowy? Niedawno na swoim koncercie polecał młodym ludziom czytanie i machał ze sceny książką.

Natomiast sam pomysł klubów książki, spotkań czytelników chwycił u nas bardzo i klubów przybywa lawinowo. Jeszcze 20 lat temu było inaczej. Dyskusyjne Kluby Książki stworzył Instytut Książki razem z British Council w 2007 r. Działają przy bibliotekach. Na szczeblu centralnym są koordynowane przez Instytut, na szczeblu regionalnym – przez wojewódzkie biblioteki publiczne. Instytut je dofinansowuje, dzięki temu mogą kupować nowości i zapraszać pisarzy. Tytuły książek wybierają klubowicze. Oni decydują też, jakich autorów chcą zaprosić. Dziś DKK-ów jest już ponad 2 tys., ostatnie dane pochodzą z 2025 r. Co roku ponad 2 tys. nowych osób bierze udział w spotkaniach. Regularnie rośnie także liczba klubów: w 2022 r. było ich 1841, rok później 1902, a w 2024 r. – 1970. Co miesiąc w kilkuset polskich miejscowościach we wszystkich województwach czytelnicy spotykają się w ten sposób, aby rozmawiać o literaturze.

Kluby działają przy bibliotekach publicznych wszystkich stopni (od wojewódzkiego do gminnego), mogą także działać przy innych instytucjach (np. bibliotekach szkolnych, domach kultury, bibliotekach parafialnych itp.) we współpracy z biblioteką publiczną. Ten wspaniały rozwój DKK, połączony z rozwojem bibliotek, może nieco przyhamować, bo zamrożony został Narodowy Program Rozwoju Czytelnictwa, z którego również pochodziły środki na zakup nowości wydawniczych (publikowaliśmy list Fundacji Powszechnego Czytania i Koalicji Czytająca Polska do premiera w tej sprawie).

DKK to tylko część gigantycznego ruchu klubów książki, które powstają przy rozmaitych instytucjach, wydawnictwach, teatrach (sama prowadzę razem z dyrektorem Michałem Zadarą Klub Czytelniczy w Teatrze Polskim we Wrocławiu). Są też kluby zupełnie prywatne – ludzie zanurzeni w rzeczywistości cyfrowej coraz bardziej potrzebują kontaktu z żywym człowiekiem, rozmowy twarzą w twarz, to też jest rodzaj ucieczki od samotności. Rozkwit klubów zbiega się z rozkwitem rozmaitych festiwali literackich – ludzie chcą się spotykać na żywo, tworzyć małe wspólnoty. Kluby ośmieliły rzesze czytelników do tego, żeby mówili o własnych odczuciach, mieli swoje zdanie, a nie tylko słuchali speców od literatury.

Kluby książki wielokrotnie w dziejach przełamywały rozmaite bariery społeczne. Początków historycy dopatrują się w XVIII-, XIX-wiecznych salonach arystokratycznych, często prowadzonych przez kobiety. Innym ważnym źródłem były XVII-wieczne amerykańskie wspólnoty religijne studiujące Biblię. Potem były to również świeckie koła zainteresowań, w których większość członków stanowiły kobiety. Nie miały dostępu do uniwersytetów, stowarzyszeń i innych klubów. Decydowały się często na tworzenie własnych miejsc do spotkań i samorozwoju, które sprawiały, że wychodziły ze sfery prywatnej do publicznej.

Do czasu wybuchu wojny secesyjnej w 1861 r. prawie każde amerykańskie miasteczko i wieś miały swój kobiecy klub książki. W 1827 r. w Stanach Zjednoczonych powstał pierwszy klub książki czarnych kobiet, założony przez byłe niewolnice, które chciały się edukować, ale wiedziały, że jedyną możliwością jest samokształcenie. Wkrótce podobne kluby zaczęły powstawać na całym wschodnim wybrzeżu USA.

Kluby książki zabierały głos w kwestiach społecznych, choćby w sprawie abolicji, rasizmu, imigracji, edukacji. Ich celem było przede wszystkim zwiększenie dostępności książek. I tak powstały kluby książki oparte na sprzedaży wysyłkowej. Pierwszy z nich zaczął działać w 1926 r. w Stanach, a jego sukces wynikał z tego, że mało kto miał dostęp do księgarń.

W takim kształcie jak dziś kluby narodziły się w Wielkiej Brytanii w latach 30. Rozprzestrzeniły się w całym świecie anglosaskim. Okazało się, że przyjemność z czytania jest większa, kiedy możemy porozmawiać o książce przy kawie i ciastkach z innymi ludźmi, którzy też ją czytali.

Kobiety stanowią wśród klubowiczów większość – to się nie zmienia, zresztą widać tę dysproporcję w badaniach czytelnictwa. To one więcej czytają. Ale istnieją też rozmaite kluby męskie. „Mój mąż założył właśnie klub książkowy dla mężczyzn, żeby czytali więcej fikcji" – pochwaliła się na forum internetowym klubowiczka. W powieści „Klub książki. Bromance" Lyssy Kay Adams bohater szuka ratunku dla rozpadu małżeństwa w tajnym klubie książki. Mężczyźni czytają tam najpopularniejsze romanse i za ich pomocą próbują uratować małżeństwo kolegi, ale życie układa inny scenariusz.

Najdziwniejszy klub książki, o jakim słyszeliście? Może Undergroundowy Klub Książkowy, który zrzesza osoby szukające w literaturze mocnych wrażeń. Bardzo popularne są spotkania „Silent Book Club" i „Silent Book Party" (pisaliśmy o tym

eprasa.pl 196cd999bb

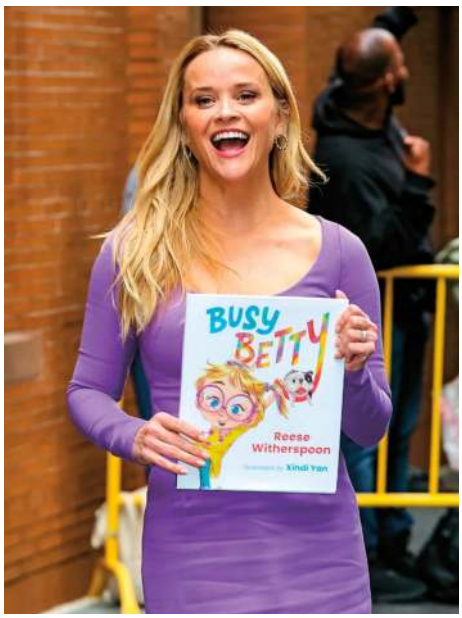


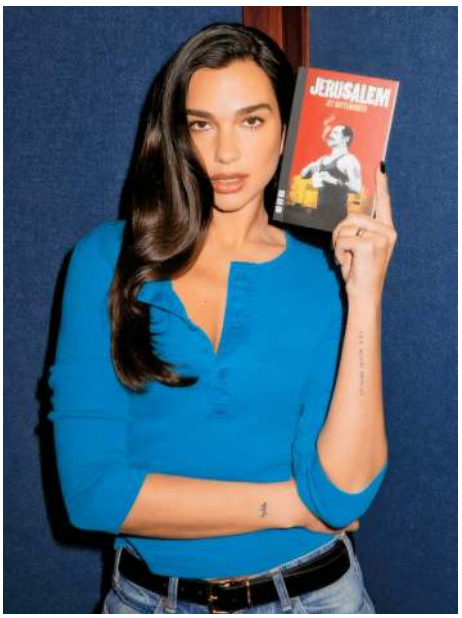

Założycielki własnych potężnych klubów książki. Od lewej: **aktorka Reese Witherspoon, dziennikarka i producentka Oprah Winfrey, piosenkarka Dua Lipa.**

w POLITYCE 15) – ten pomysł, zapoczątkowany w San Francisco, polega na tym, że uczestnicy spotykają się w kawiarniach lub parkach, czytają w absolutnej ciszy własne książki, a na koniec – jeśli mają ochotę – wymieniają się wrażeniami. Bez presji. Jest też Klub Książki Śmierci (Silent Book Club of Death) – spotkania gromadzą miłośników literatury podejmującej tematykę umierania, żałoby i przemijania. Vaginal Fantasy Book Club to z kolei klub, który skupia się wyłącznie na literaturze fantasy z mocnym wątkiem romansu i erotyki. A do tego jeszcze istnieją Kluby BINGO: zamiast jednej książki dla wszystkich członkowie czytają pozycje pasujące do wylosowanych kategorii (np. „książka z żółtą okładką", „debiut z 2025 r.").

Kluby czytelnicze często łączą się z innymi przyjemnościami – choćby z jedzeniem. Service95 Book Club Duy Lipy proponuje Book Tasting – wieczór z książkami, winem i lodami. Prywatne kluby też często dyskutują podczas kolacji, kolejni klubowicze goszczą resztę i dla niej gotują. Niektórzy zawyżają poziom kulinarny, inni zaniżają poziom dyskusji. Czasem rozmowy zbaczają na manowce i trudno przy winie zawrócić je do dyskusji o książce.

Kluby książki ewoluują więc czasem, stając się klubami kolacyjnymi. W powieści Ashton Lee „Wiśniowy Klub Książki", która opowiada o klubie książki w małym amerykańskim miasteczku, więcej znajdziemy opisów jedzenia niż dyskusji o książkach. Jej bohaterka Maura postanowiła uratować upadającą bibliotekę, zakładając dyskusyjny klub książki. Spotkania odbywały się rzadko, bo raz na kilka miesięcy, a dyskusje o książkach w powieści nie wyglądają zachęcająco: po przeczytaniu „Przeminęło z wiatrem" klubowicze zastanawiali się np., kto z nich jest bardziej podobny do Melanii, a kto do Scarlett. Bywa, że kluby książki stają się klubami winiarskimi albo – częściej – hafciarskimi lub szydełkowymi.

Pojawiają się też różne sposoby zarabiania na klubach. Niektóre każą płacić autorom za to, że omawiają ich książki. Stosunkowo nowym pomysłem jest turystyka klubowa – *reading retreat*, czyli kameralny wyjazd nastawiony na czytanie, odpoczynek i rozmowy o książkach. I jest coraz więcej osób, które są w stanie zapłacić za to nawet kilka tysięcy dolarów.

Czy w Polsce znajdą się chętni? „Poznam kogoś, kto też lubi czytanie" – taki trend można zauważyć w aplikacjach randkowych. Manifestowanie czytania zyskało nazwę booksmaxingu. I ta moda ma związek z działalnością celebrycką wokół książek – Dua Lipa mówiła wielokrotnie, że „czytanie było fundamentem każdego rozdziału jej życia". W ostatnim roku wygłosiła też inauguracyjny wykład podczas przyznawania Nagrody Bookera. Booksmaxing to również pokazywanie mieszkań z książkami i turystyka książkowa, rośnie zainteresowanie podróżami inspirowanymi literaturą i liczba rezerwacji hoteli z bibliotekami.

Te wszystkie trendy i mody nie zmieniają ogólnej sytuacji: wielu młodych ludzi porzuca czytanie. Żyjemy w czasach, w których wszyscy mamy kłopoty ze skupieniem i koncentracją, a nasze przebodźcowane umysły stają się rozleniwione coraz bardziej prymitywnymi treściami. Czytanie książek i rozmawianie o nich jest jednym z najłatwiej dostępnych sposobów treningu umysłu i okazją do spotykania ludzi podobnych do nas. W ten sposób stawiamy opór wpływom algorytmów, przełamujemy siłę przyciągania ekranów. To inwestycja w przyszłość (bardzo niepewną przecież).

Czytanie bywa też niebezpieczne. Jak dowiadujemy się z Klubu na Dzielni, jednego z klubowiczów, Farida, pewnego dnia aresztowała specjalna Brygada Antyksiążkowa z Paryża. Byli szczególnie zawzięci na ludzi z Południa, bo zazdrościli im literatury i słońca. Dlatego Geronimo prosił o ostrożną lekturę książek, bo to teraz niebezpieczne. Dobry żart, ale rzeczywiście tak bywa, choćby w Stanach, gdzie książki są w wielu miejscach banowane, a bibliotekarze ścigani. Pośród wielu zachęt ta – czytajmy, bo to niebezpieczne – pasuje do dzisiejszych czasów.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

© JOSE PEREZ/BAUER-GRIFFIN/GC IMAGES, ERIC CHARBONNEAU/GETTY IMAGES/GETTY IMAGES, MADISON PHIPPS

eprasa.pl 196cd999bb

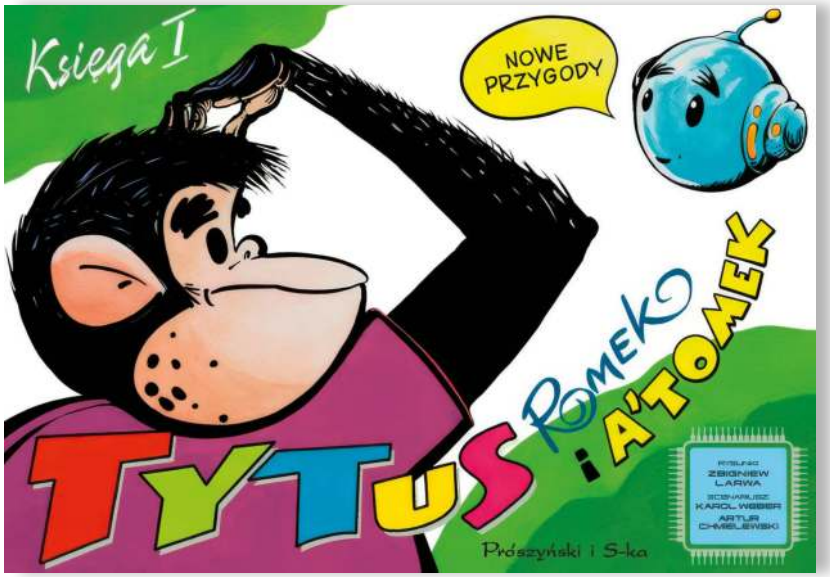

Tytus wciąż się uczy

Pięć lat po śmierci Papcia Chmiela komiks o przygodach Tytusa, Romka i A'Tomka, jego najważniejsze dzieło, doczekał się kontynuacji. Niestety nieudanej.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Opinie są skrajne. „Przebrnąłem przez tę książeczkę niczym przez gazetkę z osiedlowego supermarketu", pisze rozczarowany użytkownik serwisu Lubimy Czytać. „Zabawa przednia, mam nadzieję, że będzie ciąg dalszy", entuzjazmuje się inny. Można było się spodziewać, że premiera nowych przygód Tytusa podzieli czytelników (choć w internecie coraz trudniej oddzielić ziarna szczerych opinii od plew trollingu). Część komiksowego fandomu jest bardzo przywiązana do nietykalności klasyki: zwłaszcza albumy czytane w młodości to rzecz święta, niechętnie poddawana krytyce, a zatem ich jakakolwiek adaptacja przyjmowana jest przynajmniej z podejrzliwością. Nie mówiąc już o kontynuacjach tworzonych bez udziału oryginalnych autorów.

Dla kogo ten komiks?

Cykl „Tytus, Romek i A'Tomek. Nowe przygody", którego pierwsza księga ukazała się niedawno, powstaje jednak przy współudziale spadkobierców Henryka Jerzego Chmielewskiego. Współtwórcą serii jest syn artysty Artur Chmielewski, lepiej znany z pracy w NASA, gdzie jest zatrudniony jako menedżer misji sond kosmicznych. Scenariusze pisze z nim Karol Weber, ilustracjami zajął się Zbigniew Larwa, znany przede wszystkim jako rysownik satyrycznej serii „Krasnoludy". Nie są to może twórcy ze ścisłej komiksowej czołówki, jednak z pewnością o zauważalnym dorobku.

„Od początku zależało nam przede wszystkim na tym, aby ocalić Tytusa i jego niezwykły świat przed ciszą i zapomnieniem. Chcieliśmy, żeby nadal dawał ludziom radość, humor i ten specyficzny rodzaj dziecięcej wyobraźni, który od dekad towarzyszy czytelnikom", mówił Karol Weber w wywiadzie dla serwisu internetowego Paradoks.

Plan udał się w najlepszym razie połowicznie: „Nowe przygody" z jednej strony próbują oderwać się od ciężaru przeszłości, wprowadzić bohaterów w aktualne realia (w uczłowieczaniu i nauczaniu Tytusa pomaga tym razem korzystający ze sztucznej inteligencji aparacik zwany E'Jajem), z drugiej jednak – twórcy kurczowo trzymają się wyznaczonego przez Papcia Chmiela schematu. Powstał komiks nieco archaiczny, ani do końca dla dorosłych fanów (chociaż odnajdą oni całkiem dużo nawiązań do książeczek sprzed lat), ani dla najmłodszych czytelników, dla których mógłby być wprowadzeniem do świata Tytusa. Jest w nim kilka celnych żartów – może to te, o których we wstępie Artur Chmielewski pisze, że są oryginalnymi pomysłami Papcia, które nie trafiły do wcześniejszych komiksów – jednak większość trafia w próżnię lub wydaje się wyjęta z jakiegoś zakurzonego archiwum dowcipów z brodą. Rysunki Zbigniewa Larwy nie są na szczęście banalną imitacją stylu Papcia Chmiela, raczej hołdem złożonym oryginałowi, choć zarazem postaciom – zwłaszcza tym wymyślonym na potrzeby tej konkretnej opowieści – brakuje surrealistycznego humoru i graficznej wyrazistości oryginalnych prac.

Sprawia to wrażenie, jak gdyby twórcy nowych opowieści o Tytusie na razie ostrożnie badali teren, testowali nostalgię fanów i ich gotowość na ewentualne odstępstwa od kanonicznej formy książeczek. Może w kolejnych tomach potraktują oryginalny materiał nieco odważniej? Pomijając bowiem oczywistą chęć zmonetyzowania komiksowej nostalgii, reanimacja Tytusa wydaje się nie tylko zrozumiała, lecz przede wszystkim potrzebna. Także dlatego, że nikt nie psuł legendy komiksowego szympansa bardziej niż jego twórca we własnej osobie.

Na kogo głosowałby szympans?

Papcio Chmiel rysował komiksy o Tytusie przez ponad 60 lat. Ich pierwowzór – „Romek i A'Tomek", jeszcze bez Tytusa – pojawił się na łamach „Świata Młodych" jesienią 1957 r. Przez lata przechodził różne przemiany, by wreszcie stać się opowieścią, którą pokochały pokolenia czytelników: historią inteligentnego i niesfornego szympansa, który – niczym Pinokio – chciałby być człowiekiem, więc nieustannie jest poddawany „uczłowieczaniu" przez swoich przyjaciół – harcerzy Romka i A'Tomka, profesora T. Alenta, a czasami przez samego Papcia Chmiela.

Chmielewski, co imponujące, pozostawał aktywnym twórcą do późnej starości, lecz zmęczony wymyślaniem kolejnych ksiąg (łącznie ukazało się ich 31, nie

© MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 196cd999bb

licząc komiksów rysowanych wcześniej na potrzeby „Świata Młodych") zamienił swoich bohaterów w narzędzia do przybliżania chwalebnych momentów polskiej historii. Tytus, Romek i A'Tomek pojawiali się na kartach albumów jako powstańcy warszawscy albo rycerze Bolesława Krzywoustego, brali udział w Bitwie Warszawskiej, chrzcie Polski, a nawet w amerykańskiej wojnie o niepodległość. Chmielewskiemu zdarzyło się nawet zaprząc Tytusa do kampanii Prawa i Sprawiedliwości („Wy zagłosujecie każdy sobie na inną rzepkę, nie jak bezkonfliktowy mój Papcio na PiS", ironizował szympans w publikowanej w prasowych ogłoszeniach wyborczych „Odezwie do narodu") ze wskazaniem na Zbigniewa Ziobrę, co świadczyć mogło jedynie o tym, że uczłowieczanie komiksowego bohatera może i zakończyło się powodzeniem, ale z edukacją wciąż był na bakier.

Narzekając na jakość późnych dzieł Chmielewskiego, trzeba jednak pamiętać, że jego książeczki o Tytusie z lat 70. i 80. to szczytowe osiągnięcie polskiego komiksu, tworzone z werwą, dowcipem, umiejętnie bawiące się formą graficzną, nawiązujące zarówno do bieżących wydarzeń z życia harcerstwa („Operacja Bieszczady"), jak i do kultury masowej: księga, w której bohaterowie wskakują z kinowej sali prosto do filmowego westernu (inspirowana zapewne „Sherlockiem Juniorem" Bustera Keatona) o dekadę wyprzedzała choćby opartą na podobnym pomyśle „Purpurową różę z Kairu" Woody'ego Allena.

„Tytus", zgodnie z formułą zaproponowaną przez bohaterów, ucząc, bawił i bawiąc, uczył. I gdyby w Polsce generalny stosunek do sztuki komiksowej był inny, bohaterowie Papcia byliby dziś ikonami popkultury na miarę – przy zachowaniu wszelkich proporcji – „Fistaszków" Charlesa Schulza. Żyliby w przestrzeni publicznej na ubraniach i gadżetach przeznaczonych nie tylko dla dzieci. Dziś wizerunki Tytusa i jego przyjaciół (podobnie jak innych bohaterów peerelowskich komiksów: Kajka i Kokosza czy kapitana Żbika) bywają wykorzystywane do produkcji zabawek i koszulek, lecz ich odbiorcami są przede wszystkim entuzjaści wydawnictw sprzed lat, nerdy i kolekcjonerzy. Choć trzeba zauważyć, że nie tylko nowy komiks może odświeżyć popularność Tytusa i jego harcerskich kumpli: studio EGoFilm (które wyprodukowało dla Netflixa serial o Kajku i Kokoszu) pracuje nad pełnometrażową animacją na podstawie komiksów Papcia. Reżyseruje Kristoffer Rus (autor cyklu „Za duży na bajki" oraz biografii Jana Borysewicza „Mniej obcy"), a przy filmie pracowało wielu utalentowanych polskich rysowników komiksowych, m.in. Tomasz Leśniak, Michał Śledziński i Ernesto Gonzales.

Wszystkich wkurzymy

Odświeżanie popularnych serii nie jest na komiksowym rynku zaskoczeniem. Amerykańskie historie o superbohaterach tworzone są równolegle przez wielu twórców, ale i zapotrzebowanie na nowe historie jest olbrzymie, przekracza możliwości jednego artysty czy nawet duetu scenarzysta-rysownik. Jednak również w przypadku komiksów europejskich, z natury będących częściej dziełami autorskimi, jest to praktyka powszechnie stosowana. Gdy twórca serii umiera, przechodzi na emeryturę bądź wycofuje się z pracy nad danym tytułem, wydawnictwo szuka kogoś, kto mógłby go zastąpić, a jednocześnie zachować porównywalny poziom kolejnych tomów.

Tak było choćby w przypadku niezwykle popularnych francuskich cykli o Asteriksie czy Lucky Luke'u. Gdy przedwcześnie zmarł scenarzysta obu serii René Goscinny, nie oznaczało to likwidacji dochodowych tytułów. „Przygody Gala Asteriksa" przez lata kontynuował samodzielnie rysownik Albert Uderzo (co, niestety, wiązało się z radykalnym spadkiem jakości scenariuszy), a gdy w podeszłym wieku sam wycofał się z rysowania, wydawnictwo Dargaud skrupulatnie wybrało kontynuatorów serii. W przypadku „Lucky Luke'a" było podobnie: rysownik Morris najpierw podjął współpracę z różnymi scenarzystami, a gdy sam zmarł, zastąpili go graficy sprawnie imitujący styl jego ilustracji. Nowe zespoły artystyczne zostały zaangażowane do pracy nad takimi seriami jak „Thorgal", „Corto Maltese" czy „Smerfy".

W Polsce to również praktyka coraz częściej stosowana, zwłaszcza gdy okazało się, że nostalgia za komiksami z czasów Polski Ludowej jest wyjątkowo silna, lecz nie da się jej zaspokoić wyłącznie wznawianiem starych tytułów oraz wyszukiwaniem rzadkich rarytasów w lokalnej prasie sprzed lat i w pozostawionych przez artystów papierach. Już po transformacji ustrojowej dwukrotnie próbowano reanimować milicyjny cykl o kapitanie Żbiku, tyle że przenosząc go we współczesne realia, za każdym razem kończyło się jednak na pojedynczych zeszytach.

Za to reaktywacja „Kajka i Kokosza" Janusza Christy okazała się wymiernym sukcesem. Obecnie ukazują się dwie serie komiksów o wojach kasztelana Mirmiła: „Nowe przygody" to pełnometrażowe albumy ze scenariuszami Macieja Kura i rysunkami Sławomira Kiełbusa (pisaliśmy o nich w POLITYCE 24/19), w „Opowieściach z Mirmiłowa" zaś publikowane są krótsze historie wielu autorów i jest w nich miejsce także na narracyjne i artystyczne eksperymenty. W ślad za komiksami poszły serial animowany oraz musical wystawiany w warszawskim Teatrze Syrena.

Kontynuacji doczekały się również satyryczna seria o kowboju Binio Billu (po zmarłym Jerzym Wróblewskim przejął ją Jarosław Wojtasiński) oraz cykl science fiction o przygodach Tajfuna (pierwotnie rysowany przez Tadeusza Raczkiewicza, później przez Pawła Gierczaka). Jedyną ważną serią sprzed lat, która nie doczekała się oficjalnej kontynuacji, pozostaje więc „Funky Koval" – napisana z epickim rozmachem SF, którą Maciej Parowski, Jacek Rodek i rysownik Bogusław Polch komentowali rzeczywistość schyłkowego PRL. Choć i tu pojawiały się informacje o pracach nad ewentualnym ciągiem dalszym. Szykować go mieli scenarzysta Tomasz Kontny i rysownik Rafał Szłapa. „Wymyśliłem jak – teoretycznie – pogodzić starych i zupełnie nowych czytelników Funky'ego, a więc zrobić coś niemożliwego. W praktyce pewnie wszystkich wkurzymy i to też jest coś, z czym się godzę. Ważne, żeby Funky znów budził gorące uczucia, a nie był muzealnym obiektem westchnień", mówił Kontny w rozmowie z serwisem Komiksopedia.

Trafił przy tym w sedno: każda próba reinterpretacji klasycznych komiksów jest skazana na ostrą krytykę ze strony najbardziej zagorzałych fanów, i to niezależnie od końcowego efektu. I chociaż część peerelowskich komiksów to dziś faktycznie obiekty muzealne, to szkoda, by postaci takie jak Tytus pokrywały się kurzem i patyną. Pierwsza próba reanimacji nie okazała się satysfakcjonująca, lecz to nie powinno twórców powstrzymać przed kolejnymi podejściami. ■

eprasa.pl 196cd999bb

Grzechy Edynburga

Zdaję sobie sprawę z tego, że mój bohater będzie żył dłużej niż ja. To bardzo ekscytujące – mówi szkocki pisarz Ian Rankin, którego nowy kryminał „Serce pełne grobów” właśnie ukazał się w polskim przekładzie.



Ian Rankin (ur. 1960 r.) – szkocki pisarz, autor cieszącego się niezwykłą popularnością cyklu powieści o detektywie Johnie Rebusie. Laureat wielu branżowych nagród, m.in. dwóch Edgar Awards. W 2022 r. otrzymał tytuł szlachecki za zasługi w dziedzinie literatury. Jego książki w Polsce ukazują się nakładem wydawnictwa Albatros.

eprasa.pl 196cd999bb

JAKUB DEMIAŃCZUK: **– W zbiorze esejów „List do młodszego mnie" napisał pan kiedyś: „Myślę, że nastoletni Ian byłby zaskoczony tym, jak potoczyła się jego kariera. Jeśli marzył o pisaniu, to widział w sobie poważnego literata, a nie kogoś, kogo książki kupowałoby się w księgarni na lotnisku". Stało się inaczej: jest pan bardzo popularnym autorem literatury gatunkowej. To przywilej czy przekleństwo?**

IAN RANKIN: – Na pewno marzyłem o popularności, ale rzeczywiście początkowo chciałem pisać poważną literaturę, zdobyć Nagrodę Bookera albo inne wielkie wyróżnienie. A gdy pisałem „Supełki i krzyżyki", pierwszą powieść o Johnie Rebusie, to nie myślałem o niej w kategoriach gatunku. Chciałem napisać coś w rodzaju wariacji na temat „Doktora Jekylla i pana Hyde'a" Stevensona, tyle że osadzonej we współczesnym Edynburgu. Już w czasie pisania przekonałem się jednak, że kryminał jest całkiem użytecznym środkiem do pisania o problemach współczesnego świata, o moralności, granicy między dobrem a złem. I tak zostałem autorem kryminałów. To był przypadek, lecz okazał się dla mnie bardzo szczęśliwy.

Pierwszą powieść o Rebusie napisał pan prawie 40 lat temu. Przez ten czas stosunek krytyków i akademików do kryminału uległ wielkiej zmianie. A pan dostał nawet za swoje zasługi dla literatury tytuł szlachecki.

Rzeczywiście krytycy, szkoły i badacze literatury zaczęli traktować kryminały poważniej. Kiedy zaczynałem pisać, nie dyskutowano o nich na uniwersytetach. W szkole nie można było napisać wypracowania o autorze kryminałów. Teraz ludzie znacznie łatwiej akceptują fakt, że literatura komercyjna może być jednocześnie literaturą poważną. To się zmieniło także dzięki samym pisarzom, którzy częściej traktują prozę gatunkową jako książki, w których można poruszać złożone problemy. A nadanie mi tytułu szlacheckiego – podobnie jak w przypadku choćby Terry'ego Pratchetta czy Philipa Pullmana – było częścią tego procesu. Skoro rodzina królewska uważa to, co piszę, za literaturę, to znaczy, że tak musi być. Choć moja żona bardzo się z tego śmiała i długo nie mogła w to uwierzyć.

Jak wyglądała ta ceremonia?

Była bardzo dziwna. Pojechałem do Londynu z żoną i synem, udaliśmy się do Pałacu Buckingham. Tam trzeba było długo czekać, ale nie ma żadnego przyjęcia ani nawet miejsca, gdzie możesz odpocząć. Po prostu czekasz i czekasz, nie dostaniesz nawet szklanki wody, a to był lipiec, okropny upał. A potem wreszcie wchodzisz do sali, kładą ci miecz na ramieniu i nagle stajesz się sir Ianem Rankinem. I tyle. Po wszystkim poszliśmy do St. James's Park na lody i była to bardzo absurdalna sytuacja, choć zarazem dobry materiał do wspominania. Sam tytuł szlachecki nic w moim życiu nie zmienił. Może poza tym, że gdy idę w Edynburgu do The Oxford Bar, ulubionego pubu Johna Rebusa i mojego, to znajomi się ze mnie nabijają: „O, Rycerzu Królestwa, czy twój koń stoi na zewnątrz? Gdzie twoja zbroja, sir Ian?".

To dlatego, że Szkoci mają specyficzny stosunek do brytyjskiej monarchii?

Nie sądzę, to przyjacielskie złośliwości. Wszyscy jesteśmy ulepieni z tej samej gliny, pochodzimy z tego samego miejsca, mamy robotnicze korzenie. A jednocześnie to cudowna rzecz, że autor kryminałów może zostać rycerzem. Moi rodzice byliby zachwyceni. Nawet jeśli ten tytuł nie załatwi mi lepszego stolika w restauracji, wygodniejszego fotela w samolocie czy choćby darmowego drinka w The Oxford Bar.

Pana seria stała się swego rodzaju kroniką zmian społecznych, obyczajowych i politycznych. Czy dzisiaj, czytając „Supełki i krzyżyki", rozpoznałby pan Johna Rebusa, Edynburg i Szkocję z tamtych czasów?

Rozpoznałbym, choć wtedy miałem zupełnie inne podejście do tej postaci. Przede wszystkim w ogóle nie myślałem w kategoriach serii. „Supełki i krzyżyki" miały być jedną książką. Ale John Rebus, niemal bez mojej woli, wbił mi się pod skórę. Po prostu nie chciał odejść. Uświadomiłem sobie, że z tą postacią w ramach konkretnego gatunku można zrobić naprawdę wiele. Jeśli chcesz poznać Szkocję, jeśli chcesz zgłębić jej historię kulturową, społeczną i problemy gospodarcze, Rebus ci w tym pomoże. Gdy zdecydowałem, że to będzie jednak seria powieści, wiedziałem, że chcę stworzyć układankę, która da rozpoznawalny obraz Szkocji przełomu wieków. Choć nie zdawałem sobie sprawy, że tak długo będę mógł ją ciągnąć. I dotarłem do etapu, w którym mój bohater jest tak stary, że coraz trudniej mi wymyślić, co jeszcze mogę z nim zrobić, żeby to było z jednej strony atrakcyjne dla czytelników, a z drugiej – realistyczne w przypadku postaci, która ma prawie 80 lat. Ale to jeszcze nie jest problem do rozwiązania dziś.

Nadejdzie taki moment, kiedy postawi pan ostatnią kropkę w tej historii?

Pewnie tak. Choć może umrę przed nim, nie wiadomo. Wtedy przyjdzie ktoś i ogłosi: „Napiszę kolejną książkę o Rebusie", a mój wydawca odpowie: „Tak, świetnie. Tylko dlatego, że autor nie żyje, nie musimy tracić takiej postaci".

Wyobraża sobie pan, że ktoś inny mógłby pisać o Rebusie?

Bez trudu. Seriale o Rebusie często opierają się na fabułach, których ja nie napisałem. Pomagam przy realizacji jako konsultant, ale potem scenarzysta pisze własną historię. A kiedy już umrę, nie będę miał nic do powiedzenia, co się ma wydarzyć, wydarzy się beze mnie. Prawdę mówiąc, nie przywiązuję się zbytnio do tej postaci, mam wrażenie, że prowadzi własne życie, w którym mnie nie ma. Kiedy fani przyjeżdżają do Edynburga, szukają The Oxford Bar i innych miejsc z moich książek, to nie szukają mnie. Szukają Johna Rebusa. Dla nich to on jest bardziej realny ode mnie.

Sherlock Holmes i Philip Marlowe do dziś pojawiają się w nowych powieściach.

Tak jak bohaterowie Agathy Christie, James Bond, inspektor Morse czy nawet George Smiley z książek Johna le Carrégo. Jeśli masz kultową postać, śmierć autora nie ma większego znaczenia. To bardzo ekscytujące, bo zdaję sobie sprawę z tego, że Rebus będzie żył dłużej niż ja. Nie wiem, czy Conan Doyle kiedykolwiek brał pod uwagę, że ludzie będą wciąż mówić o jego postaci, pisać o niej i kręcić filmy tak długo po śmierci twórcy.

Mógł coś przeczuwać, bo kiedy próbował uśmiercić Sherlocka Holmesa, nie był w stanie – tak duża była presja czytelników.

Myślę, że chodziło też o presję finansową. Wydawca zaoferował mu całkiem sporo pieniędzy, żeby przywrócił Holmesa do życia. Ale tak, próbował się od niego uwolnić. Napisał całą masę innych książek, które nie odniosły sukcesu. A dla mnie to dość irytujące, bo zawsze będę tylko drugim najbardziej znanym pisarzem kryminalnym z Edynburga.

Wiele osób pewnie nie pamięta, że Conan Doyle pochodził z tego miasta, tak mocno jego proza zrosła się z Londynem.

Ale wystarczy poszukać w internecie nagrań jego głosu. Są dostępne. Mówił ▶

© PAUL GROVER/REX/EAST NEWS

eprasa.pl 196cd999bb

▶ z tak silnym szkockim akcentem, że nie sposób zapomnieć o jego pochodzeniu. No i pewnie nie odniósłby takiego sukcesu, gdyby nie studia w Edynburgu, bo Sherlock Holmes był inspirowany jednym z jego wykładowców na studiach medycznych.

Powieść „Serce pełne grobów", która ukazuje się właśnie w Polsce, była inspirowana prawdziwymi przypadkami przemocy policyjnej i przemocy domowej. Czy jej pisanie było trudniejsze niż zazwyczaj?

Samo pisanie było łatwe, bo ta powieść powstawała w czasie pandemii, kiedy jak wszyscy siedziałem zamknięty w domu, więc mogłem tylko słuchać muzyki i pisać. Ale jednym z efektów pandemii był też pogłębiający się kryzys zaufania do władzy, w tym do policji. Niemal każdy z pisarzy kryminalnych musiał w ostatnich latach zderzyć się z tym problemem: społeczeństwo coraz rzadziej postrzega policję jako tych „dobrych". Tak samo miał choćby Michael Connelly (autor cyklu o detektywie Boschu – przyp. red.) w Stanach Zjednoczonych, który musiał skonfrontować swoich bohaterów z ruchem Black Lives Matter, zrodzonym w dużej mierze z protestów przeciwko zbrodniom dokonywanym przez policję.

A jak wyglądała sytuacja w Wielkiej Brytanii?

Pojawił się poważny problem z londyńską policją metropolitalną, która tuszowała sprawy dotyczące funkcjonariuszy dopuszczających się nadużyć, gwałtów, a w jednym przypadku nawet zabójstwa – i wszystko to zostało przemilczane. Nie zatuszowane, ale brakowało jasnej komunikacji z opinią publiczną. Więc jeśli twoim bohaterem jest policyjny detektyw, po prostu musisz się zmierzyć z tymi tematami, jeżeli chcesz pozostać wiarygodnym pisarzem. Rebus jest przy tym bardzo specyficzną postacią. Często ignorował zasady, naginał przepisy, łamał prawo, choć we własnym mniemaniu z właściwych powodów. W tej książce chciałem, żeby skonfrontował się z własną przeszłością. Żeby powiedział: „Byłem jednym z tych facetów, takim właśnie gliną byłem" i próbował odpokutować za grzechy przeszłości. Ale żeby również zadał sobie pytanie, czy naprawdę czuje się winny, czy to tylko maska, która ma sprawić, że ludzie spojrzą na niego łagodniej. Stawiam go przed moralnymi dylematami, dlatego „Serce pełne grobów" zaczyna się i kończy w sądzie. To zresztą miała być ostatnia powieść w serii, ale coś się wydarzyło i jednak napisałem kolejną. Jak mówiłem, nie mogę się od Rebusa uwolnić. Na razie zrobiłem przerwę, ale niewykluczone, że jeszcze do niego wrócę.

Gliniarze łamiący prawo często pojawiają się w pańskich książkach. Zastanawiam się, jak prawdziwi policjanci na nie reagowali, bo nie portretuje ich pan pochlebnie.

Kiedy pisałem pierwszą powieść, byłem jeszcze studentem. Poprosiłem o pomoc komendanta policji w Edynburgu i dostałem odpowiedź, żebym udał się na posterunek, gdzie będę mógł porozmawiać z dwoma detektywami. Byli wobec mnie bardzo nieufni. Nie zdarzało się przecież, żeby ktoś przyszedł, przedstawił się jako pisarz i poprosił o możliwość zadania kilku pytań, więc podejrzewali, że coś zrobiłem i szukam sposobu, jak się z tego wykręcić. Po tym wydarzeniu przez dłuższy czas trzymałem się z dala od policji. Z tego powodu popełniłem kilka błędów, a potem policjant, który był fanem moich książek, wyjaśnił mi, co napisałem źle. Wtedy pisałem już na pełny etat i pomyślałem, że powinienem zadbać o szczegóły. Piszę o ludziach wykonujących prawdziwe zawody, należy im się uczciwość. Robiłem więc lepszy research i miałem szczęście – Edynburg to przecież małe miasto. Wystarczy znać jednego patologa, kilku policjantów, jednego lub dwóch prawników, ludzi pracujących w kostnicy – i masz gotowe materiały do badań. A choć moje książki są dość krytyczne wobec szkockiej policji, na szczęście wszyscy chcieli ze mną rozmawiać. Jednym z problemów, z którymi się teraz borykam, jest oczywiście to, że policjanci, których znałem, już dawno przeszli na emeryturę, ale w sumie tak samo jest z Rebusem.

W „Sercu pełnym grobów" wraca przestępca Big Ger Cafferty. Bardzo lubię tę nieoczywistą relację, która łączy go z Rebusem.

Cafferty pojawił się na chwilę w powieści „Kieł i pazur" i został ze mną na lata. On i Rebus mają bardzo podobne osobowości i gdyby Rebus nie został policjantem, mógłby z łatwością stać się gangsterem, „dobrym złoczyńcą". I to właśnie jest istota rozmowy, jaką Cafferty przez lata z nim prowadzi. Powtarza: „Nie pasujesz do policji, należysz do nas". Wiecznie kusi go, by przekroczył granicę i przeszedł na ciemną stronę mocy. Cafferty jest dla mnie symbolem moralnej dwuznaczności, która stała się podstawą całej serii. Jest uosobieniem zła, lecz jednocześnie wyznaje specyficzny kodeks moralny, którego młodsi od niego przestępcy już nie mają. Podobnie jak Rebus obserwuje zmiany zachodzące w świecie, ale dzięki niemu mogę pokazać je z tej drugiej, mroczniejszej perspektywy. W mojej głowie doskonale się uzupełniają. Są jak Jekyll i Hyde.

Wciąż trudno się panu uwolnić od tego Stevensona?

Niezwykle. „Doktor Jekyll i pan Hyde" są wpisani w DNA każdego szkockiego autora kryminałów. Także dlatego, że to Edynburg był inspiracją dla tej noweli. Stevenson osadził akcję w Londynie, lecz tak naprawdę pisał o swoim rodzinnym mieście. To miasto na pozór bardzo eleganckie, kulturalne i cywilizowane, ale pod powierzchnią kryje się inny Edynburg – z problemami społecznymi i narkotykowymi, z ludźmi pozbawionymi środków do życia, bez nadziei na przyszłość. Nowe Miasto, w którym dorastał Stevenson, było postrzegane jako zaplanowane i racjonalne, ale jego uwagę przyciągał stary, autentyczny Edynburg, niebezpieczny i mroczny.

To miasto z przeszłości jest inspiracją także dla pana?

Gdy zaczynałem karierę w latach 80., wciąż tak je postrzegałem. Wydawało mi się, że to wciąż miasto w stylu Jekylla i Hyde'a, miasto, w którym były muzea, galerie sztuki i zabytkowe zamki, lecz także narkomani, prostytutki i mnóstwo innych zdesperowanych ludzi. Kryminał dał mi dostęp do tych dwóch miast, a Rebus, jako detektyw, mógł swobodnie przemieszczać się między tymi dwoma Edynburgami – racjonalnym i chaotycznym. Widziałem w nim bohatera w stylu Clinta Eastwooda wjeżdżającego do miasta bezprawia, by zaprowadzić w nim porządek.

Dzisiejszy Edynburg nie jest już tak ekscytujący?

Strukturalnie miasto zbytnio się nie zmieniło. Jest wpisane na listę światowego dziedzictwa, więc nie można w nim wiele zmieniać. Ale czy uległo przemianom kulturowym i politycznym? Myślę, że tak. A ja muszę umieć z tego skorzystać. To miasto jest równie ważnym bohaterem moich powieści co John Rebus. I choć czasami przenoszę akcję w inne miejsca, ta seria nie mogłaby zaistnieć nigdzie indziej poza Edynburgiem.

ROZMAWIAŁ JAKUB DEMIAŃCZUK

eprasa.pl 196cd999bb



Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Wszystko wskazuje na to, że Mandaryna, druga żona Michała Wiśniewskiego, ponownie zostanie jego żoną. Numer sześć. Komora maszyny losującej jest pusta. Następuje zwolnienie blokady.

●

Joanna Kurska zamieściła na Instagramie wideo, na którym Jacek Kurski z Rafałem Brzozowskim wykonują utwór „Jak przeżyć wszystko jeszcze raz". A powinni: „To, co dał nam świat, niespodzianie zabrał los".

●

Polsat szykuje program „Wielka miłość w małym mieście", przeznaczony dla osób pochodzących z małych miast. Nareszcie. Brakujące ogniwo pomiędzy „Ekipą z Warszawy" a „Rolnik szuka żony".

●

Krzysztof Rutkowski obronił pracę licencjacką na kierunku bezpieczeństwo narodowe w Wyższej Szkole Gospodarki Krajowej w Kutnie. Miasto słynie z przetwórstwa tworzyw sztucznych.

●

Daniel Martyniuk ponownie zwyzywał rodzinę w sieci oraz oskarżył ją o pobicie. Oto elementy jego marki osobistej. Autentyczność. Spójność. Konsekwencja.

●

Tomasz Raczek w Plotku o Julii Wieniawie: „Słaba aktorka, ale uzdolniona fotomodelka". Julia o Tomku: „Kiedyś »Film«, »Cinema«, »Polityka«, teraz Plotek". Fakt. Prawdziwą gwiazdę poznajemy po tym, z kim nie rozmawia.

Były szef KRRiT Maciej Świrski został zatrzymany przez CBA. Cóż za piękne zdanie. Wcześniej wzruszał mnie tak tylko Antoine de Saint-Exupéry.

●

Mateusz Morawiecki: „Skoro Michał Wiśniewski i Mandaryna wrócili do siebie, to wszystko jest możliwe. Oprócz twojego głosu na Tuska". Oczywiście. A węgiel, który się nie pali, starcza na dłużej.

●

Karol Nawrocki napisał list do Marka Piekarczyka z okazji 75. urodzin, a przy okazji podziękował za wsparcie podczas wyborów. Marek wcielał się kiedyś w postać Jezusa. Jak widać, dziś by już nie mógł.



© INSTAGRAM.COM/DODAQUEEN

Instagram lepszy niż TVN24. To profil „Widzimy się jutro". Zwarcie i czujnie tropi ruskie wtyczki, prawicowych lizusów i medialnych pajaców. Od Dody po Czarnka. Taki Mazurek po elektrowstrząsach.

●

Paparazzi nakryli Nergala na plaży z ukochaną oraz małym synkiem. Pisałem o tym pierwszy rok temu. Z takimi koneksjami w piekle jestem autorytetem.

●

Coca-Cola wprowadza zmiany graficzne. Ambasadorką zmiany została Justyna Steczkowska. „Nie da się długo opowiadać tej samej historii w identyczny sposób" – mówi artystka. Jej kariera mówi: „Da się".

●

Plotek zapytał Magdalenę Narożną, czy pogodzi się z byłym mężem. Magdalena się nie wypowiedziała. Koniec newsa. Ale swoboda dramaturgiczna jest.

●

Jola Rutowicz, laureatka „Big Brothera" z 2007 r., od lat zamieszkała w Miami, planuje powrót do kraju. Szok. Najpierw Szpital Południowy, a teraz to.

●

Julia Wieniawa rezygnuje z bycia jurorką programu „Mam talent!". Gratuluję. Może tak jak ja uważa, że ludziom płaczącym na widok bolesnej przeciętności niepotrzebny jest talent, tylko terapeuta.

●

„Oskarżanie całego kraju o pójście w stronę brunatności po jednym incydencie to jednak jakaś aberracja" – to Jacek Prusinowski o ataku na młode Ukrainki. Ja na przykład po jednej nutce wyczuwam trolli.

●

Joanna Kurska domagała się przeprosin od TVP. Sąd oddalił powództwo. Ktoś, kto codziennie patrzy na Jacka, nie może lubić telewizji.

Doda w patriotycznym negliżu uczciła pamięć ofiar Wołynia. Z prokuratorem i zarzutami na karku możemy się spodziewać u niej takich postaw. Jest szansa, że 1 września najedzie Niemcy.

eprasa.pl 196cd999bb

FELIETON

Koziołek



Bezwstyd

Miałam nadzieję, że Belgowie zastrajkują i nie zagrają z Ameryką – stwierdziła sąsiadka.

– Zamiast tego sprawili im łomot 4:1. I może to była najlepsza reakcja – odparłem szybko, bo chciałem wyrzucić śmieci i wrócić oglądać tenisa.

– Nie sądzę – upierała się. – Powinni się wstydzić, że przeszli nad tym do porządku i wyszli na boisko.

– FIFA to nie jest raczej wzór cnót; nie pierwszy i nie ostatni raz wykręcają podobny numer – relatywizowałem pojednawczo.

– Bo my im na to pozwalamy. Dlatego ani im, ani nikomu nie wstyd. Ani prezydentowi, ani temu bez włosów, ani piłkarzom, ani panu, skoro nadal pan na to patrzy – zakończyła z rezygnacją.

Napastnik USA Folarin Balogun podczas meczu z Bośnią i Hercegowiną został ukarany czerwoną kartką. FIFA podjęła oczywistą decyzję o zawieszeniu zawodnika. Prezydent Donald Trump uznał tę zasadę za bardzo niesprawiedliwą i doprowadził do jej uchylenia. Prezydent FIFA Gianni Infantino utrzymywał, że decyzja o uchyleniu była niezależna. Niestety, Trump pochwalił się wprost: „To ja doprowadziłem do zmiany decyzji".

Stand-upowa poetyka wypowiedzi prezydenta łatwo może zwieść. Nie to jest kluczowe w tej aferze, kto dostał czerwoną kartkę, ale kto ją dawał. A był to brazylijski sędzia Raphael Claus, którego Trump nazwał „nieco podejrzanym". Brazylijska Konfederacja Piłkarska (CBF) natychmiast wzięła go w obronę. Gorliwość tej reakcji przypomina, że stosunki Trumpa z prezydentem Lulą da Silvą od lat są napięte. Amerykańskiemu prezydentowi bliżej do byłego przywódcy Brazylii Jaira Bolsonara, którego syn Flávio będzie startował w październikowych wyborach. Po procesie Bolsonara w sprawie próby zamachu stanu Ameryka nałożyła wysokie cła na Brazylię. Zostały niedawno zniesione, ale Lula głośno ostrzega, żeby Trump nie próbował ingerować w wybory. Sprawy zgęstniały jeszcze bardziej, gdy głos zabrał sekretarz stanu Marco Rubio, który zasugerował, że ktoś próbuje wywołać międzynarodowy incydent i ostrzegł, że zostanie to poruszone podczas szczytu NATO.

> Mają rację naiwni kibice, kiedy się upierają, że reguły gry w piłkę nożną nadal obowiązują. Nawet prezydentów.

W tej kwestii najmniej chodzi o futbol i ukaranego czerwoną kartką napastnika, który w dzisiejszej Ameryce w ogóle nie mógłby grać. Gdyby rozporządzenie prezydenta w sprawie nabywania obywatelstwa przez urodzenie nie zostało uchylone niedawno przez Sąd Najwyższy, Balogun miałby nie tylko czerwoną kartkę, ale także nakaz deportacji ze Stanów. Urodził się w Nowym Jorku, ponieważ linia lotnicza nie pozwoliła jego matce, wówczas w zaawansowanej ciąży, na powrót do Londynu.

A jednak – mimo wielkiej polityki za kulisami – wciąż chodzi przede wszystkim o futbol. I mają rację naiwni kibice, kiedy się upierają, że reguły gry w piłkę nożną nadal obowiązują. Nawet prezydentów. Czy to USA, czy FIFA. Nie ma co zwalać na polityków odpowiedzialności za to, że FIFA bezczelnie łamie swoje własne zasady. Robi tak, bo jej pozwalamy. Piłkarze Belgii zgodnie twierdzili, że to nie było w porządku, ale starali koncentrować się na meczu. Dobrze ujmują to słowa skrzydłowego Dodi Lukébakiego: „Nie rozumieliśmy, dlaczego pozwolono mu zagrać, skoro dostał czerwoną kartkę. Nie chcieliśmy jednak zbyt długo o tym myśleć. Skupiliśmy się na własnej grze i właśnie dlatego wygraliśmy". Oni wygrali mecz, ale my znów przegrywamy. Oszukując się, że gra po staremu nadal jest możliwa, mimo iż jej zasady są łamane.

Ale nie jest. Obaj prezydenci jawnie, z cynicznym bezwstydem, naruszyli fundament wszelkiego systemu wartości. A jest nim deklarowany publicznie szacunek dla tworzonych przez siebie praw, norm i reguł. Każdy złamie w życiu jakąś zasadę. W większości nie powoduje to konfliktu z prawem, a jednak powinniśmy się czuć z tego powodu źle. Przejawem złego samopoczucia jest wstyd. Jak pisze najpopularniejszy dziś filozof Byung-Chul Han: „Wstyd w tradycyjnym znaczeniu pełni funkcję społecznego spoiwa. Kto odczuwa wstyd, uznaje nadrzędny system wartości. Rytuały skruchy przywracają utracony honor" („Epoka bezwstydu", przeł. R. Pokrywka).

Czerwona kartka jest kolorem wstydu za brutalny faul. A jak się człowiek wstydzi, to się czerwieni. Coraz rzadziej, gdyż to my – społeczeństwo – pozwalamy jednostce się nie wstydzić. Dobrze, jeśli robimy to, żeby nie zawstydzać słabego. Gorzej, jeśli w skrytości podziwiamy bezwstydnika.

Kiedy kamera pokazała siedzącego na trybunach Infantina, pojąłem, że to bliźniak Ryszarda Ochódzkiego – prezesa klubu Tęcza! Pamiętacie, jak w „Misiu" minister dostaje od prezesa zwycięski puchar dla wnuka? Jako że wnuk nie uprawia żadnego sportu, napis brzmi: „Markowi Złotnickiemu za zajęcie pierwszego miejsca". Doceńmy powściągliwość prezydenta Trumpa – mógł zażądać pucharu dla Ameryki, zadowolił się kartką.

RYSZARD KOZIOŁEK

eprasa.pl 196cd999bb

FELIETON

Witkowski



Mamo, chwalą nas!

Lata znoju i obchodzenia się smakiem. Dekady spędzone w kolejce, z odległym numerkiem w dłoni. Eony przyglądania się, jak inni odbierają od dyrektora szkoły nagrody za wybitne osiągnięcia, podczas gdy na nas czekały co najwyżej zajęcia wyrównawcze. Ale koniec tego. Chwalą nas. Ależ naturalnie, że nie było łatwo umościć się na mapie. Najpierw zabory, potem wojny, komunizm. Białe niedźwiedzie wyjadające nam z lodówki miód czy ryby i dziarsko spacerujące po ulicach. Niby papież coś pomógł, podobnie jak Wałęsa (z Bońkiem bym nie szalał, choć piłkarz wybitny), ale przecież obaj, szczególnie pierwszy z wymienionych, stali się własnością całego świata i odstępstwem od reguły. Poza tym Wałęsę przykrył bardziej wdzięczny popkulturowo mur berliński, mówił o nim przecież kowboj Reagan. Znowu było „w Polsce, czyli nigdzie", zniknęliśmy z mapy, zanim się na niej pojawiliśmy.

Cóż było robić? Została nam „Polka robiąca karierę w Hollywood". Joanna Pacuła może i nie występowała w najwybitniejszych produkcjach filmowych swojej ery, ale... występowała. Co więcej, nie zawsze grała Rosjankę. Lata 90. przyniosły nam jeszcze polską dziewczynę Bonda w postaci Izabelli Scorupco. Do tego dodajmy świetnie radzącą sobie na Zachodzie Basię Trzetrzelewską, ale umówmy się, że był to pop w wydaniu „sofistykowanym", niekoniecznie zapewniający popularność w głównym nurcie. To widzą nas czy nie widzą? Wajda niby dostał tego Oscara w 2000 r., ale za całokształt twórczości, gdy od lat był już „pod formą". Gdyby dostał za „Ziemię obiecaną", o, to inna rozmowa. Ale wiadomo: lobby, sitwa, te sprawy...

> Jesteśmy przykładem dla Europy. Dominik Tarczyński w świetnej angielszczyźnie tłumaczy to brytyjskim telewidzom.

Aż w końcu jutrzenka nam zaświtała. Premier Tusk wręczył w 2011 r. prezydentowi Obamie grę „Wiedźmin 2", nasze dobro kulturalne. Być może prezydent Komorowski również w nią zagrał, bo Geralt sporo tam poluje – na biesy i harpie, a nie na dziki czy jelenie, ale jednak. Proza Sapkowskiego też czytała się na całym świecie jak szalona. Robert Lewandowski śrubował kolejne rekordy, bez kompleksów śniadał przy jednym stole z Messim. Coś nam się w końcu należało od świata. Gdy w pandemicznym roku 2020 podjęto decyzję o nieprzyznawaniu Złotej Piłki, jednej z najbardziej prestiżowych nagród dla futbolistów, polscy kibice węszyli spisek – było bowiem spore prawdopodobieństwo, że laur trafiłby do ówczesnego napastnika Bayernu. A tego świat by z pewnością nie zniósł.

Próbowaliśmy więc dalej: kolejne nagłówki „Polacy docenieni za granicą", „Polski film zdobył uznanie w (...)", sporadyczne wspomaganie się Pawlikowskim (Czy to jednak Polak? Co on w tej „Idzie" nawymyślał?) i głód, głód tak przenikliwy, że prowadzący do halucynacji. Jak wtedy, gdy niektórzy z użytkowników internetu uznali mijające się w Los Angeles samochody za ukłon w stronę naszego Święta Niepodległości: wszak po jednej stronie drogi skrzyły się światła białe, po drugiej zaś czerwone. Z szacunku dla czytelników pozwolę sobie nie tłumaczyć tej szarady.

Dziś śmiało można stwierdzić – przetrwaliśmy. I się doczekaliśmy. Cieszymy się uznaniem, które nie wymaga od nas ekstrapolowania jednostkowych sukcesów na całe społeczeństwo. Jesteśmy przykładem dla całej Europy, ba, świata całego. Dominik Tarczyński, uzbrojony w świetną angielszczyznę, tłumaczy brytyjskim telewidzom, że żadni szemrani imigranci nie mają do naszego kraju wstępu (a jeśli mają, to wina lewicy, czymkolwiek ona jest).

Przyklaskują mu zagraniczni internauci. Piszą, że Polska stanowi wzór do naśladowania, dba o swoją kulturę i wyciąga odpowiednie wnioski z doświadczeń państw „starego Zachodu". Brytyjski wokalista Morrissey rozpływa się w wywiadzie nad naszym krajem, przyznaje też, że nabył u nas kilka nieruchomości.

Słowo daję, siedzę w internecie niemal od zarania (to jest od czasów wczesnej Neostrady) i takiej mody na „polskość" jeszcze nie widziałem. A to rodzi apetyt na więcej. Wciąż jesteśmy przecież społeczeństwem na dorobku, również na poziomie symbolicznym.

Nie jestem zwolennikiem beztroskiej polityki migracyjnej i adaptacyjnej. Każdy, kto pamięta lata 90. i zerowe, zgodzi się też pewnie, że dziś na polskich ulicach jest całkiem bezpiecznie – a to raczej powód do radości niż troski. Szkopuł tkwi jednak w pozycji – chwalących i chwalonych. Wobec zagranicznych ochów i achów część z nas zachowuje się jak frajerzy docenieni w końcu przez szkolnych łobuzów. Upajamy się uznaniem, bo co, jeśli nagle zgaśnie? Uderzamy więc mocniej, bo rety, ci mocni (faszyzm zawsze ma gruby kontur) chwalą nas, niech to się nigdy nie kończy.

A że wiatr wieje tak, a nie inaczej, do chóru dołączają politycy. Na naszych oczach trwa polityczna licytacja, kto jest surowszy wobec imigrantów i ma bardziej w nosie Ukrainę. W najlepszym wypadku kończy się zbluzganiem dziewczynki rozmawiającej po ukraińsku w autobusie. W najgorszym... Cóż, niech nas już lepiej nie chwalą.

MATEUSZ WITKOWSKI

eprasa.pl 196cd999bb



Przypadki Edika Snieżkina

Korzystając z tego, że w wakacje pewnie i tak nikt mnie nie czyta, zrobię wstydliwe wyznanie. W pewnej kwestii bardzo się myliłem. Jak już się wstydzić, to przynajmniej przed jak najmniejszą publicznością. Gdyby ktoś mnie o to spytał kilkanaście lat temu, powiedziałbym, że uważam Edwarda Snowdena za bohatera. Ten pracownik amerykańskiego wywiadu ujawnił w 2013 r., że cały internet jest na podsłuchu. Amerykanie inwigilują profilaktycznie wszystkich, nie tylko „złych ludzi" – także w państwach zaprzyjaźnionych, z naruszeniem ich (także naszego) prawa.

Wybuchł wtedy skandal, którego nie ma sensu tu teraz streszczać. Oskarżony o zdradę stanu Snowden próbował uciec do Ameryki Łacińskiej, ale unieważniono jego paszport, więc ugrzązł przypadkiem na moskiewskim lotnisku Szeremietiewo. Żeby nie siedzieć wiecznie w strefie tranzytowej, jak Tom Hanks w komedii „Terminal", poprosił Władimira Putina o azyl polityczny, a ten mu go wielkodusznie udzielił.

„Przypadkiem", hę? Otóż to wielki wstyd, ale naprawdę kiedyś tak myślałem. Początkowo w działalności Snowdena nic nie wskazywało na to, że działał na zlecenie rosyjskiego wywiadu. Nie opublikował przecież swoich rewelacji w „Prawdzie" czy „Izwiestiach", tylko w zachodnich mediach – wybrał „Guardiana", „Spiegla" i „New York Timesa". Nie miał też na koncie żadnych publicznych wypowiedzi, w których by chwalił Rosję czy Putina.

Ogłaszam, że Edwarda Lonowicza Snowdena i Dżuliana Dżonowicza Asanża uznaję za rosyjskich agentów.

Z perspektywy kilkunastu lat przestałem wierzyć w takie „przypadki", zwłaszcza związane z Rosją. No tak, wiem, co państwo teraz myślicie. „Refleks szachisty", „rychło w czas", „lepiej późno niż wcale, powiedział smutny pasażer na peronie" – dlatego właśnie ogłaszam to w wakacje, kiedy nikt mnie nie czyta. Przez te kilkanaście lat Snowden nie zrobił nic, żeby się wydostać z Rosji, w której rzekomo znalazł się „przypadkiem". W 2020 r. „przypadkiem" przyjął rosyjskie obywatelstwo. Co więcej, z różnych wypowiedzi (także ze słów samego Putina w wywiadzie dla Olivera Stone'a) wynika, że jednak komunikował się z Rosjanami jeszcze przed rozpoczęciem ucieczki.

Niby nie chwalił Rosji wprost, ale parokrotnie wypowiadał się na temat polityki amerykańskiej. Jego wypowiedzi „przypadkiem" sprowadzały się do wspierania Donalda Trumpa, choć znowu nie wprost – raczej starał się namawiać lewicowych wyborców, żeby nie głosowali wcale albo poparli pozbawionego szans „trzeciego kandydata". W administracji Trumpa wspierał zaś osoby o nastawieniu najradykalniej prorosyjskim, w rodzaju Tulsi Gabbard.

Wykorzystując sławę „sygnalisty stulecia", promował idiotyczne propagandowe wrzutki na Twitterze. We wrześniu 2024 r. na przykład „ujawnił", że armia amerykańska szykuje się na interwencję w Ukrainie. Serio mógł to potraktować tylko idiota albo ktoś, komu Rosja płaci za rolę „użytecznego idioty". Wzorem ogłoszeń w przedwojennej prasie typu „niniejszym ogłaszam, że przestaję uważać pana X za człowieka honorowego", ja odwołuję wszystkie swoje pochwały pod adresem owego „bohatera". Niniejszym uznaję pana Edwarda Lonowicza Snowdena (lub po prostu Edika Snieżkina) za rosyjskiego agenta.

Zwykle razem z nim jednym tchem wymienia się innego „sygnalistę", Juliana Assange'a. Tu mam czystsze sumienie, bo nigdy go nie uważałem za bohatera. Jego serwis WikiLeaks zawsze wydawał mi się podejrzany. Assange przedstawiał go jako neutralną platformę do zamieszczania przecieków. Takie coś nie może istnieć, bo wszelka niemoderowana platforma w internecie szybko zmienia się w słup ogłoszeniowy dla pigułek na erekcję i kryptowalut. Sam ciągle muszę z tego czyścić swojego bloga. Assange więc arbitralnie decydował, co publikuje, a czego nie, udając, że tego nie robi. Mówili o tym jego dawni współpracownicy, np. Daniel Domscheit-Berg (nie chwaląc się, sam z nim kiedyś zrobiłem wywiad).

Z perspektywy czasu widać, że Assange nigdy nie opublikował przecieku stawiającego Rosję w złym świetle. To niezwykłe, że jego serwis milczał w sprawie Epsteina (sprawę ujawniły dopiero tradycyjne media, kluczowe było śledztwo Julie Brown z „Miami Herald"). On również lubił uderzać w USA, ale również robił to tak, by promować Trumpa. Pewnie dlatego nie ruszał sprawy Epsteina, bo przecież ten temat jest nieporównanie bardziej krępujący dla Trumpa niż dla Obamy czy Clintona.

Tu mam więc prościej, bo nie muszę ogłaszać, że przestałem uważać Assange'a za osobę honorową. Zawsze go miałem za krętacza – tyle że nie wierzę już, że „przypadkowo" unikał uderzania w Rosję. Niniejszym ogłaszam, że uważam go za rosyjskiego agenta, Dżuliana Dżonowicza Asanża. Co nie oznacza, że stałem się bezkrytyczny wobec USA, a zwłaszcza obecnej administracji. Nie bronię także powszechnej inwigilacji internetu. Po prostu – skoro przestałem wierzyć w „przypadki", to nie wierzę, że Edward Lonowicz i Dżulian Dżonowicz bezinteresownie pomagali Trumpowi wygrać wybory.

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl 196cd999bb

Chutnik Plebanek



Mała wielka odwaga

Są ludzie, którzy chcą żyć tak jak inni. Starzeć się ze znajomymi z liceum, jeździć na działkę jak rodzice, a po czterdziestce wspominać, że kiedyś szaleli, ale dziś ich strzyka. Nie chcą się buntować ani zmieniać poglądów, co najwyżej okulary i rozmiar ubrania (zwykle na obszerniejszy). Są i tacy, którzy na powiew banalności dostają wysypki. Rutyny ich mierżą, a ścieżki wydeptują sobie sami. Co rusz wpadają w osty reguł i potykają się o przestrogi, by nie byli tacy hej do przodu, skoro „tak było zawsze" i „po co to zmieniać". Te wiercipięty mają jednak jasny cel: zostawić świat lepszym, a nie takim, jakim go zastali.

Podobnie z książkami. Są takie, które próbują opisać świat, i takie, które chcą go zmienić. „Odwagi!" Dominiki Lasoty należy do tej drugiej kategorii, chociaż opowieść o rzeczywistości jest tu nader trafna. To nie jest katastroficzny manifest o kryzysie klimatycznym ani moralizatorski wykład o odpowiedzialności młodego pokolenia, choć znajdziemy tu diagnozę tego, co nie działa, i wytykanie dziur w systemie. Jednak przede wszystkim jest to osobisty zapis dojrzewania do sprawczości. Lasota, jedna z najbardziej rozpoznawalnych aktywistek młodego pokolenia, pokazuje czytelnikowi własną drogę od przestraszonej 11-latki, która w 2012 r. czekała na zapowiadany koniec świata, do osoby, która potrafi patrzeć politykom prosto w oczy i domagać się odpowiedzialności. Jej historia pokazuje, że lęk nie musi prowadzić do apatii, a może stać się impulsem do działania, o ile znajdzie ujście we wspólnocie i w zaangażowaniu.

> Lęk nie musi prowadzić do apatii, a może poderwać do działania, o ile znajdzie ujście we wspólnocie i w zaangażowaniu.

Najmocniej wybrzmiewa nie tyle sama opowieść o aktywizmie, ile przekonanie, że odwaga nie rodzi się w próżni. Autorka dedykuje książkę „wszystkim odważnym, które były przede mną, i wszystkim tym, które nadchodzą". W kilku słowach zawiera ideę międzypokoleniowej ciągłości i pewność, że każda zmiana jest efektem wysiłku wielu osób, które przecierały szlaki wcześniej. To także przypomnienie, że dzisiejsze działania staną się inspiracją dla kolejnych generacji. Działanie okazuje się więc nie jednorazowym gestem bohaterstwa, lecz dziedzictwem przekazywanym w sztafecie pokoleń.

Lasota nie zatrzymuje się na diagnozie kryzysów. Proponuje plan odzyskania nadziei. Pokazuje, że wpływanie na rzeczywistość nie jest przywilejem nielicznych, tylko strategią dostępną każdemu, kto zdecyduje się wyjść poza bezradne obserwowanie wydarzeń. Niedowiarkom głoszącym, że jednostka nie ma znaczenia, książka przypomina, że każda większa zmiana zaczyna się od decyzji pojedynczego człowieka. W kulturze narcyzmu, gdzie jak u Gombrowicza „poniedziałek ja, wtorek ja", można uruchomić empatię i wspólnotowość. Oto panaceum na społeczne podziały podsycane przez media społecznościowe.

Jest to lektura ważna nie tylko dla osób zainteresowanych aktywizmem klimatycznym. Historia dojrzewania do zabierania głosu przekonuje, że demokracja wymaga odpowiedzialności obywatelskiej i zaangażowania. W czasach, gdy młodych oskarża się o idealizm czy roszczeniowość, Lasota pokazuje, że ich determinacja może stać się siłą napędową zmian. I – co ważne – inspiracją dla starszych pokoleń. Zakończenie może się wydać naiwne, bo w konkluzji autorka pisze, że to miłość może nas uratować przed krachem cywilizacji. Ta wizja może się wydać nieco utopijna, jednak miłość w literaturze młodych pokoleń objawia się w formie innej niż romantyczna.

Édouard Louis, wschodząca gwiazda francuskiej literatury, mistrz formy autobiograficznej, o rodzicach pisze z miłością, chociaż go skrzywdzili. Ojciec, pracownik fabryki, który po wypadku zapadł na zdrowiu, pił i bił matkę, która w końcu od niego odeszła. Podobnie jak od kolejnego partnera, również brutala. Louis w boleśnie szczerych słowach opisuje środowisko ludzi biednych, niewykształconych, przenoszących patologie z pokolenia na pokolenie, zapomnianych przez polityków. Autor, który jako jedyny wyrwał się ze swojej klasy społecznej dzięki pisarstwu, podstawia czytelnikom lustro: oto co zrobiliście moim rodzicom, oto jak ich skazaliście przez wasz brak reakcji.

Wiele mówiące są tytuły jego książek: „Kto zabił mojego ojca", „Historia przemocy" czy „Zmagania i metamorfozy kobiety". We wzruszającej opowieści o matce „Monika ucieka" pokazuje, co może literatura. Nie tylko nazywa proces uwalniania się kobiety, ale też pomaga go ucieleśnić. Dzięki pieniądzom z pisania książek jest w stanie zapewnić matce pomoc finansową, gdy ta ucieka z domu dzielonego z przemocowcem.

Opisując systemowe bolączki i dyskryminację wynikającą z nierówności ekonomicznej, Louis przejmuje pałeczkę po noblistce Annie Ernaux. Jest reprezentantem pokolenia, które angażuje się w zmienianie świata, czy to za pomocą sztuki, czy aktywizmu. Pozwala wierzyć w siłę literatury i każdego aktu odwagi. Nie bez kozery jego najnowsza książka nosi tytuł „Co zrobić z literaturą?". Ano właśnie, pozwolić jej działać.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl 196cd999bb



Instytut dziwnych myśli

Uważa się, że myśli, które lęgną się w głowach ludzi takich jak Robert Bąkiewicz czy Przemysław Czarnek, to dno i dowód umysłowej zapaści. Ale audyt Izby Skarbowej dotyczący pisowskiego Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej pokazuje, że ta myśl ma się dobrze i śmiało przekracza kolejne granice.

Z audytu wynika, że Instytut nadzorowany przez ministra kultury Piotra Glińskiego w latach 2020–23 wydał 94 proc. środków niezgodnie z umowami i bez sensu na projekty, których nie zrealizowano (Muzeum Dziedzictwa Chrześcijańsko-Narodowego), oraz na pamiątki związane z Ignacym Paderewskim, które miały „nikłą, wręcz zerową, wartość artystyczną" i nijak nie dało się ich z Paderewskim powiązać. Jaka myśl zrodzona w głowach Glińskiego i Jana Żaryna, dyrektora Instytutu, stała za tymi zakupami, wyjaśni prokuratura.

O tym, że była ona narodowa, świadczy historia sprowadzenia do Polski fortepianu przedstawianego jako bezcenna pamiątka po wielkim Paderewskim. Za dowód autentyczności fortepianu uznano wysoką cenę oraz zapewnienia Szwajcara, który go sprzedawał, że należał do Paderewskiego, dlatego trudno się Żarynowi i Glińskiemu dziwić, że chcieli go dla Polski nabyć. Z ustaleń dziennikarzy wp.pl wynikało, że Paderewski nie miał z fortepianem nic wspólnego i nawet przy nim nie stał, ale nie dano im wiary. Pieniądze i tak już zostały wydane, poza tym skąd można wiedzieć, przy jakim fortepianie Paderewski stał czy nie stał?

Nawet jeśli istniały fotografie, na których stoi sam fortepian bez Paderewskiego, zgadzam się z Glińskim i Żarynem, że to słaby dowód, bo Paderewski mógł stać dalej, tak że obiektyw go nie objął. Zresztą jeśli kupiony fortepian nie miał nic wspólnego z Paderewskim, gdy ten żył, to nie wykluczam, że Żaryn i Gliński planowali go w imieniu narodu przekazać pośmiertnie Paderewskiemu, aby ostatecznie rozwiać wątpliwości, do kogo należy, tylko nie zdążyli.

Żarynowi zarzuca się także zakup wątpliwych pamiątek po Paderewskim. Np. fotografii pod tytułem „Paderewski jako chłopiec", która zdaniem ekspertów nie przedstawia Paderewskiego. Będę jednak Żaryna bronił, bo to, że nie przedstawia, nie jest winą jego czy Paderewskiego, ale nieudolności ekspertów, którzy nie potrafili rozpoznać Paderewskiego jako chłopca, mimo podpisu, że to Paderewski.

Po zmianie władzy Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej zmienił nazwę na Instytut Myśli Politycznej im. G. Narutowicza. Jak w tej sytuacji potoczy się sprawa pamiątek, nie wiadomo. No chyba że kolejni eksperci zdołają ustalić, że pamiątki, które nie należały do Paderewskiego, były w rzeczywistości własnością Narutowicza i będzie po sprawie.

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
tel. 22 336-75-80
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
tel. 22 336-79-16
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Czarnecka
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Prasa Mint Leipa

eprasa.pl 196cd999bb

Zdarzyło się

Zaglądamy do archiwum POLITYKI


Rząd Kaczyńskich

Dwa w jednym

20 lat temu, a dokładnie w nr. 30 z 2006 r., zaraz po objęciu przez Jarosława Kaczyńskiego fotela premiera, Mariusz Janicki i Wiesław Władyka w artykule „Dwa w jednym" pisali o tym, co to premierostwo naprawdę będzie oznaczać. Jak się okazało po latach, metody te powtarzały też kolejne rządy PiS.

„Jarosław Kaczyński został premierem, ale przecież nie przestał być prezesem i ideologiem PiS. Dodał tylko funkcję premiera do swojego ogólnego przywództwa. Zaraz po wygłoszeniu exposé posypały się nowe projekty PiS, które pokazały rzeczywiste intencje nowego szefa rządu. (...) Samorządy, służba cywilna, służby specjalne, lustracja (...) wszystko musi prowadzić do zwycięstwa, które ma być ostateczne, na zawsze. Tak to się teraz będzie mieszać: słowa kierowane do wszystkich obywateli i działania na rzecz partii rządzących. Premier będzie zwracał się do Polaków w swej ogólności, a prezes będzie dbał o polityczne interesy zaplecza.
(...)
Niezwykle użyteczna będzie zasada wyrzucania z sań kozłów ofiarnych, jak też dialektyka stosowana przez PiS od zawsze, czyli, że jeśli coś nie wychodzi, to znaczy, że inni szkodzą i się przeciwstawiają, z PO na czele. (...) Marcinkiewicz, który w partii znaczył niewiele, skupiał się cały na rządzie, był jego frontmenem, reprezentował go dla świata. Kaczyński zapewne będzie działał inaczej, on raczej będzie strażnikiem idei PiS, który sam się delegował do rządu. Dlatego można się spodziewać, że zastosuje swoje stare, sprawdzone chwyty.

Pierwszy polega na misternym tłumaczeniu, i to z odpowiednim wyprzedzeniem, dlaczego coś z zapowiedzi może się nie udać. Dał już tego przykład jeszcze przed wygłoszeniem exposé, kiedy stwierdził, że wybudowanie tanich mieszkań może być torpedowane przez zmowę deweloperów.
Drugi chwyt to prowokowanie kryzysów w koalicji, po zażegnaniu których można proklamować kolejne nowe początki.
Trzecia metoda, zasygnalizowana zresztą w exposé, to odwlekanie terminów „zmieniania Polski" i dawanie do zrozumienia, że pełny cykl przekształcania w IV RP obejmuje także następną kadencję Sejmu (np. obniżki podatków wejdą w życie po 2009 r.), na którą trzeba znowu wybrać PiS.
I wreszcie czwarta metoda, którą zresztą stosował także Marcinkiewicz, to nieustanne podtrzymywanie atmosfery kampanii wyborczej, dawanie do zrozumienia, że sytuacja jest wciąż tymczasowa, niepewna, wybory są możliwe w każdym momencie, a walka klasowa stale się zaostrza, tym bardziej że teraz rząd podjął naprawdę poważne wyzwania. Im mniejsze będą realne osiągnięcia, tym wyraźniej będzie widać takie działania ochronne. I trzeba dużo i sugestywnie mówić, bo wówczas zaciera się różnica między tym, co się robi, a mówi".

Smutek na granicy

Z satysfakcją, ale też podwójnym smutkiem przeczytałem felieton Renaty Lis w POLITYCE 25 „Selfie spod ruskiej granicy". To wspaniała analiza obecnej sytuacji – ten felieton powinien być czytany na humanistycznych uczelniach z dodatkowymi historycznymi przypisami. Krwawiąca Ukraina podnosi się z kolan i znowu będziemy – jak to napisała autorka – zdradzieckimi Lachami. Wystarczy cofnąć się do lat 20. Petlura walczył u boku Piłsudskiego, bo miał obiecaną wolną Ukrainę. Traktat ryski to przekreślił, społeczność międzynarodowa nie chciała wolnej Ukrainy. Piłsudski przepraszał Petlurę, ale żal był do nas.

Pierwszy mój smutek wynika z tego, że żaden z historyków nie zabiera głosu i nie tłumaczy, jaka była geneza nienawiści do Polaków na Kresach Wschodnich. II RP traktowała ludność ukraińską gorzej niż w średniowieczu; poniżanie, wyzysk, brak pomocy. Dlatego witano tam Armię Czerwoną jako wyzwolicielkę od pańskiego polskiego buta. (…) Hitler mamił Ukraińców wolną Ukrainą, Bandera to kupił, bo Stalin był przeciwny. Nikt nie zaprzecza, że była to rzeź, ale należy wspomnieć, że AK dokonywała – co prawda na mniejszą skalę – mordów odwetowych. Wracając do obecnych czasów, my, naród wybrany i nieskazitelny, chcieliśmy, aby Zełenski codziennie nam dziękował za pomoc i prosił o jeszcze. A przecież pomagała cała – po przebudzeniu – Europa i USA. (…) Wojna spowodowała, że Ukraińcy poczuli, że posiadają własne państwo, że są narodem. Odzyskali poczucie godności i światowego szacunku, do niedawna byli przecież traktowani jak ruski zlepek, gdzie tylko konie są trzeźwe, a korupcja i łatwe kobiety to codzienność. Ukraina poszukuje własnych bohaterów, a z tym jest kiepsko. My, naród wybrany, mamy lepiej: możemy chwalić się państwowością już od częściowo samozwańczego króla Chrobrego. (…)

Drugi mój smutek wynika z tego, że Polska spadła do drugiej ligi w Europie. Zełenski rozmawia teraz z Francją, z Niemcami, Anglią; po co mu skłócona wewnętrznie Polska? Obawiam się, że przyszłe wybory przegra na własne życzenia moja ulubiona KO. To, że prawicowiec Nawrocki wygłupia się, można jeszcze pominąć, ale jak pseudokatolik Kosiniak-Kamysz wstrzymuje dostawy samolotów i straszy, że Ukraina do UE nie wejdzie, to nie jest groteska, to równia pochyła.

PAWEŁ WOJTYGA

Potęga energii

Z przyjemnością przeczytałem artykuł Andrzeja Hołdysa „Ciemna strona Ziemi" (POLITYKA 26). Autor pisze: „Historia naszej cywilizacji jest w dużej mierze historią stopniowego wypierania ciemności. Pokochaliśmy światło". Otóż stało się to ze względu na olbrzymi postęp w tworzeniu coraz bardziej wydajnych źródeł światła i wydajnej produkcji energii. W znakomitej książce Vaclava Smila „Energia i cywilizacja" autor pisze, że wydajność światła wytwarzanego przez świecę, wynosząca 0,3 lm/W wzrosła do 200 lm/W dla lamp sodowych (ok. 660 razy). Więc to ogromny postęp w wydajności źródeł światła i wzrost produkcji energii (ropa, gaz, fotowoltaika itd.) spowodował obserwowaną zmianę, a nie miłość do światła. Gdyby nie ten postęp, to dalej najlepiej oświetlone świecami byłyby wnętrza kościołów i pałaców.

JÓZEF ANDRZEJEWSKI

© ARCHIWUM POLITYKI

eprasa.pl 196cd999bb

Ślicznie się zestarzało

Na fali odkrywania dizajnu rodem z PRL powróciły porcelanowe figurki. Bo nawet w szaro-burych czasach zdarzały się wspaniałe wyjątki.







1 „Arabki" proj. Lubomir Tomaszewski, 1959 r.

2 „Mamut" proj. Lubomir Tomaszewski, 1959 r.

3 „Gil" proj. Mieczysław Naruszewicz, 1959 r.

W czasach PRL idealistycznie (lub obłudnie) zakładano, że państwo może zapewnić obywatelom wszelkie dobra, począwszy od mieszkań i samochodów, na zdrowiu, edukacji czy kulturze i sztuce kończąc. Wierzono także (znów idealistycznie lub obłudnie), że w socjalizmie ludzie będą coraz mądrzejsi, nowocześniejsi i z entuzjazmem wspinać się będą po piramidzie potrzeb Maslowa. Z tej osobliwej mieszanki ideowej zrodziło się wiele projektów. Czasem udanych, jak ten, by socjalistyczne mieszkania wypełnić sztuką pod postacią małych porcelanowych rzeźb. Nie figurek o mieszczańskiej proweniencji, ale na wskroś współczesnych, modernistycznych.

Pomysłodawczynią tego przedsięwzięcia była Wanda Telakowska, latami kierująca Instytutem Wzornictwa Przemysłowego (POLITYKA 6). Pisała o tym w jej biografii Katarzyna Rzehak: „Czy skupiona na celowości socjalistyczna estetyka dopuszcza coś takiego jak bibelot? Czy człowiek socjalistyczny może postawić na półce obok książek porcelanową figurkę? Wanda, działając w peerelowskiej rzeczywistości, wykształca w sobie zmysł łączenia trendów z Zachodu z nakazami socjalistycznej ideologii". W ramach tego łączenia w Instytucie powołano specjalną pracownię projektową, w której w latach 1956–64 powstało ok. 140 modeli, w większości wdrożonych do produkcji.

Produkowane były w fabrykach porcelany w całym kraju, od Włocławka i Pruszkowa, po przodujący w tym dziele Ćmielów. Projektował je zaś rzeźbiarski kwartet: Henryk Jędrasiak, Mieczysław Naruszewicz, Hanna Orthwein i Lubomir Tomaszewski. Były stosunkowo niedrogie i względnie dostępne, stylistycznie nawiązywały jakoś do będących wówczas u szczytu sławy rzeźbiarzy Henry'ego Moore'a czy Jeana Arpa. Wypadało je mieć, jeśli budowało się własny wizerunek jako osoby otwartej na to, co niesie epoka.

Rzeźby były miękko modelowane, bez ostrych kantów. Z jednej strony, cały zwierzyniec – począwszy od ptasiej menażerii (bażanty, pingwiny, gile, sowy, żurawie, czaple, kiwi, perkozy, dudki), poprzez ryby, gady, aż po ssaki, ze szczególnym upodobaniem do afrykańskich klimatów (żyrafa, małpa, gazela, gnu, bawół). Ale trafił się też mamut. Z drugiej strony postaci ludzkie. Nie byli to, tak opiewani jeszcze kilka lat wcześniej, górnicy, hutnicy, pielęgniarki ani milicjantki, ale towarzystwo dość egzotyczne: seksbomby, śpiewaczki jazzowe, Arabki czy cyrkowi siłacze. Kształty były maksymalnie uproszczone, niekiedy na granicy abstrakcji, dopiero odpowiedni malunek, za pomocą dużych plam czystego koloru, kierował ku desygnatom w rzeczywistości. To było wyzwanie rzucone całej tradycji porcelanowych figurek, które tym bardziej były wartościowe, im dokładniej odtwarzały szczegóły. Tu zaś chodziło o syntezę, dynamikę, czasem o żart. Ale też o wygodę masowej produkcji, która nie znosiła pracochłonnych form.

TREND



Piotr Sarzyński – od 1986 r. dziennikarz POLITYKI, na łamach której zajmuje się tematyką sztuki i architektury.

Wraz z zakończeniem produkcji te porcelanowe cuda coraz bardziej popadały w zapomnienie. Niepromowane, przegrywały bitwę z zachowawczymi bibelotami, barwnymi wazonikami z „Włocławka" czy konserwatywnymi kryształami z Czechosłowacji. Dopiero ostatnie dwie, trzy dekady i fala odkrywania dizajnu PRL przyniosły fascynację także dawnymi figurkami. Ceny poszybowały, kolekcjonerzy rzucili się do tworzenia zbiorów. Dziś za najpopularniejsze wzory trzeba zapłacić 2–5 tys. zł, a te najrzadsze, głównie projektu Lubomira Tomaszewskiego, potrafią kosztować nawet 20 tys. zł.

Nic więc dziwnego, że zdecydowano się wrócić do dawnych form i wypuścić na rynek ich nowe edycje. Ale to, co pół wieku wcześniej stało się hitem, nie zdołało powtórzyć komercyjnego sukcesu. Może jest za drogo? A może po prostu w zalewie dóbr nie mogły skutecznie walczyć o uwagę? A przecież te figurki estetycznie, jak to się powiada, ślicznie się zestarzały. Aby się o tym przekonać, wystarczy (i warto) wybrać się do stołecznej Królikarni, gdzie do końca października prezentowane są w całej okazałości i obfitości. Przypominają, że nawet w szaro-burych i wyżętych z piękna czasach PRL zdarzały się wspaniałe wyjątki. ■

© MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE/INSTYTUT WZORNICTWA PRZEMYSŁOWEGO, MICHAŁ MUTOR/AGENCJA GAZETA

eprasa.pl 196cd999bb

TECHNO

Koniec dysków



Firma Sony ogłosiła, że od 2027 r. zaprzestanie wydawać gry na konsolę Playstation na nośnikach optycznych. Decyzja wywoła ogromne poruszenie wśród grających internautów. Czytniki płyt były od zawsze sercem konsoli Playstation. Pierwszy model, PSX z 1995 r., powstał po nieudanej współpracy Sony z Nintendo. To, co pierwotnie miało być przystawką CD-ROM do Super Nintendo, stało się samodzielną maszyną. PS2 z 2000 r. oferowała możliwość odtwarzania filmów na DVD, a młodsze o sześć lat PS3 – na wysokiej rozdzielczości płytach Blu-ray. Jednocześnie płyty stanowiły nośnik gier. Ale już w Playstation 3 pojawiło się także połączenie ze sklepem internetowym, z którego można było pobierać gry bezpośrednio na wbudowany dysk twardy. Było to nie tylko wygodne, ale pozwoliło na rozwój mniejszych, niezależnych produkcji, które nie miałyby szans na fizyczne wydanie. Trend rozwijał się wraz z kolejnymi generacjami – PS4 (2013) i PS5 (2020). Ta ostatnia pojawiła się nawet w wersji bez czytnika płyt, który można było dokupić osobno.

Zmienił się też aspekt techniczny: pierwsze generacje wczytywały dane bezpośrednio z płyt w czasie gry. Architektura Playstation 5 oparta jest zaś na wbudowanej szybkiej pamięci i korzysta z fizycznego nośnika tylko w czasie instalacji. Dyski z kolei stały się zbyt powolne i zbyt mało pojemne w stosunku do potrzeb rozrastających się gier, odejście od nich musi więc wydać się nieuniknione.

Rynek gier PC zrezygnował z płyt dawno temu, ale istnieją na nim alternatywne sklepy (Steam, Epic, GOG). Krytycy wskazują więc na pogorszenie sytuacji konsumenta: płytę z grą można było przecież odsprzedać. Zaniknie też konkurencja między sklepami z grami i cyfrowym sklepem Sony; gra nie będzie już „na własność" (będzie mogła zniknąć z biblioteki np. po wygaśnięciu licencji). Powstała więc petycja mająca nakłonić firmę do wycofania się z pomysłu. Konsumenci liczą też na interwencję Unii Europejskiej, niechętnej takim praktykom, co widać na przykładzie walki z zamkniętym ekosystemem firmy Apple.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

SŁOWO

POV: oglądasz mundial

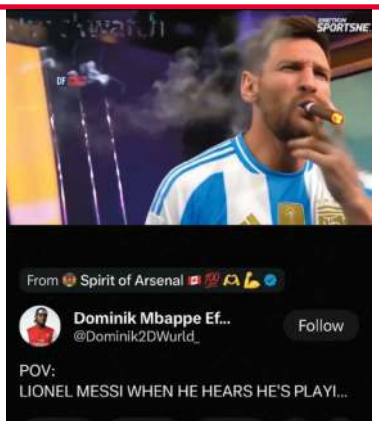

Czy widzieli już państwo najnowszy *edit* Haalanda? A jeśli nie, to może *edit* Mbappé? Bellinghama? Podczas mundialu *edit* albo *fan edit* kojarzyło się przede wszystkim z zabawnymi montażami najlepszych zagrań ulubionego piłkarza pokazujących go często jako gwiazdę większą niż w telewizji – nadczłowieka. Wystarczy dobrać odpowiednią muzykę albo konwencję: superbohaterską, mangową, komediową. Poza popisem umiejętności montującego *edit* służy do tego, by zaprezentować piłkarską aurę, czyli pole pozytywnej energii roztaczanej przez jakąś postać, ale najczęściej piłkarza, który biegając po boisku, zbiera dodatnie lub ujemne punkty aury. Tu oczywiście najlepiej wypadał Haaland – dopóki reprezentacja Norwegii nie odpadła z turnieju, wyeliminowana przez Anglików.

MÓWIĄ RYMY

Będzie w pokoju czuć THC, jak tylko zaje...ę blinkera
W budynku jest siwo, nie WTC
Mata, Skepta, 2026 r.

blinker – miganie waporyzatora sygnalizujące przegrzanie (a przy tym niebezpieczne długie zaciągnięcie się)

W tym miejscu pojawia się trzecie określenie: *robbed*. Jeśli z jakichś powodów uznacie, że zwycięstwo się nie należało, sędzia się pomylił, albo (jak w tym przypadku) piłka uderzyła w kabel kamery i akcja na bramkę dla Anglii nie powinna się wydarzyć – do swojego editu dodajecie hasło *robbed*. Czyli ograbieni, obrabowani.

Czwarty termin to nieśmiertelne POV. *Point of view* oznacza punkt widzenia, czyli pokazywanie świata z perspektywy jakiejś osoby. Znają ten format nawet polscy politycy, pisał o nim w POLITYCE Michał Tomasik w kontekście polskiej kampanii prezydenckiej i stylu Sławomira Mentzena („Kręci POV z udzielania wywiadów, zakulisowych rozmów, wieczornego spotkania z wyborcami"). Politycy wolą własny punkt widzenia, ale w memach POV odnosi się głównie do perspektywy innych osób. Weźmy **„POV: Lionel Messi właśnie się dowiedział, że jego rywalami w półfinale będą Anglicy"** – i film z argentyńskim piłkarzem palącym cygaro, a w podkładzie triumfalne „cha, cha, cha". A po meczu Norwegów z Anglikami i dwóch bramkach Jude'a Bellinghama sieć obiegł film podpisany: „POV: śpiewasz »Hey Jude« z fanami Anglii po zwycięstwie ich drużyny". W podkładzie oczywiście Beatlesi. Można w ten sposób opowiedzieć wiele, byle nie mylić POV z POW. To drugie oznacza rozrywkę w mniejszym stopniu podnoszącą poziom adrenaliny: „Powolny objazd wsi".

BARTEK CHACIŃSKI

© SHUTTERSTOCK, X.COM/DOMINIK2DWURLD_, GETTY IMAGES

eprasa.pl 196cd999bb

W wakacyjnym cyklu „Pocztówka POLITYKI" opisujemy ulubione kraje polskich turystów – ale od naszej, czyli właśnie politycznej, strony. Kto i jak rządzi, co to za system, czym martwią się obywatele, co im leży na sercu. Nasi najlepsi autorzy co tydzień opowiadają o kolejnym kraju.



DANIA: projekt szczęście

Najszczęśliwszy kraj świata stoi przed pytaniem, jaką cenę jest w stanie zapłacić za społeczny spokój.

W Kopenhadze rzadko bywa naprawdę upalnie. Dlatego gdy pod koniec czerwca termometry pokazywały ponad 30 st. C, Duńczycy niczym foki wygrzewali się na drewnianych nadbrzeżach i kąpali w kanałach. Ulicami jeździli półnadzy maturzyści w charakterystycznych białych czapkach; śpiewali, tańczyli, pili, machali do przechodniów i odwiedzali kolegów z klasy, gdzie czekali już ich rodzice z jedzeniem i toastami. To popularny od lat 70. zwyczaj zwany *Studenterkørsel*. W tym samym czasie inni przygotowywali się do *Sankt Hans Aften* – Wigilii św. Jana, czyli wspólnego świętowania *Midsummer*, przesilenia letniego, przy ogniskach, ze śpiewaniem pieśni „Vi Elsker Vort Land" (Kochamy nasz kraj). Te dwie tradycje to jedne z niewielu chwil w roku, kiedy zwykle powściągliwi Duńczycy pozwalają sobie na szaleństwo. Kontrolowane.

Być może dlatego, że lubią nadawać zabawie dobrze zaprojektowaną formę i przestrzeń, dwa najstarsze parki rozrywki na świecie powstały właśnie pod Kopenhagą. Pierwszy z nich – Bakken – narodził się w XVI w. wokół uzdrawiającego źródła. Najpierw przyciągał pielgrzymów, z czasem pojawili się kuglarze, muzycy i karczmarze, a w końcu karuzele i diabelski młyn. Prawdziwym symbolem duńskiego pomysłu na wspólne spędzanie czasu pozostaje jednak otwarte w 1843 r. **Tivoli**. To bardziej park miejski niż lunapark. Karuzele od początku były tu dodatkiem do koncertów, przedstawień teatralnych, ogrodów i restauracji. Chodziło o to, by równie dobrze czuli się tu i dorośli, i dzieci. Ta idea zachwyciła Walta Disneya, gdy odwiedził Kopenhagę w 1951 r.; pierwszy Disneyland został otwarty cztery lata później.

W Tivoli przez blisko dwa stulecia niewiele się zmieniło. Nadal przychodzi się tu równie chętnie na koncert, spacer, kolejkę górską czy kolację. Kopenhaga od lat uchodzi za jedną z najciekawszych kulinarnych stolic Europy; tu narodziła się nowa kuchnia nordycka, z zaskakująco prostą zasadą: gotuje się z produktów dostępnych sezonowo i lokalnie. Dlatego w restauracji Kilden i Haven w Tivoli menu zmienia się wraz z porami roku, a zioła, warzywa i jadalne kwiaty trafiają na talerze prosto z parkowych szklarni. Jedząc pyszny, rabarbarowy deser pod kwitnącymi lipami, podczas gdy w tle słychać piski podnieconych dzieci w zjeżdżającej z turkotem



Agnieszka Krzemińska
– archeolożka i dziennikarka działu naukowego POLITYKI. Autorka czterech książek popularnonaukowych. Najnowsza z nich to „Homo (nie tylko) sapiens. Inna opowieść o naszych przodkach".

© TIVOLI GARDEN, MICHAŁ MUTOR/AGENCJA GAZETA, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 196cd999bb

kolejce, trudno nie ulec urokowi chwili. Nawet jeśli jest on odrobinę wyreżyserowany.

Jeszcze staranniej wyreżyserowano go w Billund, gdzie w latach 30. XX w. miejscowy stolarz Ole Kirk Christiansen zaczął produkować drewniane sześciany, które miały bawić i zachęcać dzieci do tworzenia własnych światów – nazwa LEGO powstała od *leg godt*: baw się dobrze. W 1968 r. powstał tam Legoland, a dziś do liczącego kilka tysięcy mieszkańców miasteczka przyjeżdża co roku blisko dwa miliony gości.

Miliony uwierzyły też w duński przepis na szczęście, który w skróconej wersji bazuje na świecach, miękkich kocach i kardamonowych bułeczkach. W dłuższej opisał go w swoich książkach o *hygge* i *lykke* Meik Wiking, dyrektor Instytutu Badań nad Szczęściem. Tymczasem podróżując po Danii, dochodzi się do wniosku, że *hygge* – komfort i przytulność – jest tylko miłym dodatkiem, bo chodzi o *lykke*, czyli trwałe poczucie dobrostanu, a to projektuje się wcześniej i z większym rozmachem. Dania należy do najbogatszych krajów Europy, ale nie bardzo obnosi się z bogactwem. W pałacowych rezydencjach królują prostota, duńska moda stawia na elegancję, jakość i wygodę, zamiast na demonstrację statusu, nowoczesny design ma przede wszystkim ułatwiać życie – w jego centrum jest natura, którą uwzględnia się przy planowaniu miast, parków i wszechobecnych **ścieżek rowerowych**, z których korzystają wszyscy, rodziny królewskiej nie wyłączając.

Prostota i porządek wydają się kwintesencją duńskości. Nawet kopenhaska Christiania, która powstała w dawnych koszarach wojskowych zajętych w 1971 r. przez hipisów i przekształconych w enklawę utopijnej wolności i życia poza systemem, wydaje się na swój sposób uporządkowana. Drewniane domki wyglądają, jakby każdy właściciel budował je według własnych marzeń, ścieżki wiją się między drzewami, a mury pokrywają kolejne warstwy graffiti, ale wjeżdżać tu mogą tylko rowery, przestrzeń ma służyć ludziom, nie odwrotnie, a mieszkańcy wspólnie podejmują decyzje. W 2023 r. wspólnie zdecydowali o zamknięciu Pusher Street, gdzie od lat otwarcie handlowano marihuaną, i poprosili policję o zrobienie porządku z wyrosłymi tam gangami.

Coraz częściej pada pytanie, jak utrzymać ten duński projekt szczęścia w czasach rosnących kosztów życia, starzenia się społeczeństwa i niestabilnej sytuacji międzynarodowej. Po marcowych przedterminowych wyborach parlamentarnych rządy ponownie objęła premierka Mette Frederiksen, stojąca na czele kraju od 2019 r., jednak Socjaldemokracja, której przewodniczy, zanotowała najgorszy wynik w historii. Wśród powodów społecznego niezadowolenia na czoło wybijają się wysokie koszty życia. 28 proc. Duńczyków wskazuje je jako jedno z najistotniejszych wyzwań – obok kwestii obronności i klimatu – to dwukrotny wzrost w ciągu ostatnich czterech lat. Ale ważna jest też partyjna zdrada lewicowych ideałów – współpraca z ugrupowaniami prawicowymi i restrykcyjna polityka migracyjna. Rządzący zapowiadają obniżenie VAT na podstawową żywność, darmową komunikację publiczną dla młodych oraz zwiększenie wydatków na ochronę zdrowia i edukację. Jednocześnie muszą znaleźć pieniądze na rekordowe inwestycje w obronność, wynikające z napiętej sytuacji w Europie i zobowiązań wobec NATO. W duńskiej debacie coraz częściej powraca pytanie, czy da się jednocześnie utrzymać hojny model państwa dobrobytu i finansować bezpieczeństwo w coraz mniej bezpiecznym świecie.



Migracja stanowi jeden z najgorętszych tematów duńskiej polityki. Ograniczono możliwość łączenia rodzin, zaostrzono zasady przyznawania azylu, a od kilku lat realizowany jest program przebudowy tzw. równoległych społeczeństw – osiedli o dużej koncentracji imigrantów, bezrobocia i przestępczości. Przeciwnicy tych działań zarzucają Danii odchodzenie od tradycyjnego modelu otwartego państwa; zwolennicy uważają je za warunek zachowania spójności społecznej. Choć Mette Frederiksen stoi na czele socjaldemokratów, w kampanii wyborczej zapowiadała dalsze ograniczanie napływu migrantów, argumentując, że dobrobyt można utrzymać tylko wtedy, gdy migracja pozostaje pod kontrolą. Niedługo po wyborach wywołała kolejną europejską debatę, proponując tworzenie finansowanych przez UE ośrodków dla migrantów poza granicami Wspólnoty.

Królestwo znalazło się też w centrum światowej uwagi, gdy Donald Trump wystosował (i ponawia) roszczenia wobec Grenlandii, autonomicznego terytorium zależnego Danii. Wyspa stała się jednym z kluczowych obszarów rywalizacji mocarstw o Arktykę, jej surowce i nowe szlaki żeglugowe. Zarówno rząd w Kopenhadze, jak i grenlandzkie władze jednoznacznie odrzuciły żądania Trumpa, przypominając, że Grenlandia od 1979 r. posiada autonomię, a od 2009 r. – także prawo do ogłoszenia niepodległości, jeśli zdecydują o tym jej mieszkańcy. Dla Danii sprawa jest jednak bardzo kłopotliwa i wielowymiarowa; resentymenty i historia (post)kolonialna łączą się tu z ekonomią i geopolityką, stawką są dobre stosunki zarówno z Grenlandczykami, z UE, jak i z USA, ważnym sojusznikiem kraju w ramach NATO.

Im dłużej przygląda się Danii, tym wydaje się mniej paradoksalne, że kraj ten wydał na świat melancholijnego Andersena i filozofa niepokoju Sørena Kierkegaarda, a jednocześnie stale zajmuje czołowe miejsca w światowych rankingach szczęścia. Duńczycy są po prostu świadomi, że szczęście nie jest abstraktem czy darem – że tworzy się na fundamencie społecznego zaufania i spokoju, a to trzeba nieustannie budować, finansować i chronić. Pozostaje pytanie za jaką cenę. Czy da się je utrzymać bez coraz większej kontroli, wyższych kosztów i coraz trudniejszych politycznych wyborów? ■

eprasa.pl 196cd999bb

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty



Obronią nas kobiety?

Czy Polska jest gotowa na wojnę? I czy pobór do wojska jest koniecznością? W podkaście „Polskie demo” pytamy o to dr Weronikę Grzebalską, socjolożkę (PAN), redaktorkę raportu „Filar, a nie zaplecze. Kobiety w obronie powszechnej i odporności w Polsce”. Objaśniamy, dlaczego ważny jest żołnierz, ale też każdy urzędnik, nauczycielka czy ratownik medyczny. To rozmowa o tym, czy i jak bronić ojczyzny już teraz.



Szturm na biol-chem

„Zanim media ujawniły, jak wielkie pieniądze mogą zarabiać najbardziej zaradni lekarze, młodzież już o tym wiedziała” – zauważa w naszym serwisie Dariusz Chętkowski, publicysta i polonista. Dlatego **w rekrutacji do szkół średnich największym wzięciem cieszą się dziś klasy biologiczno-chemiczne. Czy jest ich w szkołach dostatecznie dużo, co na to dyrektorzy, nauczyciele i rodzice – to wszystko na polityka.pl.**



Obywatel Messi

Lionel Messi przez lata miał wizerunek apolitycznego, obojętnego na Sprawy Wielkiej Wagi – niesłusznie. Na finiszu mundialu stanął w centrum politycznych polemik dotyczących warunków życia w Argentynie i statusu Falklandów-Malwinów. **Prezydent Javier Milei powiedział kiedyś, że „jeśli zadzierasz z Messim, zadzierasz z całym krajem”. Ale sam z nim właśnie zadarł. Gorący spór opisuje na polityka.pl Artur Domosławski.**



Co Homer przewidział

Wszyscy słyszeliśmy o Achillesie, Hektorze, Odyseuszu i wojnie trojańskiej. Nawet ci, którzy nigdy nie przeczytali ani jednego wersu „Iliady” czy „Odysei”, żyją w świecie ukształtowanym przez Homera. **Zagadkę autora (autorów?) i jego dzieł próbujemy rozwikłać w podkaście „POLITYKA o historii” wspólnie z prof. Markiem Węcowskim, historykiem starożytności (UW) i autorem książki „Homer na nasze czasy”.**



Najgorszy polski film

Kultowa „Klątwa Doliny Węży” po niemal 40 latach doczekała się właśnie ponownej premiery. Dlaczego była uznawana za najgorszy film w polskiej kinematografii? I co o tym sądzi sam reżyser Marek Piestrak? „Jak na ówczesne warunki był to projekt o niespotykanym rozmachu”, mówi w naszym kulturalnym podkaście. Zaglądamy za kulisy. Rozmowa do obejrzenia i wysłuchania m.in. na YouTube, Spotify i polityka.pl.

© LESZEK ZYCH (3), JESS STILES/AP/EAST NEWS, EAST NEWS

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl 196cd999bb

BIAŁA PLAMA CZARNEGO LĄDU



W sprzedaży

KUP TERAZ

148 stron

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe i audio – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**
Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 196cd999bb

PODRÓŻE I REJSY

15 LAT

REJS KULTUROZNAWCZY

– Z POLSKIM PILOTEM SPECJALISTĄ –

Wyspy Kanaryjskie i Madera



zeskanuj kod i sprawdź

terminy i ceny

8 DNI / 7 NOCY

STATEK 5 ★ & LOT Z WARSZAWY

Ilość miejsc ograniczona. Oferta ważna do 15 sierpnia 2026 roku lub wyczerpania miejsc.

Cena zawiera: rejs statkiem w kabinie wybranej kategorii, loty z i do Warszawy, opłaty portowe, ubezpieczenie*, pełne wyżywienie, składki UFG i TFP.

NA TRASIE: TENERYFA, ARECIFFE DE LANZAROTE, PUERTO DEL ROSARIO, FUERTAVENTURA, MADERA, LAS PALMAS DE GRAN CANARIA

WIĘCEJ INFORMACJI:

Telefonicznie: prosimy o podanie kodu: POLITYKA2607

12 345 26 29

Przez internet: podrozeirejsy.pl/kanary-madera

zeskanuj kod i wysłuchaj wideopodcastu

Statek 5 ★ z napędem LNG.

Ubezpieczenie na czas trwania podróży EUROPA KL 45 000 euro / NNW 15 000 pln / BP 1 000 pln (w tym choroby przewlekłe zgodnie z OWU Bezpieczne Podróże zat. Uchwałą Nr 42/Z/2021)
Reklamodawcą jest Travelinc Sp.z o.o z siedzibą w Krakowie, ul. Głowackiego 4/11 Kraków, zarejestrowaną przez Sąd Rejonowy dla m. Krakowa, XI Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego pod numerem KRS 0000400124, wpis do Rejestru Organizatorów Turystyki i PUNPUT nr Z/38/2013. Zabezpieczenie finansowe SIGNAL IDUNA Polska. Oferta na wyłączność Podróże i Rejsy.

Kod: POLITYKA2607